O. JOHN MORRIS SI

WYDAWCA

PAMIĘTNIK OJCA GERARDA

KRAKÓW 2025

www.ultramontes.pl

REJESTR

Str.

Wstęp 4

I. Dziecinne lata i powołanie moje 6

II. Przybycie do Anglii 12

III. Pobyt w różnych hrabstwach 20

IV. Historia ojca Ouldcorne 32

V. Pierwsze niebezpieczeństwa 35

VI. Napaść 40

VII. Uwięzienie moje i pierwsze badania 45

VIII. Dalsze badania. Przemieszczenie. Więzienie moje zamienia się w punkt środkowy ruchu katolickiego 52

IX. Topcliffe prorokiem. Smutny koniec jego 66

X. Tower 69

XI. Tortury 73

XII. Msza święta w Towerze 80

XIII. Ucieczka z Toweru 86

XIV. Nowe niebezpieczeństwa 94

XV. Znowu postrachy 99

XVI. Co się stało z Janem Lilly 102

XVII. Jeszcze niebezpieczeństwa. Dziwne nawrócenia 106

XVIII. Powtórny pobyt w Londynie 112

XIX. Spisek prochowy 117

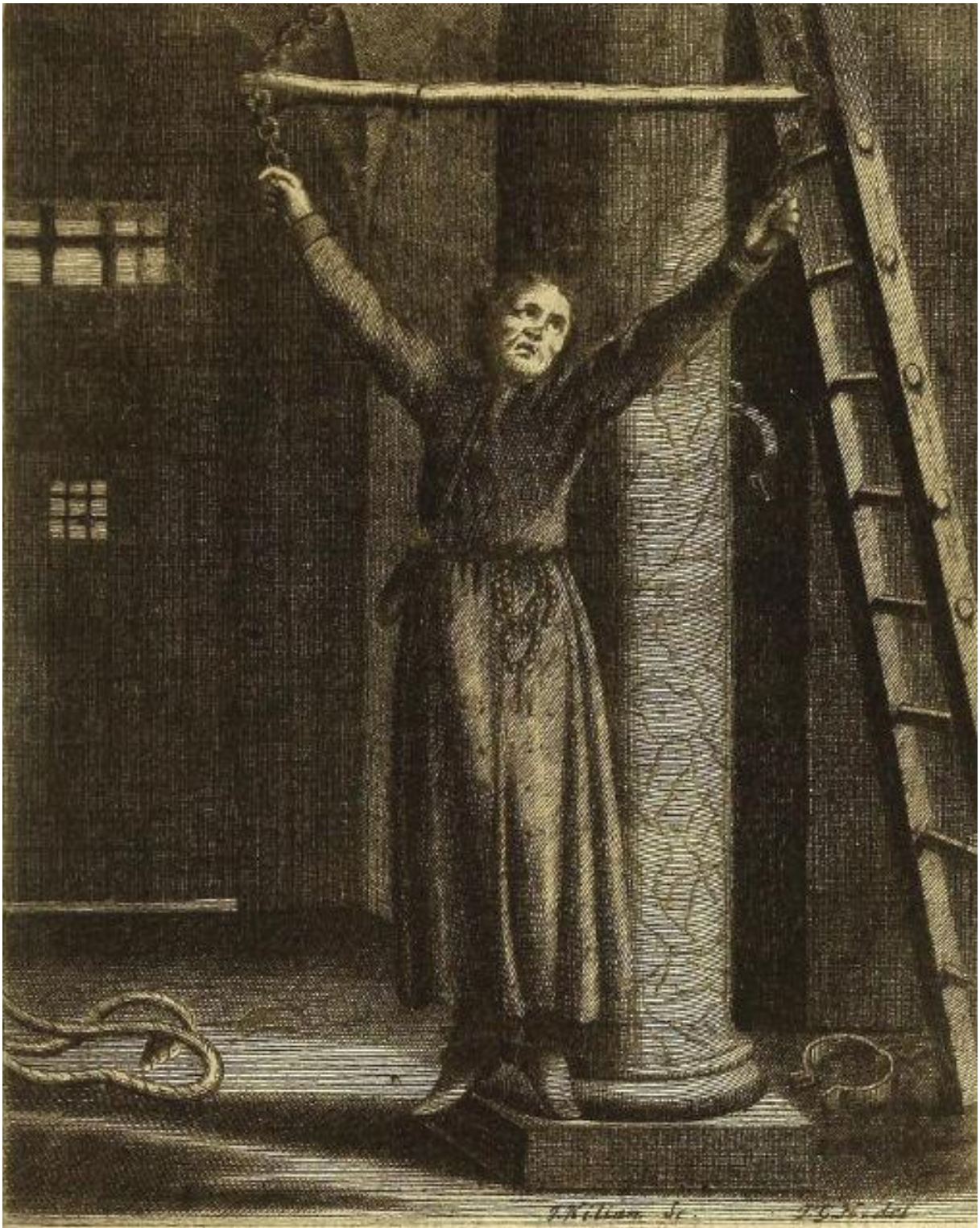

P. Ioannes Gerardi S.J. avitâ Nobilitate Angl.,
carceres, torturas, multas calamitates in ani,
mari procuratione expertus. Obijt Romæ
27. Iulij 1637. æt: 80.
149.

PAMIĘTNIK
OJCA GERARDA

WYDANY

PRZEZ

O. MORRISA

WSTĘP

W niniejszym pamiętniku znajdzie czytelnik żywot kapłana katolickiego, który w ciągu ostatnich lat panowania Elżbiety, i pierwszych trzech lat panowania Jakuba I-go pracował w Anglii jako misjonarz.

Treść pamiętnika wyjęta z rękopisu łacińskiego należącego niegdyś do biblioteki św. Andrzeja w Rzymie, i przechowującego się w kopii w kolegium Stonyhurst w Anglii. Szacowny ten zabytek do niedawnego jeszcze czasu podzielał los innych, równie drogich tego rodzaju dokumentów, które z powodów łatwych do odgadnienia, leżały skazane na wieczne zapomnienie.

Nie był wprawdzie ten manuskrypt zupełnie nieznany uczonym; niektórzy nawet pisarze, jak na przykład Lingard w swej "Historii Anglii", zrobili z niego użytek, przytaczając z niego wyjątki to dłuższe to krótsze, na poparcie faktów historycznych. Całość jednak i związek tego opowiadania zawsze były obce publiczności, aż niedawno temu wielebni Ojcowie Towarzystwa Jezusowego przystąpili do ogłoszenia w przekładzie angielskim spisanej w języku łacińskim autobiografii autora. Ukazała się ona najprzód, choć nie w całości, kilka już lat temu w angielskim czasopiśmie "The Month".

Później zaś wydawnictwo to uzupełnił i ważnymi dokumentami i przypiskami zbogacił przewielebny Ojciec Morris SJ, który dodawszy do tej biografii drugie również bardzo ważne pismo tegoż autora, to jest sprawozdanie jego o tak zwanym spisku prochowym, oba te pisma jako jedną całość ogłosił pod wspólnym tytułem: "Położenie katolików za panowania Jakuba I-go".

Z niejednego względu ciekawy jest ten życiorys. Kto lubi czytać dla rozrywki, znajdzie w nim całą ponętę romansu; z coraz wzmagającym się zajęciem idzie tu czytelnik za misjonarzem apostolskim po zawiłych drogach życia pełnego przygód, i zasianego wszelkiego rodzaju uciskami i niebezpieczeństwy, kędy szczwany z miejsca na miejsce jak dziki zwierz, zawsze jednak jakby cudem uchodzi rąk swych prześladowców.

Niemniej zajęcia ma to opowiadanie i dla historyka, rzucając światło na jedną z epok historii angielskiej dotychczas może najmniej wyświeconą. Znajdziemy tu niejedną wskazówkę do rozwiązania zawiłych kwestii historycznych. Znajdziemy różne szczegóły, objaśniające obyczaje i stosunki onych czasów. Wprowadzi nas autor do domów katolickich rodzin angielskich, i do schowań, w których się kryli kapłani, i do trybunałów i więzień londyńskich, słowem wprowadzi nas w sam środek owego wielkiego krwawego boju, który Kościół święty musiał naonczas staczać z anglikanizmem i z purytanizmem.

Autor tego pamiętnika, Ojciec John Gerard, urodził się r. 1564 z zamożnego i bardzo znakomitego rodu szlacheckiego w hrabstwie Lancashire. Dziad jego, Sir Thomas Gerard, odznaczył się na czele swych łuczników w bitwie pod Flodden Field. Ojciec tegoż imienia, Sir Thomas Gerard, był gorliwym katolikiem i wiernym zwolennikiem królowej szkockiej, którą kilkakrotnie, ale zawsze na próżno, usiłował wyzwolić z więzienia. Wskutek tego postradał większą połowę dóbr swoich i dwa razy nawet siedział zamknięty w Towerze. Miał dwóch synów: starszego Tomasza, który za odwdzięczenie usług oddanych przez ojca królowej Marii, został przez Jakuba I-go wyniesiony na godność hrabiowską; i młodszego imieniem John, który wstąpił do zakonu Jezuitów, i w niniejszym pamiętniku przygody swoje nam opowiada. Opowiadanie jego dochodzi aż do spisku prochowego. Posądzany niewinnie, jakoby głównym był sprawcą tego spisku, zmuszony był uchodzić z ziemi ojczystej. Uszedłszy szczęśliwie pod opieką posłów hiszpańskiego i flandryjskiego, przybył do Rzymu, i pracował tam u św. Piotra, jako penitencjarz angielski. Następnie zostawał dłuższy czas przy świeżo założonym nowicjacie angielskim św. Jana w Lowanium, potem był przełożonym w Leodium (Liège), później w Hiszpanii. Przy schyłku życia swego znowu wrócił do Rzymu i został spowiednikiem w kolegium angielskim, aż w dniu 27 lipca 1637 r. kochany i poważany od wszystkich, zakończył długi i pełen zasług żywot swój. Jeszcze w przeszłym wieku pokazywano w kolegium jego portret.

I.

Dziecinne lata i powołanie moje

Urodziłem się z rodziców odznaczających się niewzruszoną wiernością swoją dla Kościoła rzymskokatolickiego, którzy też nie lękali się jawnie tę wierność swoją okazywać, choć wielokrotnie za to na się ściągnęli ze strony rządzących prześladowania. I ja też aż nazbyt rychło doznałem bolesnych stąd skutków. Nie miałem jeszcze pięciu lat, kiedy wraz z bratem moim, także jeszcze dzieckiem, zmuszeni byliśmy opuścić dom rodzicielski, i przebywać między samymi heretykami w domu przyjaciela, z powodu, że mój ojciec i z nim dwóch innych panów, obwinieni o udział w sprzysiężeniu na korzyść królowej szkockiej, wtrąceni zostali do więzienia w Towerze londyńskim.

Nieszczęśliwa bowiem królowa trzymana była naonczas uwięziona w hrabstwie Derby, o dwie mile od naszej siedziby. W trzy lata potem ojciec mój, za złożeniem znacznej kaucji, został wypuszczony na wolność, i dzięki przezornej troskliwości z jaką, zmuszony zostawić nas w domu heretyckim, dodał nam był dobrego katolika za dozorcę i nauczyciela, czyści od wszelkich błędów religijnych, wróciliśmy z nim do rodzinnego ogniska.

W szesnastym roku życia dostałem się z bratem do Exeter College w Oxfordzie; tam wychowaniem naszym kierował zacny człowiek, niejaki Leutner; posiadał głęboką naukę i w gruncie serca był katolikiem, choć nie miał odwagi wyznawać otwarcie wiary swojej.

W Oxfordzie zostawaliśmy rok tylko; bo gdy innowiercy chcieli nas przymusić do uczestniczenia w ich nabożeństwie i przyjęcia sakramentów wedle ich obrządku, woleliśmy wrócić do domu ojcowskiego, gdzie i p. Leutner, postanowiwszy już żyć otwarcie po katolicku, wkrótce za nami przybył. Został z nami dwa lata, i pod jego przewodnictwem odbyliśmy studia łacińskie, potem się przeniósł do Belgii, gdzie po życiu pobożnym świątobliwie umarł.

Po jego rozstaniu się z nami zacząłem się uczyć języka greckiego pod kierunkiem bardzo dobrego kapłana ks. Wilhelma Sutton, który w domu naszym znalazł był schronienie przed uciemiężeniem religijnym. Zacny ten mąż wstąpił później do Towarzystwa Jezusowego, i wysłany przez przełożonych do Hiszpanii, zginął w rozbiciu okrętu na brzegach tego królestwa.

Mając lat dziewiętnaście pomyślnym trafem uzyskałem paszport, za którym udawszy się do Francji, trzy lata zostawałem w Rheims, dla nauczenia się języka francuskiego.

W tymże czasie, co było wielkim błędem, nie przysposobiwszy się należycie gruntownym obeznaniem się z wstępnymi do tego naukami, wziąłem się od razu do studiowania Pisma świętego. Miałem wprawdzie do pomocy kilka komentarzy, których się w trudniejszych miejscach radziłem; spisywałem także notatki z odczytów publicznych. W gruncie jednak zawsze sam sobie byłem nauczycielem i przewodnikiem, i jak już mówiłem brakowało mi i wiadomości wstępnych i należnego kierunku. Czytałem bez wyboru cokolwiek mi się podobało, szczególnie dzieła św. Bonawentury i inne pisma tegoż rodzaju. Poznałem także w tym czasie młodego jeszcze, świątobliwego człowieka, który pierwej był członkiem Towarzystwa Jezusowego, ale słabością zdrowia zmuszony zaniechać do czasu powołania swego, chwilowo w Rheims zamieszkał. Opowiedział mi, za co niech mu Bóg tysiąckrotnie odpłaci! – wszystek bieg życia swego, opisywał mi jak szczęśliwie upływały mu lata młodociane w domu Pana Zastępów, i czułem słuchając opowiadania jego, jak słodko jest człowiekowi nosić jarzmo Boskiego Mistrza od młodzieństwa swego. Zawiązała się przyjaźń między nami, i co dzień o pewnych godzinach, schodziliśmy się na wspólne odprawianie ćwiczeń pobożnych; on też pierwszy nauczył mię rozmyślania.

W dwudziestym pierwszym roku życia mego, gdy jeszcze byłem w Rheims, usłyszałem w sobie głos Boży, powołujący mię do opuszczenia błędnych manowców tego świata, i naśladowania Pana naszego Zbawiciela w świętym Towarzystwie Jego.

Po trzyletnim pobycie w Rheims udałem się do Collegium Clermont (późniejsze Collège Louis le Grand) w Paryżu, dla ukończenia mych nauk, a zarazem dla przypatrzenia się bliżej zakonowi Jezuitów. W trzy miesiące po moim tam przybyciu zachorowałem niebezpiecznie, lecz wkrótce z tej choroby szczęśliwie wyzdrowiałem. Następnie w towarzystwie Ojca Derbyshire udałem się do Rouen, dla przedstawienia się słynnemu Ojcu Parsons,

który przybywszy z Anglii, bawił po kryjomu w tym mieście, doglądając druku swojego *Christian Directory* (*Przewodnik dla chrześcijan*), tej przedziwnej książki, którą przekonany jestem, że więcej się dusz nawróciło, niż jest w niej stronic druku.

Zwierzyłem się Ojcu Parsons z zamiarem moim wstąpienia do zakonu. Ponieważ jednak wyzdrowienie moje nie tyle jeszcze było postąpiło, bym mógł na nowo się oddać przerwanym naukom moim, ponieważ nadto przed opuszczeniem świata należało mi jeszcze załatwić niektóre interesy, a mianowicie urządzić stosunki moje majątkowe, poradził mi zatem, bym pierwej powrócił do Anglii, gdzie bym pod wpływem powietrza ojczystego prędzej siły odzyskał, a zarazem przeszkody, które by mogły sprzeciwić się memu powołaniu, ile możności usunął. Wróciłem więc na łono mej rodziny, urządziłem wszystko, i po upływie roku zabrałem się do odjazdu. Tym razem odważyłem się na tę podróż bez paszportu, bo nie mógłbym był takowego uzyskać bez pośrednictwa mej rodziny, dla której wypadało, aby zamiar mój na teraz pozostał jeszcze tajemnicą.

Wsiadłem tedy na okręt w towarzystwie kilku innych katolików. Lecz po pięciu dniach żeglugi zmuszeni byliśmy wiatrem przeciwnym zawinąć na powrót do Duwru, gdzie nas wszystkich na komorze przytrzymano i pod silną strażą do Londynu odstawiono. Towarzysze moi z rozkazu tajnej rady królewskiej zostali wtrąceni do więzienia; ja, choć wyznałem żem katolik, na ten raz jeszcze uszedłem kajdan, a to wskutek wstawienia się za mną kilku członków rady, zostających w stosunkach przyjaznych z rodziną moją, którzy też za pierwszym moim odjazdem byli mi on paszport wyjednali.

Lecz pod tym pozorem pobłażania niebezpieczne ukrywało się sidło. W nadziei, że z czasem dam się namówić, odesłano mię do brata mojej matki, który był protestantem, i polecono temuż aby mię trzymał pod ścisłą strażą, i na wszelki sposób postarał się odwieść mię od mych zasad religijnych. Ale już trzeciego dnia wuj widząc, że nic ze mną nie wskóra, i prośbą i obietnicą zapłaty począł się starać o uwolnienie moje. Gdy jednak na zadane mu wedle zwyczaju pytanie, czy byłem w kościele, zmuszony był wyznać, że mimo wszelkiej usilności nie zdołał mię nakłonić do przyjęcia udziału w nabożeństwie, rada odprawiła mię z listem od siebie do tak zwanego biskupa londyńskiego. Ten zaraz przeczytawszy list, zapytał mię, czy mu pozwolę wszcząć ze mną maleńką dyskusję. Odrzekłem mu, że zgoła nie podlegam wątpliwościom religijnym, a zatem będę mu zobowiązanym, jeżeli wszelkiej dyskusji zaniecha. "Kiedy tak,

rzecze, więc jesteś pan więźniem moim". "Wola pańska, odpowiedziałem, ulegam przemocy". Zrazu, zapewne w nadziei, że dobrocią łatwiej dopnie swego celu, obchodził się ze mną dosyć łaskawie, żądał jednak, aby domowy kapelan jego razem ze mną nocował w pokoju.

Oświadczyłem z góry narzuconemu towarzyszowi memu, że mając stałe i nieodmienne zasady religijne, w żadne z nim rozprawy wdawać się nie myślę. Ale daremne było to zastrzeżenie moje, zaraz bowiem zaczął miotać najrozmaitsze obelgi na Kościół i Świętych, wskutek czego i ja nie mogłem się powstrzymać, bym nie wystąpił w obronie prawdy, i tak całą noc ujadaliśmy się z sobą, choć zresztą rychło się przekonałem, że święta nasza religia nie ma zbyt niebezpiecznego w tym człowieku przeciwnika.

Po dwóch dniach i biskup i kapelan stracili wszelką nadzieję nawrócenia mego, i z listem niby to "rekomendacyjnym" odesłali mię na powrót do tajnej rady; przy czym jeszcze biskup zapewniał mię, że gorąco ujął się za mną, i że z pewnością będę wkrótce wypuszczony na wolność. Wiedziałem ja, rozumie się, bardzo dobrze, co znaczą tego rodzaju piękne oświadczenia. Ledwie członkowie rady poznajomili się z treścią onej biskupiej rekomendacji, a natychmiast wydany został rozkaz osadzenia mię w więzieniu, ażbym, tak się wyrazili, nauczył się obowiązków "dobrego poddanego", bo ktokolwiek nie chciał brać udziału w ich herezji i świętokradztwach, ten już bez dalszego badania uchodził u nich za buntownika.

Zaprowadzono mię więc do Marshalsea (1), gdzie zastałem wielkie mnóstwo katolików, między nimi i wielu kapłanów, którzy z weselem radujących się w Bogu męczenników czekali na wyrok śmierci. Było to na początku adwentu, kiedym wstąpił do tej szkoły Chrystusowej, gdzie Opatrzność Boska nie tylko cudowne mi pociechy gotowała, ale nadto i wyborną podała mi sposobność do wznowienia przerwanych studiów moich. Dwa razy w czasie mego więzienia wywleczono nas przed sąd, nie na to aby nas sądzić, ale na to jedynie, aby nam oznajmić wysokość kar pieniężnych nałożonych na nas wedle litery prawa, jako na "rekuzantów". Na mnie przypadło sztrafu dwa tysiące złotych. Pewnego dnia, gdyśmy wracali z sądu, zasiadającego sześć mil angielskich od Londynu, otrzymałem za złożeniem przyrzeczenia, że tegoż samego wieczora się stawię, pozwolenie odwiedzenia przyjaciela, który leżał chory w okropnym lochu więziennym w Bridewell. W czasie pogrzebu słynnego Ojca Campian, przyjaciel o którym mówię, nie zdołał się powstrzymać od wypowiedzenia w kilku słowach uwielbienia swego dla

drogiego zmarłego, za co natychmiast został przytrzymany i odprowadzony do Marshalsea, gdziem go później zastał w ciężkie okutego kajdany. Prócz tego jednak, rad to dodaję na chwałę jego, nosił jeszcze pod suknią ostrą włosiennicę. Był cichy, pokorny i pełen miłosierdzia dla bliźnich w cierpieniu. Sam kiedyś na to patrzałem, jak znosił nieludzkie nad nim pastwienie się dozorcy więzienia, ani słowa skargi, ani jęku z siebie nie wydając. W końcu wraz z trzema innymi wyznawcami wtrącono go do ohydnego lochu w Bridewell, gdzie biedni więźniowie tak straszliwą znosić musieli nędzę, iż jedna z tych nieszczęśliwych ofiar, po kilku zaledwie dniach z głodu umarła. Zastałem biednego przyjaciela mego zmienionego nie do poznania: schorzały, ciężką pracą wyniszczony, wychudły jak szkielet, niemal zjedzony od brzydkiego robactwa, leżał na gołej ziemi, zgroza było nań patrzeć!

Ale wróćmy do Marshalsea. Od czasu do czasu przetrząsano nasze cele, czy snadź nie mamy gdzie schowanych jakich ozdób religijnych, relikwii, lub innych rzeczy Bogu poświęconych. Pewien odstępca, zjednawszy sobie podstępnie zaufanie nasze, zdradził nas, i odkrył zwierzchności skarby nasze, które przedtem udawało nam się trzymać w ukryciu. Skutkiem tego nastąpiła ścisła rewizja, i znaczny zasób książek katolickich i innych rzeczy religijnych dostał się w ręce naszych ciemiężców. W mojej izbie mianowicie znaleziono wszelkie przyrządy potrzebne do sprawowania Najświętszej Ofiary. Obok mnie bowiem mieszkał jeden przezacny kapłan, a ponieważ znalazł się był sposób otworzenia drzwi co nas przedzielały, zatem z wielką naszą radością kapłan ten każdego rana bardzo wcześnie mógł odprawić Mszę świętą. Wkrótce potem jednak zdarzyła się nam sposobność powetowania sobie straty naszej, i odtąd już nie udało się złości szatańskiej pozbawić nas tej nieskończonej pociechy.

W ciągu następnego roku, dzięki wstawieniu się osób wysoko położonych, nastąpiło moje uwolnienie; znaczna suma poręczona przez też osoby miała służyć za kaucję, że się z Anglii nie wydalę. Nadto było mi przykazanym przy końcu każdego kwartału stawić się w więzieniu. Po trzech czy czterech takowych dowodach obecności mojej, odważyłem się wrócić do dawnego zamiaru, zwłaszcza że jeden z przyjaciół moich oświadczył mi się z gotowością wzięcia na siebie wszystkiej za to odpowiedzialności, że się na następny termin nie stawię. Nieszczęśliwy wkrótce potem nie tylko majątek ale i życie postradał, jako jeden z najznaczniejszych z pomiędzy onych czternastu panów, którzy za przyjazne z królową Marią stosunki skazani zostali na śmierć i straceni. Lecz nieludzki ten czyn był tylko wstępem do niecniejszych jeszcze okrucieństw.

Doczekawszy się na koniec możności udania się za pociągiem serca mego, pojechałem do Paryża, gdzie zastałem Ojca Wilhelma Holt, przybyłego tamże ze Szkocji, i zabierającego się właśnie z prowincjałem francuskim w podróż do Rzymu. Postanowiłem więc towarzyszyć im w tej podróży.

Za przybyciem do Rzymu radzono mi, abym najprzód w kolegium angielskim ukończył nauki, i przyjął święcenia, przed wstąpieniem do Towarzystwa Jezusowego. Usłuchałem tej rady, czyniąc wbrew najgorętszym żądzom serca mego. Klimat rzymski okazał się zdrowiu memu szkodliwym, a gdy nadto nadzwyczajne miałem pragnienie nie gdzieindziej jak w nieszczęśliwej ojczyźnie mojej opowiadać naukę zbawienia, kazano mi przeto odbyć kurs całkowity teologii pozytywnej, to jest zwrócono studia moje wyłącznie do kazuistyki i kontrowersji.

Właśnie kończyłem nauki, kiedy wybuchła wojna między Anglią i Hiszpanią, i Filip II zagrażał Wielkiej Brytanii sławną swoją Armadą. W takim stanie rzeczy kardynał Allen upatrzył sobie mnie, aby mi powierzyć różne polecenia w interesie katolików angielskich, a ponieważ nie miałem jeszcze lat kanonicznych, wyjednał mi dyspensę papieską, abym mógł otrzymać święcenia. Pragnąłem jednak bardzo przed odjazdem zostać przypuszczonym do Towarzystwa Jezusowego, i dzięki zacnym staraniom Ojca Parsons otrzymałem to, że mi pozwolono wstąpić do nowicjatu, który miałem później ukończyć w Anglii. Zresztą nie ja jeden prosiłem o tę łaskę; kilku uczniów kolegium angielskiego tąż samą żądzą pałało, i wszyscy pospołu z wszelką, na jaką mogliśmy się zdobyć usilnością, staraliśmy się wiernie naśladować nowicjuszów klasztoru św. Andrzeja, kolejno z nimi służąc w kuchni i po szpitalach. Nareszcie dnia 15 sierpnia 1588 r. w dniu Wniebowzięcia Najświętszej Panny Maryi, dostąpiłem tego szczęścia, żem został przyjęty przez Ojca generała Aquaviva na członka Towarzystwa Jezusowego. Razem ze mną wstąpił do zakonu Ojciec Ouldcorne, i zaraz potem obydwaj w towarzystwie dwóch księży świeckich, także uczniów kolegium angielskiego, odjechaliśmy do Anglii.

Przypisy:

(1) Dosłownie: stolica marszałkowska, to jest więzienie w Southwark, części miasta Londynu.

II.

Przybycie do Anglii

Aż do Bazylei nic nam się w podróży nie zdarzyło wspomnienia godnego. Stanąwszy w tym mieście, chcieliśmy obejrzeć dawne kościoły katolickie; bo lutrzy nie zwykli niszczyć katolickich dzieł sztuki, jak to czynią kalwini. Zatrzymaliśmy się więc przed jednym z tych kościołów, przypatrując się zewnętrznej jego budowie, gdy wtem przystąpił do nas jakiś człowiek, ofiarując się z gotowością pokazania nam wszystkich ciekawości miasta Bazylei. Zdziwiła nas nieco taka uprzejmość ze strony różnowiercy dla księży katolickich, za których nas mógł poznać od razu po sukni. Ponieważ nowy nasz przyjaciel przemówił do nas po francusku, zapytałem go więc w dalszym ciągu rozmowy, skąd jest rodem, i dowiedziałem się, że pochodzi z Lotaryngii. Ciekawy byłem naturalnie, co go mogło skłonić do porzucenia ojczyzny i wiary ojców swoich, na co mi odrzekł, że skłoniła go do tego zbytnia surowość przykazań Kościoła. "Którychże przykazań? spytałem, wszak Kościół nic innego nie przykazuje, jak to co już jest przykazano w Ewangelii, a Chrystus Pan sam nas upewnił, że jarzmo Jego jest wdzięczne i brzemię Jego lekkie?". W końcu wyznał nieszczęsny, że jest kapłanem odstępcą, że z tego powodu schronił się do Bazylei i żyje z kobietą, którą zwał żoną swoją, a utrzymuje się z lichwy.

Zakląłem go na wszystko, aby porzucił tę drogę zatracenia, aby odstąpił nieszczęsnej swej wspólniczce jakąś część majętności swojej, a sam zaniechał niecnego swego rzemiosła, a obrał sobie uczciwy sposób do życia. Z wielką moją radością istotnie wymogłem na nim, że mi to wszystko obiecał, i wręczył mi list do biskupa swego, w którym wyrażał temuż życzenie swoje pojednania się znowu z Kościołem katolickim. List ten w przejeździe przez Lotaryngię odesłałem według adresu, i cieszę się nadzieją, że zbłąkany wytrwał w dobrych postanowieniach swoich.

Po długiej i uciążliwej podróży, stanęliśmy w Eu, gdzie zakon nasz był otworzył kolegium dla młodzieży angielskiej, później z powodu wypadków wojennych przeniesione do Saint Omer. Ojcowie tameczni sprzeciwili się jak najmocniej zamiarowi naszemu przeprawienia się do Anglii. W istocie pora była niepomyślna. Niefortunna wyprawa Filipa II roznieciła do najwyższego stopnia zawziętość przeciw katolikom. Ścigano ich z dwa razy większą jeszcze niż przedtem surowością; przetrząsano każdy dom, gdzie sądzono, że mogą być ukryci kapłani. Po wszystkich nawet drogach i drożynach, w odległych nawet ustroniach czyhali na nich rozstawieni szpiegowie; bo hrabia Leicester, który właśnie w tej chwili stał u szczytu swej potęgi, przysiągł był, że nim rok upłynie wszystkich katolików co do jednego wytępi. (Nie spodziewał się tego okrutnik, że sam nie dożyje połowy dni swoich; przy końcu tegoż roku już go nie było między żyjącymi). Nie mogliśmy się sprzeciwić tak przekonywającym argumentom, i zatrzymaliśmy się do czasu, aż do odebrania nowych instrukcji z Rzymu, które też wkrótce nadeszły.

Przyznano, że od naszego wyjazdu stan rzeczy istotnie się zmienił; ponieważ jednak, takie było dalsze brzmienie instrukcji, na to wybraliśmy się do Anglii, aby bronić tam królestwa Chrystusowego, przeto generał zakonu zostawia nam do woli, czy chcemy czekać aż burza minie, czy też wolimy nie zważając na nią, zaraz nasz zamiar uskutecznić.

Niedługo wahaliśmy się co wybrać. Wsiedliśmy niebawem na okręt, płynący do Anglii północnej, gdzie ludność mniej była rozjątrzoną. Dwaj towarzysze nasi woleli na teraz jeszcze pozostać, i nie wystawiać się na tak wielkie niebezpieczeństwa; za to przyłączyło się do nas dwóch kapłanów świeckich z Rheims, i tak okręt nasz jednak z czterema księżmi odpłynął. Wszyscy, wyjąwszy mnie, którego Pan bez wątpienia uznał tego niegodnym, zginęli śmiercią męczeńską. Dwaj oni kapłani świeccy od razu wpadli w ręce swych prześladowców, i chwalebną śmiercią rychło dokonawszy biegu, w krótkim czasie daleką metę przebiegli. Nazywali się, jeden Krzysztof Bales, a drugi Jerzy Beesley. Co do czcigodnego ojca Ouldcorne, ten dopiero po osiemnastu latach znojnej pracy miał polać krwią swoją tę rolę, którą w pocie czoła swego uprawiał.

Przebywszy kanał i płynąc wzdłuż wybrzeża angielskiego, trzeciego dnia żeglugi naszej upatrzyliśmy z ojcem Ouldcorne miejsce przydatne do wylądowania. Zdawało nam się rzeczą niebezpieczną wszystkim razem na jednym miejscu wysiadać, i przeto poleciwszy się Bogu i naradziwszy się z

towarzyszami naszymi, zażądaliśmy zarzucenia kotwicy na tym miejscu, aż do zmierzchu. Około północy szalupa wysadziła nas na brzeg, po czym okręt rozwinął żagle, i szybko jak strzała pomknął dalej.

Pierwszą myślą naszą, gdyśmy stanęli na lądzie, była gorąca modlitwa i wezwanie na pomoc Opatrzności Boskiej. Potem zabraliśmy się szukać jakiej drogi, którą byśmy przed świtem zdołali oddalić się od brzegu, i wniknąć dalej w głąb kraju. Ale noc była ciemna i niebo pochmurne, więc niepodobna było wynaleźć ścieżki nam potrzebnej. Ile razy wstąpiliśmy na jaką drogę, tyle razy szczekanie psów ostrzegało nas, że zbliżamy się do mieszkań ludzkich, i słusznie należało się obawiać, by ludzie przebudzeni nie schwytali nas jako złodziejów; postanowiliśmy więc ukryć się aż do świtu, w pobliskich zaroślach i nieco wypocząć. Na nieszczęście mieliśmy już koniec października, i rzęsisty deszcz połączony z chłodem jesiennym nie pozwolił nam zasnąć ani na chwilę. Z obawy zdradzenia się ledwośmy śmieli usta otworzyć, i stłumionym głosem szepcząc do siebie naradzaliśmy się co począć. Czy spróbować razem przedrzeć się do Londynu, czy też lepiej rozłączyć się, aby w razie pojmania jednego, może choć drugi dostał się do celu? W końcu obraliśmy ten drugi sposób. O świcie wyciągnęliśmy losy, który z nas, ojciec Ouldcorne czy ja, pierwszy ma się wychylić z zarośli. Los padł na niego, i on też pierwszy to nędzne mieszkanie na ziemi zamienił na niebieską ojczyznę. Podzieliliśmy się pieniędzmi, potem uściskaliśmy się i przeżegnali jeden drugiego. Ojciec Ouldcorne wyszedł z lasku, i wzdłuż rzeki zmierzał do sąsiedniego miasteczka. Tam przyłączył się do kompanii majtków idących do Londynu. Zawiązał przyjaźń z tymi nieokrzesanymi ludźmi, i wszędy uchodząc za jednego z nich, tym sposobem bez dalszych przygód stanął szczęśliwie w stolicy. Kilka razy jednak o mało że nie przyszedł do kłótni z towarzyszami swymi, gdy ci ośmielili się w obecności jego prowadzić nieprzystojne rozmowy, za co nie mógł powstrzymać się, by ich nie zganił. Niejeden tego rodzaju podziwienia godny szczegół o nim słyszałem. Pewnego razu w Londynie przyszedł w odwiedziny do jednego pana, katolika i bardzo mu przychylnego. Na samym wstępie spostrzega w oknie jakieś niezbyt uczciwe malowanie na szkle, przedstawiające Marsa i Wenerę. Nie wahając się ani chwili, idzie prosto do okna, i chociaż dom nie był własnością jego przyjaciela, jednym uderzeniem pięści rozbija obraz na kawałki, poczym spokojnie tłumaczy przerażonemu gospodarzowi, że nie przystoi cierpieć u siebie takiego malowidła.

Po odejściu towarzysza mego, i ja też niebawem udałem się w drogę, ale w kierunku wprost przeciwnym. Ledwom był uszedł kilka kroków, kiedy ujrzałem z daleka zbliżających się ku mnie wieśniaków. Śmiało wyszedłem na ich spotkanie i zapytałem, czy nie widzieli sokoła mego, który się w tę stronę musiał zabłąkać, albo czy nie słyszeli przynajmniej dzwonka, który miał u szyi. Tym małym wybiegiem naprowadzając ich na myśl, że idę za zgubionym sokołem, chciałem zapobiec wszelkim podejrzeniom, jakie by przeciwko mnie powziąć mogli, widząc, że nie znam tej strony. Naturalnie, że dobrzy oni ludzie nie byli sokoła mego ani widzieli ani słyszeli, i prawdziwe na twarzy ich malowało się zmartwienie, że mi żadnej o nim wiadomości dać nie mogą. Ja też udawałem jak mogłem zakłopotanego, i niby wciąż szukając zaglądałem do pobliskich zarośli. Ile razy kogo spotkałem, zawsze toż samo powtarzałem pytanie, i naturalnie tęż samą odbierałem odpowiedź. Dzięki temu małemu podejściu udało mi się bez ściągnięcia na siebie podejrzeń dostać się w głąb kraju, omijając jednak ile możności bitą drogę i wsie, bo aż nadto dobrze wiedziałem, że wszędzie stoją rozstawione straże, z poleceniem zatrzymania każdego obcego. Tym sposobem krętymi manowcami, którymi nieraz dość długo postępując znowu się znalazłem skądem był wyszedł, przebyłem przestrzeń ośmio czy dziesięcio milową. Na koniec, gdy już zapadła noc, przemokły od deszczu, głodem i strudzeniem wycieńczony, bo dnia poprzedniego dla kołysania się okrętu, ani jeść ani spać nie mogłem, wstąpiłem do stojącej przy drodze karczmy wiejskiej, przewidując, że w takim miejscu łatwiej niż gdzieindziej uniknę podejrzeń i niewczesnych dla mnie pytań. W krótkim czasie wypocząłem z trudów moich. Gospodarz mój był w jak najlepszym humorze, zwłaszcza gdy wspomniałem, że mam chęć kupić u niego kuca, którego w stajni jego widziałem. Prawda, że drogo za niego musiałem zapłacić, ale za to miałem tę korzyść, że podróż na koniu nie tylko prędzej mię doprowadzi do celu, ale nadto jeszcze z nierównie większym odbędzie się bezpieczeństwem, bo nawet w zwyczajnych czasach podróżujący piechotą daleko bardziej tego się mogli obawiać, by ich nie wzięto za włóczęgów i nie przytrzymano.

Nazajutrz rano więc dosiadłem mego konia i puściłem się w drogę do Norwich, stolicy hrabstwa tego imienia. Jeszczem nie był dwóch mil ujechał, kiedym się dojeżdżając do jakiejś wsi ujrzał otoczonym strażą. Kazano mi stanąć i zapytano: kto jestem i skąd jadę. Odpowiedziałem, że jestem sługą jednego lorda z sąsiedniego hrabstwa. W rzeczy samej dobrze znałem tego pana, ale dla nich nazwisko jego zupełnie było obcym. Oświadczono mi tedy, że

muszę się stawić przed miejscową zwierzchnością i przed urzędnikiem policyjnym; lecz obaj w tej chwili byli w kościele, gdzie odprawiało się nabożeństwo nowatorów. Uciec było niepodobna, ani też stawić oporu, i wszelka wymowa moja byłaby daremną. Poddałem się przeto, i pod strażą pojechałem na cmentarz kościelny. Jeden ze strażników moich wszedł zaraz do kościoła, i po chwili wrócił z oznajmieniem, że urzędnik policyjny rozmówi się ze mną po nabożeństwie, a tymczasem polecił, bym i ja poszedł do kościoła. Oświadczyłem mu na to, że wolę poczekać na dworze. "Ależ nie, mówię panu, odrzekł poseł; musisz wnijść". "A ja ci mówię, że zostanę tu, odparłem spokojnie; chciałbyś może, bym puścił konia mego samopas?". "Jak to, rzecze tamten, nie chcesz nawet zsiąść z konia dla słuchania słowa Bożego? Przyznam się panu, że takie wzdraganie się bardzo źle o panu uprzedzi, a co do konia, to choćby i zginął, moja będzie rzecz dostarczyć panu drugiego i daleko lepszego". "Idź zaraz, zawołałem z uniesieniem, i powiedz temu panu, że czekam na niego tu przede drzwiami; jeżeli chce się ze mną widzieć, niech wyjdzie". Istotnie za odebraniem takiego poselstwa wyszedł z kościoła on urzędnik, w towarzystwie kilku innych, i z miną nie bardzo zadowoloną przystąpił do badania. Zapytał mię o imię i nazwisko, jaki mój stan, skąd jadę, gdzie mieszkam, jaki cel mej podróży. Opowiedziałem mu słowo w słowo to samo, co przedtem mówiłem jego podwładnym. Na zapytanie czy nie wiozę jakich listów, oświadczyłem mu, że może mię zrewidować. Tego przecie nie zrobił, ale oznajmił mi, że musi mię odesłać do sędziego pokoju. "Mniejsza o to, odrzekłem, niech i tak będzie; tylko przyznam się panu, że nie mam czasu do stracenia, i bardzo byłbym zobowiązany, gdybyś mię zwolnił od dalszej mitręgi". Zamilkł na chwilę, jakby się namyślał co zrobić, a ja tymczasem już widziałem w duchu, jak mię wloką do sędziego, a stamtąd do więzienia. Lecz nagle policjant spojrzał na mnie z mniej surowym wyrazem twarzy, i po chwili rzekł: "No, jedź sobie w imię Boże: zdajesz mi się być uczciwym człowiekiem, nie chcę cię dłużej zatrzymywać".

I w dalszej też podróży nie opuściła mię Opatrzność Boska. Dojeżdżając już prawie do Norwich, spostrzegłem w niejakim oddaleniu jadącego przede mną na koniu młodego człowieka; chciałem go dogonić i dowiedzieć się od niego, jak stoją rzeczy w mieście, i w jakiej gospodzie najlepiej stanąć: bo z powierzchowności zdawał mi się człowiek szczery i dobry. Ale miał konia lepszego niż ja, i jakkolwiek przyśpieszałem biegu jak mogłem, nie udało mi się z nim zrównać. Tak goniłem za nim dwie czy trzy mile, aż paczka którą miał przywiązaną u siodła spadła mu, wskutek czego musiał konia swego wstrzymać,

i zsiąść aby podnieść swą zgubę. Maleńkie to zdarzenie wyratowało mię. Dogoniłem go przecie, i poznałem, że to młody prosty wieśniak, właśnie taki towarzysz podróży, jakiego ja sobie życzyłem, i jemu też w rzeczy samej to zawdzięczam, żem uszedł niebezpieczeństw jakie mi zagrażały. Zapytałem go, czy nie może mi wskazać dobrej austerii w pobliżu bramy miejskiej, przez co by mi oszczędził kłopotu szukać takowej i błąkać się po ulicach. Wskazał mi czegom pragnął, nadmieniając, że jeżeli chcę stanąć w tym domu, to najlepiej dojechać do niego okrążając miasto. Zasięgnąwszy dokładnych ile mi było potrzeba objaśnień, co do drogi i samejże austerii, podziękowałem mu i pożegnałem. Zwrócił się prostą drogą ku środkowi miasta, co i ja byłbym uczynił, i na największe przez to naraził się niebezpieczeństwo, gdyby mię rady jego nie były w inną stronę zwróciły.

Okrążyłem więc mury miejskie aż do wskazanej mi bramy, i zaraz też ujrzałem przed sobą austerię, którą mi towarzysz mój był polecił. W kilka chwil po przybyciu moim wszedł do izby gościnnej człowiek ile się zdawało dobrze znajomy z tym domem. Skłonił mi się uprzejmie, i siadłszy przy ogniu począł opowiadać o kilku panach uwięzionych w tym mieście. Wymienił między innymi jednego, którego krewnego byłem poznał przed siedmiu laty w więzieniu Marshalsea. Siedziałem milczący, chciwie chwytając każde słowo jego, a gdy wyszedł z izby, zapytałem kto to. "Jest to bardzo uczciwy człowiek, odpowiedziano mi; szkoda tylko że katolik". Wyraziłem na to zdziwienie moje, że z taką rzeczą się nie kryje, a jednak jest na wolności, ale mię objaśniono, że ten pan razem z wielu innymi przez długie lata siedział zamknięty w zamku Norwichskim, i dopiero niedawno temu został wypuszczony. Naturalnie zapytałem, czy może od wiary odstąpił. O nie, bynajmniej, odpowiedziano mi, tego nigdy nie zrobi, bo nadto jest uparty; wyzwolono go też jedynie za przyrzeczeniem, że na pierwsze wezwanie znowu się stawi. Często tu bywa dla widzenia się z jednym z uwięzionych.

Zamilkłem i czekałem aż wróci. Niezadługo też nadszedł, i skoro nas zostawiono samych, oświadczyłem mu, że pragnąłbym z nim pomówić. Wyznałem mu następnie, że jestem katolikiem, i że wielką w nim ufność pokładam, dowiedziawszy się, jak mimo twardych prześladowań wierny pozostał religii swych ojców. Dodałem, iż trafem przybyłem do Norwich, i pragnąłbym dostać się do Londynu, i przeto wielką by mi oddał przysługę, a zarazem spełniłby dobry uczynek, jeśliby się chciał postarać o wynalezienie mi jakiej osoby znajomej, która by mię wzięła z sobą jako towarzysza podróży, a tym samym uchroniłaby mię od poszukiwań siepaczy; zresztą nie byłbym dla

niej ciężarem i koszta podróży sam bym ponosił. Lecz poczciwy powiernik mój oświadczył mi, iż w tej chwili nie wie o nikim, co by się wybierał do Londynu. Prosiłem go zatem jeszcze usilniej, aby mi choć płatnego wynalazł towarzysza, i przyrzekł mi, że się o to postara. "Zresztą, dodał, znam jednego pana, który chwilowo bawi tu w Norwich; może on będzie mógł panu być użytecznym, zaraz pójdę do niego". I to rzekłszy wyszedł. Wkrótce potem wrócił, i zaprosiwszy mię z sobą, wstąpił ze mną po drodze do jednego sklepu, jakby chciał co kupić. Zastaliśmy tam onego pana, który właśnie to miejsce był naznaczył dla spotkania się z nami, chcąc pierwej mi się przypatrzyć, nim by się dał poznać. W końcu zbliżył się do nas, i szepnął do ucha towarzyszowi memu, żem ja pewno kapłan katolicki. Zaprowadził nas potem do katedry, i po kilku zapytaniach zaklął mię bym mu powiedział prawdę, czy jestem kapłanem czy nie, obiecując mi przy tym, że gotów mi służyć w czym jeno zdoła. Była to bezwątpienia bardzo nęcąca obietnica; ale roztropność nie pozwalała mi zadość uczynić żądaniu jego, póki bym nie zasięgnął potrzebnych o tym nowym przyjacielu wiadomości. Lecz gdy mój towarzysz wymienił mi stan jego i nazwisko, nie mogłem nie uznać, że Pan Bóg sam zsyła mi tę pomoc niespodzianą i wyznałem mu, że jestem kapłanem z Towarzystwa Jezusowego, i że przybywam z Rzymu. Kazał mi tedy przebrać się, i dawszy mi dobrego konia wybrał się ze mną w drogę do jednego z przyjaciół swoich mieszkającego na wsi. Następnego dnia dopiero przybyliśmy do własnego domu jego. Miał przy sobie brata innowiercę i siostrę owdowiałą, także protestantkę, która zastępowała u niego miejsce pani domu. Wszystko to zmuszało mię do jak największej ostrożności, aby nie wzbudzić podejrzenia. Brat z początku wielkie mi okazywał niedowierzanie; zapewne dziwiły go nadzwyczajne względy, jakimi mię choć obcego gospodarz otaczał; lecz po kilku dniach, gdy niejednokrotnie miał sposobność słyszeć mię rozprawiającego z biegłością znawcy o myślistwie i sposobie polowania z sokołami, zupełnie zaniechał swych podejrzeń. Prawda, że nieraz użyciem takiego fortelu można się nabawić skutków wręcz przeciwnych, to jest kiedy kto go używa bez należnej świadomości rzeczy, i przez to sam się zdradzi; ale ja dość mocny byłem w tej materii, aby uniknąć podobnego nieszczęścia; stąd kiedyś i ojciec Southwell, który mi często w podróżach moich towarzyszył, prosił mię, bym go nauczył technicznych wyrazów myśliwskich. "Niezliczone razy, mówił, znajdując się między protestantami, radbym był mówił z nimi o takich rzeczach, aby ich przez to odwieść od rozmów nieprzystojnych, lub bluźnierczych, w podobnych

zdarzeniach już i to szczęście, jeśli się uda zwrócić rozmowę do rzeczy obojętnych".

Po kilku dniach wypoczynku, za zgodą uprzejmego gospodarza mego pojechałem do Londynu, aby się oddać pod rozkazy generalnego przełożonego misji, ojca Garnett. Przyjaciel mój darował mi konia, i żądał koniecznie, aby jeden ze służących jego towarzyszył mi aż na miejsce. Wymógł nadto na mnie przyrzeczenie, że wrócę do niego, zapewniając mnie, że znajdę w domu jego sposobność przywrócenia na łono Kościoła świętego niemałej liczby odpadłych katolików, mieszkających w hrabstwie Norwich. Przyrzekłem mu, że przedstawię to ojcu Garnett, który jeśli to uzna za dobre, chętnie do niego powrócę. Z tym odjechałem, i bez dalszych przygód stanąłem w Londynie.

Tak więc, dzięki Opatrzności Boskiej, zaraz pierwszego dnia pobytu mego w tym hrabstwie, bardzo odległym od rodzinnych stron moich, w którym przedtem żywej duszy nie znałem, nadarzył mi się wierny przyjaciel, który nie tylko z wielkiego niebezpieczeństwa mię wybawił, ale nadto jeszcze, wprowadzając mię do najznakomitszych rodzin tej strony, stał się przyczyną wszystkiego dobrego, jakie tam później zdziałać mogłem. Za przybyciem do Londynu udało mi się szczęśliwie, za pomocą kilku przyjaciół, wynaleźć zaraz miejsce pobytu ojca Garnett. Żyło wówczas w Anglii nie więcej jak pięciu członków naszego zakonu: ojciec Garnett, ojciec Edmund Weston, który miał być naszym przełożonym, ale siedział uwięziony w Wisbeach, ojciec Robert Southwell i my dwaj nowo przybyli.

Ojciec Ouldcorne, mój towarzysz podróży, już dawno był na miejscu, tak iż ojciec Garnett, choć zrazu widział w tym dobry znak, że nic o mnie nie słychać, w końcu jednak już zaczynał się niepokoić. Już więc przecie byliśmy znowu razem, i każdy łatwiej przedstawi sobie radość naszą przy spotkaniu, niżbym ją opisać zdołał. Pozostałem dni kilka w towarzystwie mych braci, i składaliśmy radę po radzie, obmyślając, jak mamy nadal postąpić. Dobry ojciec Garnett wiele miał dla nas przestróg i wskazówek, jakich użyć sposobów, aby skutecznie dusze ratować i pocieszać; jak również i rady ojca Southwell nadzwyczajny dla nas miały pożytek. Ten ostatni wysokim był mistrzem w tej Boskiej umiejętności, bo posiadał roztropność, pobożność i cichość, i taki wdzięk uprzejmości, jakiemu prawie niepodobna było się oprzeć. Lecz zbliżał się święty dzień Bożego Narodzenia, i musieliśmy się rozstać; bo i wierni wyglądali z pożądaniem pomocy naszej, i niebezpieczeństwa też, jak o tym aż nadto wiedzieliśmy, w czasie uroczystych świąt groźniej jeszcze niż w innych czasach nad nami wisiały.

III.

Pobyt w różnych hrabstwach

Istotnie więc wróciłem do onej dostojnej rodziny w hrabstwie Norwich, która mi była ofiarowała gościnne u siebie przyjęcie. Ojciec Garnett zaopatrzył mię na wyjazd w obfity zapas ubrania i innych potrzeb, aby przyjaciele moi nie byli zmuszeni robić na mnie wydatków. I później też Opatrzność Boska nie dopuściła, by mi zbywało na czym potrzebnym, owszem tyle mi udzielała, że mogłem jeszcze nieść pomoc braciom niedostatek cierpiącym. Zwykle się ubierałem na sposób majętnego pana wiejskiego, bo i najdogodniej mi było w tym ubraniu, i znacznie mi ono ułatwiało stosunki z protestantami.

Nie upłynęło jeszcze osiem miesięcy, a już brat mego gospodarza i szwagier, i jedna z dwóch jego sióstr, choć zawsze przedtem była zagorzałą kalwinką, wrócili na łono prawdziwego Kościoła.

Również powiodło mi się z nawróceniem siostry jednego sędziego (1), który dotychczas jeszcze jest najmocniejszym filarem kalwinizmu. Oto w krótkości historia tej pani. Wychowała się w domu swego brata, i od najwcześniejszych lat dziecinnych błędy jego sekty były jedynym jej duchowym pokarmem. Na krótki czas przed naszym spotkaniem, pani ta dziwne miała zdarzenie. Trapiona niepokojem o zbawienie swej duszy, udała się do niejakiego pana Perna (2), profesora przy Uniwersytecie Cambridge. Uczony ten doktor, jak o tym wiedziała, już trzy czy cztery razy był zmienił religię, w miarę jak monarcha kraju za tym lub owym wyznaniem się oświadczał; mimo to jednak zawsze używał sławy wielkiej uczoności. Do tego więc pana, jako do zaufanego przyjaciela domowego, udała się, zaklinając go na sumienie i obowiązki najświętsze, aby jej powiedział, która wiara zdaje mu się być prawdziwa, i co ma uczynić aby zbawić duszę swoją. Uczony nasz, przyparty do muru tak poważnym i donośnym w skutkach swoich pytaniem, i wstydząc się zapewne oszukiwać duszę udręczoną i odwołującą się z ufnością do uczciwości jego, taką dał na to odpowiedź: "Ponieważ, rzekł, pani żądasz, abym ci tak poradził,

jakbym własną duszą miał odpowiadać za duszę twoją, więc nie mogę nie wyznać pani prawdy; ale na wszystko co ci jest drogiego zaklinam panią, byś mię nigdy ani jednym słowem nie zdradziła: *żyj* pani w tej religii, którą wyznaje królowa, bo ta zostawia większą swobodę i zasłania od wszystkich onych ucisków, które cierpieć muszą katolicy. Lecz jeśli chcesz zbawić swą duszę i nie zginąć na wieki, tedy koniecznie o to się postaraj, byś kiedyś *umarła* córką Kościoła katolickiego". Tak mówił nieszczęsny, ale sam nie uczynił jak radził, bo odkładał od dnia do dnia nawrócenie swoje, aż w końcu zaskoczony śmiercią, umarł heretykiem. Jednego wieczoru, wracając z obiadu od mniemanego arcybiskupa kanterburskiego, padł martwy u drzwi mieszkania swojego, nie otrzymawszy nawet łaski tej skruchy, na którą żyjąc jako odstępca, przecie z taką pewnością rachował. Szczęśliwszą była ta, której tak radził. Z początku wprawdzie nie uwierzyła słowom jego; lecz po kilkakrotnych z mej strony objaśnieniach, jako jedna tylko religia katolicka jest prawdziwą i do zbawienia wiodącą, zwątpiła o swojej, i pewnego dnia przyniosła mi swe księgi kacerskie. Zbiłem jej po kolei wszystkie błędy w nich zawarte, wykazałem jej jako wiele tekstów, na które się powołują, przywiedzione są niedokładnie i nie w całości, sprostowałem fakty wprost zmyślone albo przynajmniej fałszywie w tych książkach przedstawione, i w końcu przy pomocy łaski Bożej skłoniłem ją do tego, że się nawróciła; jakoż i od tego czasu pozostała i jest wierną córką Kościoła katolickiego. Tak to Pan Bóg z samego skorpiona umiał wyciągnąć lekarstwo na zagojenie rany ukąszeniem skorpiona zadanej.

Młodsza siostra gospodarza mojego, zamężna z panem wysokiego rodu i bardzo bogatym, miała serce bardzo sposobne do przyjęcia ziarna prawdy Bożej, i nawróciłem ją bez żadnej trudności. Pewnego razu, gdy właśnie z przyjacielem moim bawiłem w jej domu, zdarzyło się, że cierpiąc boleści ciężkiego połogu, prawie już była umierającą. Mąż jej, człowiek światowy, i do rzeczy tych ziemskich przywiązany, wiedział, że jestem katolikiem, ale nie wiedział żem i kapłanem. Przy pomocy szwagra udało mi się przecie namówić go, by żonie swojej, kiedy już nie masz nadziei uratowania jej życia, zostawił zupełną wolność przygotowania się na przejście do wieczności, i zgodził się na to, że w nocy zawołamy do niej jednego księdza staruszka, wyświęconego jeszcze przed wstąpieniem na tron Elżbiety; bo księża tej kategorii mniej byli wystawieni na prześladowanie niż drudzy.

Chora odbyła spowiedź i przyjęła Wiatyk i Sakrament Ostatniego Namaszczenia. W półgodziny potem niebezpieczeństwo ustąpiło. Mąż

uszczęśliwiony tym niespodzianym ocaleniem żony, żądał objaśnienia, co by znaczyła ta cudowna tajemnica. Powiedziałem mu, że Ostatnie Namaszczenie często sprawuje uzdrowienie chorego, jeśli Pan Bóg w mądrości swojej widzi to być z pożytkiem dla duszy. Był to pierwszy wstęp do nawrócenia jego. Podziwiając skuteczność świętych naszych Sakramentów, zapragnął i dla siebie uzdrowienia duszy w Kościele katolickim.

Nie wahałem się kuć żelazo póki rozpalone, i zaraz z nim zacząłem przygotowanie do przyjęcia świętego Sakramentu Pokuty. Nie chcąc jednak jeszcze zwierzyć mu się z tym, że jestem kapłanem, powiedziałem mu tylko, że go będę uczył, jak kiedyś mnie samego nauczono. Przygotował się z wielkim zapałem, czekając już tylko na przybycie kapłana, któryby go przyjął na łono Kościoła. Ale mu szwagier oświadczył, że kapłan nie może przyjść inaczej jak w nocy. Gdy wreszcie już zrobił się wieczór, odprawił wszystką służbę, a sam udał się na samotność do biblioteki, gdzie chciał zostawać na modlitwie, ażby nadszedł kapłan, którego mu obiecałem przyprowadzić. Zeszedłem na dół, i ubrałem się w suknię duchowną. Gdym się znowu przed nim ukazał w tym ubraniu, tak mu się zdawałem zmieniony, że własnym oczom nie wierzył, i z wielkiego zdziwienia słowa przemówić nie zdołał. Łatwo jednak na przedstawienia nasze się zgodził, uznając, że takie z mojej strony ukrywanie się było potrzebnym, a zresztą pobyt mój w domu jego na żadne go nie może narazić niebezpieczeństwo, kiedy sam tak długo obcując ze mną, najmniejszego o kapłańskim stanie moim nie powziął podejrzenia.

Nawrócił się więc, a co do żony jego, tej dano nawet było w późniejszym czasie wiele dla wiary świętej ucierpieć.

Oprócz dopiero co wspomnianego, jeszcze dwudziestu kilku panów wysokie stanowisko zajmujących, których jednak nazwiska przez ostrożność wolę zamilczeć, tudzież znaczną ilość osób mniej znakomitych, na łono Kościoła świętego przywróciłem. Często też miałem sposobność dusze chwiejące się w wierze utwierdzić, i wiele spowiedzi z całego życia wysłuchać. Wielu młodzieńców, którzy później wyszli na apostołów i głośnych męczenników, odbyło pod moim kierunkiem ćwiczenia duchowne świętego Ignacego, i tknięci łaską Bożą wyrzekli się najświetniejszych nadziei, aby się zaciągnąć do świętego wojska żołnierzy Chrystusowych. Jednym z głośniejszych między nimi jest ojciec Edward Walpole, profes trzech ślubów. Pobożny ten młodzieniec wiele miał do ucierpienia od własnego ojca, kalwina, jak również i od innych krewnych swoich, którzy wszyscy byli zwolennikami doktryn nowatorskich.

Wydziedziczony od ojca, i na szczupłą pensję skazany, żył on w domu rodzicielskim jakby w więzieniu, spędzając samotnie dni swoje w wyznaczonym mu pokoju, i wszystek oddany modlitwie, lub czytaniu Ojców świętych. Żadnej nie miał styczności z swoimi, wyjąwszy u stołu. Tam pewnego razu poznał się ze mną, i po niejakim czasie zrozumiałem, iż także ma powołanie wstąpić do Towarzystwa Jezusowego. Brat też jego stryjeczny, Michał Walpole, teraz już profes czwartego ślubu, poszedł za jego przykładem.

Był i to młody człowiek, gorącą dla religii świętej pałający żarliwością. Często mi jako powiernik towarzyszył w wycieczkach moich w sąsiedztwo. A teraz wielka to dla mnie radość, że widzę obu braci, pracujących w winnicy Pańskiej, i wielkimi zdolnościami swymi dopełniających tego, czego moja opieszałość i niedołęstwo nie zdoła.

Inny młody człowiek, bardzo bogaty i sam przy matce żyjący, dowiedziawszy się o mnie od jednego z swych przyjaciół, bardzo pragnął spotkać się ze mną, aby przecie poznać jezuitę. Wielkiej był pobożności, i znaczną część majętności swojej obracał na uczynki miłosierne. Rychło poznałem w nim duszę dążącą do wyższej doskonałości, i przeto napomknąłem mu, iż wiem o pewnych ćwiczeniach, za pomocą których dusze dobrze przysposobione, łatwo mogą przyjść do zrozumienia powołania swego, i poznać jaka jest dla nich najkrótsza droga do doskonałości. Zażądał usilnie zaraz takowe ćwiczenia odprawić, i zakończył je także postanowieniem wstąpienia do Zgromadzenia Jezuitów. Nie mogąc jednak od razu przywieść do skutku tego zamiaru, prosił mię i nastawał, abym u zwierzchników moich wyjednał sobie pozwolenie zamieszkania w domu jego. Sam zresztą czułem potrzebę zmiany miejsca; bo z upływem czasu takiego byłem nabrał rozgłosu, że już nie należałem do siebie, wskutek czego i położenie moje stało się bardzo niebezpiecznym. Z tego więc powodu zaproszenie ono wydało mi się wyraźnym zrządzeniem Opatrzności. Doniósłszy o tym przełożonemu mojemu, i otrzymawszy jego zezwolenie, pożegnałem przezacną ową rodzinę, u której tyle czasu przemieszkałem, zostawiając jej na moje miejsce kapłana świeckiego, który po dziś dzień jeszcze pracuje z pożytkiem, zbawiennym w tej okolicy.

Nowe miejsce pobytu, na które się przeniosłem, w daleko wyższym stopniu niż poprzednie odpowiadało warunkom powołania mego. Otoczony katolikami, mogłem chodzić w sukni zakonnej, i bez przeszkody oddawać się pracom moim. Rychło dostrzegłem w kilku punktach potrzebę niejakiej

reformy, i rad bym takową od razu był uskutecznił; ale zmuszony byłem postępować oględnie, aby nie obrazić miejscowego kapelana domowego, który choć zresztą dobry kapłan, zrazu niejakie objawiał nieukontentowanie z powodu wpływu jaki widział, że wywieram. Wszystko jednak skończyło się jak najlepiej. Słysząc nieustannie pochwały ćwiczeń świętego Ignacego, kapłan o którym mówię, zdecydował się w końcu doświadczyć ich skuteczności na samym sobie. Odprawił więc rekolekcje, i to z takim skutkiem, że wychodząc z nich wyznał szczerze, iż do tego czasu istotnie nie miał prawdziwego pojęcia o powołaniu kapłańskim; jakoż odtąd trzy razy więcej dusz nawracał niż przedtem. Bardzo mię polubił, czego mi później dowiódł pod dostatkiem hojnymi ofiarami i poświęceniem, jakich od niego doznałem w czasie więzienia mego; i pókiśmy byli razem, w każdym trudniejszym zdarzeniu rady mojej zasięgał. Gdy w późniejszym czasie uznano za właściwe ustanowić dla Anglii archidiakona, ksiądz ten został dodany temuż za asystenta.

I tutaj też, jak w poprzednim miejscu pobytu mego, często miałem sposobność odprawiania ćwiczeń duchownych z świeckimi, i zawsze z nich cudowne skutki wynikły. Między innymi i tutaj kilku młodzieńców wysokiego rodu postanowiło wstąpić do Towarzystwa Jezusowego. Zasługuje tu na szczególną wzmiankę jeden z nich, imieniem Wilhelm Wiseman.

Było ich czterech braci, z których on był najstarszy; dwaj z nich już przedtem odbywszy ćwiczenia duchowne, byli wskutek tego wstąpili do zakonu świętego Ignacego; zaczem później i starszego brata skłonili, aby kiedy spróbował rekolekcji. Był on wprawdzie katolikiem, ale bardzo światowego ducha, i mało dbał o doskonałość chrześcijańską. Dostał mu się był właśnie w tym czasie wspaniały majątek w spadku po ojcu, i bardzo był zajęty swoim parkiem, w którym mnóstwo rozmaitej zwierzyny zaprowadzał. Żył więc sobie jak król w niezależności i wygodach, jakie dają wielkie dostatki, ciesząc się przywiązaniem żony i dzieci które nawzajem kochał najczulej. Spotkania z księżmi nowowyświęconymi, albo z Jezuitami, i jakiej bądź z nimi styczności, strzegł się jak ognia, i tak udawało mu się uchylić od przykrości noszenia z drugimi ciężaru dnia i upalenia, bo prześladowanie, jak już wspomniałem, głównie było wymierzone na młodszych księży, to jest takich, którzy już po wstąpieniu na tron Elżbiety przyjęli święcenia kapłańskie; starsi, w porównaniu z nimi względnej doznawali spokojności. Była to prawie taka sama różnica, jaka dziś się objawia między księżmi świeckimi, a ojcami Towarzystwa Jezusowego. Wiadomo każdemu, że z nami i z tymi, którzy nam sprzyjają, daleko srożej się

obchodzą niż z tamtymi. Widząc liczbę naszą widocznie rosnącą, i jako w niektórych stronach duchowieństwo świeckie nieprzychylnego jest dla nas usposobienia, chcieliby nieprzyjaciele nasamprzód zgnieść nas, jako słabszych, i sprzyjających nam strasznymi karami do tego zmusić, by już nam nie dawali schronienia. Ale i synowie Izraelscy mnożyli się mimo zawziętość faraonową.

Wróćmy do naszego bogacza. Umiał Bóg i na niego znaleźć sposoby i drogi, i tak go okuł w kajdany swej miłości, że raz pojmany już do dawnej wolności nie zatęsknił. Wyszedł z ćwiczeń duchownych jakby przemieniony, z mocnym postanowieniem oddania się życiu pobożnemu, i nawrócenia tych wszystkich, którzy go otaczali. Myśli jego już nie zmierzały do uciech i rozkoszy tego świata, ale wyłącznie się zwróciły do szerzenia chwały Bożej; służbę swą protestancką zastąpił katolikami, przyzwał do siebie jezuitę za spowiednika, czynił co jeno mógł dobrego, i czas swój i zdolności poświęcił wydawnictwu dzieł pożytecznych. Zawdzięczamy mu kilka przekładów, jako to: Żywot świętego Ignacego, Dialogi Grzegorza Wielkiego, dzieło o. Ratin o stanie zakonnym, i inne tego rodzaju książki.

Na usilne prośby jego założyłem u niego mieszkanie moje, i nastręczyłem mu kilku wiernych sług, których znałem od wielu lat. W krótkim czasie zjednałem sobie łaski u kapelana domowego, którego stanowisko wskutek tych zmian o wiele się stało przyjemniejszym, a żona gospodarza mego, choć zrazu obawiałem się jej, ze względu na żywość jej nadzwyczajną, okazywała niespracowaną gorliwość w ubieraniu kaplicy, i nawet mi nie broniła upominać ją, jeżeli kiedy uniosła się gniewem.

Matka pana domu była zacna pani, i Bóg jej pobłogosławił w dzieciach, których miała ośmioro, czterech synów i cztery córki. Córki wszystkie na ofiarę oddały Najwyższemu panieństwo swoje. Dwie z nich w czasie, kiedym bawił w tym domu, już były wstąpiły do zakonu świętej Brygidy, i jedna po dziś dzień jest ksienią w klasztorze tego zakonu w Lizbonie. Drugie dwie z porady mojej wstąpiły do Augustianek w Belgii. Z synów dwaj umarli jezuitami, trzeci poległ śmiercią bohaterską walcząc za wiarę przeciwko heretykom belgijskim; opuszczony od towarzyszów, którzy się wszyscy poddali nieprzyjacielowi, bił się do ostatka i z bronią w ręku zginął. Czwarty syn był obecnym dziedzicem domu.

Ledwom przyjechał, wprowadzono mię do mieszkania pani starszej, która pragnęła pierwsza mię powitać. Na samym wstępie rzuciła mi się do nóg, tłumacząc się tym, że pierwszy raz widzi jezuitę.

Idąc za radą moją, zacna pani rozłączyła się z synem, i zamieszkała osobno w jednym z majątków swoich, z powodu, że tym sposobem szersze się otwierało pole do pożytecznego działania. Przyjęła do domu swego dwóch ojców naszych, i obaczymy później, jakie prześladowania ściągnęła na siebie tą dla nas życzliwością swoją.

Zaraz za przybyciem zaprowadziłem częstszą Komunię świętą, bo przedtem nikt oprócz pani starszej nie przystępował do stołu Pańskiego częściej jak cztery razy do roku. Odtąd zaś weszło w zwyczaj, że wszyscy co tydzień posilali się chlebem żywota. W niedzielę i święta miewałem w kaplicy kazania, i nauczałem wiernych o potrzebie i sposobie rozmyślania i rachunku sumienia. Wymogłem także, że przy stole, jeżeli nie było gości, odbywało się czytanie duchowne.

Niedługo też potem z wielką moją pociechą mogłem odprawić kilka wędrówek apostolskich, jak również i rodzina wpośród której znajdowałem się, niejednokrotnie mi nastręczyła sposobność nawrócenia błądzących.

Pierwszym którego na łono Kościoła przywróciłem, był szwagier mego gospodarza, syn jedyny znakomitej i starodawnej rodziny szlacheckiej. Ożenił się później z cioteczną siostrą sławnego księcia Feria. Oboje pozostali niezmiennie gorliwymi katolikami, i w czasach nawet najsroższego prześladowania, zawsze dawali u siebie schronienie jednemu, lub czasem i kilku naraz ojcom naszym.

Matce gospodarza mego o mało, że się nie udało nawrócić do prawdziwej wiary jedną wysokiego stanowiska panią, mieszkającą w jej sąsiedztwie; była to siostra hrabiego Essex, a mąż jej poczytywał się niezaprzeczenie za najbogatszego pana w całym hrabstwie (3).

Choć zupełnie oddana próżnościom światowym, pani ta jednak przyrzekła przyjaciółce swojej, że nie odmówi przyjęcia mającemu ją odwiedzić kapłanowi, pod warunkiem że przyjdzie przebrany, aby nikt go nie poznał.

Zawiadomiony o tym, udałem się do niej, jakoby dla wręczenia jej listu od pewnej dostojnej pani, jej krewnej. Zaprosiła mię do stołu, poczym trzygodzinną miałem z nią rozmowę. Odpowiedziałem jej na wszystkie wątpliwości i usiłowałem dodać jej odwagi; kończąc rozmowę zapytała mię o sposób przygotowania się do świętej spowiedzi, i sama nawet dzień do niej naznaczyła. W kilka dni później jeszcze pisała do mnie, jako z utęsknieniem

wygląda tej godziny, kiedy będzie mogła wszystko serce swoje przede mną otworzyć. Ale straszne i niezbadane są sądy Boże! Pani ta od dawnego czasu żyła w grzechu z jednym z najgłośniejszych panów dworu londyńskiego (4).

Po onej rozmowie ze mną napisała do niego, zapewne w myśli pożegnania go na zawsze, i zwierzyła mu się z zamiarem swoim. Lecz niestety, przebudziła tylko ze snu żmiję jadowitą. Natychmiast pobiegł do niej, wszelkich użył przedstawień i nalegań, aby ją odwieść od powziętego zamiaru, i w końcu ją skłonił do napisania do mnie dwuarkuszowego listu z samymi zarzutami, oświadczając, że jeżeli zdołam na nie zwycięsko odpowiedzieć, sam się nawróci do Kościoła katolickiego. Przesłała mi tedy one zarzuty, dając mi przy tym do zrozumienia, jak donośne z odpowiedzi mojej wyniknąć mogą następstwa. Nie dałem jej czekać na odpowiedź, ale więcej już o niej nie słyszałem; bo w istocie zwodzicielowi chodziło tylko o zwłokę, co osiągnąwszy łatwą miał wygraną. Zabrał z sobą do Londynu zaślepioną swą ofiarę, i tam nieszczęsna rychło zapomniała dobrych postanowień swoich.

Gdy później ze zwycięskiej wyprawy irlandzkiej chwałą ukoronowany powrócił, namiętność jego do onej pani do takiego stopnia się wzmogła, i do tak niesłychanych posunęła się szaleństw, że stał się pośmiewiskiem wszystkich, i wskutek tego popadł w niełaskę u dworu. Tak sobie to wziął do serca, że ze zmartwienia umarł. W ostatnią godzinę życia wzywał nie Boga, ale boginię swoją, której też wszystek swój majątek zapisał. W niej zaś i później jeszcze objawiał się nieraz zwrot ku lepszym uczuciom, i jedna z jej dam nadwornych, gdym ją kilka lat potem poznał w jednym klasztorze belgijskim, do którego była wstąpiła, powiadała mi, iż często ta pani mnie wspominała, i rada o mnie mówiła. Z namowy tejże zakonnicy chciałem do nieszczęsnej napisać, aby jeszcze przy pomocy Bożej płomień niezupełnie zagasły na nowo rozniecić.

W chwili jednak, gdym się zabierał do napisania listu mego, nadeszła wiadomość, że już nie żyje; zjadliwa gorączka zabrała ją z tego świata. Lecz później dowiedziałem się, że przed śmiercią przyzwała jednego z ojców naszych, i tak przecie jako córka Kościoła katolickiego z tym życiem doczesnym się rozstała.

Za każdą wycieczką moją zawsze miałem szczęście tę lub ową duszę zbłąkaną na powrót do Pana Boga pociągnąć. Mimo to jednak strona, w której wtedy bawiłem, wielce się w tym względzie różniła od innych hrabstw wyżej na północ położonych. Tak na przykład w hrabstwie Lancashire, gdzie niższe klasy

ludu pozostały katolickimi (5), nietrudno zgromadzić licznego słuchacza, i ryczałtowe sprawić nawrócenia. Nieraz tam mówiłem do dwóchset wiernych od razu. Na znak grożącego niebezpieczeństwa rozpierzchaliśmy się na wszystkie strony, a skoro minęło, wnet znowu byliśmy zebrani. Przeciwnie w okolicach więcej południowych mało było katolików, a i ci prawie wyłącznie w wyższych tylko klasach się znajdowali. Lud pospolity zbyt srogi ucierpiał tam ucisk, by w końcu nie uległ i wiary swej nie porzucił. Tam więc chodziło nasamprzód o pozyskanie możniejszych, a za tym dopiero klasy służebnej, bo pan katolicki nie mógł się w żaden sposób obyć bez służby katolickiej.

Kilka razy w wycieczkach moich na północ, zawadziłem i o stronę rodzinną. Lecz mimo rozgałęzionych stosunków mej rodziny sprawdziło się i na mnie słowo Boskiego Mistrza "iż żaden prorok nie jest przyjemny w ojczyźnie swojej". Mało tam zdziałałem dobrego, i przeto też nie zabawiłem dłużej nad ścisłą potrzebę.

Pewnego dnia, wstąpiwszy do jednego z krewnych moich, zastałem go wybierającego się na wyprawę myśliwską. Zaprosił mię abym mu towarzyszył, i skorzystał z tego jedynego, jak powiadał, sposobu spotkania się z pewnym panem żonatym z jedną z naszych sióstr ciotecznych, i spróbowania szczęścia czy się nie da nawrócić. Wsiadłem więc na koń, aby tę duszę upolować. Jakoż spotkałem się rzeczywiście z owym panem, i starałem się wedle możności, w przerwach między jednym strzałem a drugim, nakierować rozmowę do rzeczy wyższych. Mówiłem mu o potrzebie szukania jeszcze czego innego jak samych tylko dóbr i uciech tego świata, mówiłem o podejściach czarta, który krąży wkoło dusz naszych, jakoby je w moc swoją dostał.

Nie był to stanowczy heretyk, nie miałem więc potrzeby zapuszczać się z nim w szerokie wywody o rzeczach wiary. Dosyć było dwóch dni następnych na dokonanie rozpoczętego dzieła; czwartego już wyrzekł się przede mną błędów swoich, i od tego czasu zawsze pozostał jedną z najmocniejszych podpór misji naszej.

Nawrócenie to pociągnęło za sobą drugie, któremu bardzo nadzwyczajne towarzyszyły okoliczności. Rzecz miała się tak. Mój nowonawrócony przybył do jednego z swych przyjaciół, ciężką złożonego chorobą. Był to człowiek prawego umysłu, i raczej przez niewiadomość niż rozmyślnie herezji oddany. Przyjaciel mój zaklął go, by się wyrzekł swych błędów, i o duszy swej nieśmiertelnej pomyślał, zaczem i wymógł na nim obietnicę, że spowiedź

odbędzie. Oświecił go w czym było potrzeba, nauczył go jak wzbudzić w sobie żal za grzechy, następnie odjechał, aby poszukać księdza; lecz dość długi czas upłynął nim takowego znalazł, i gdy w końcu z nim przybył, chory już nie żył. Biedny umierający po wiele razy zapytywał, czy przyjaciel jego nie wrócił z lekarzem, którego mu obiecał sprowadzić. (Naturalnie że miał na myśli księdza, bo nieraz w tych czasach podawaliśmy się za lekarzów).

Co potem nastąpiło, mogłoby się zdawać wskazówką, że Pan przyjął dobrą wolę jego za uczynek. Przez kilka nocy po zejściu jego, żona, która także była protestantką, widziała światło wciąż naokoło niej krążące, i wnikające nawet za firanki jej łóżka. Przerażona tym zjawiskiem, w końcu kazała swym pannom służącym spać z nią w pokoju. Ale służące nic nie widziały, a światło jednak ukazywało się po dawnemu. Wtedy pani strwożona wezwała do siebie przyjaciela zmarłego jej męża. Ten udał się po radę do księdza, który był zdania, że dziwne ono światło oznacza zapewne szczególną dla tej pani łaskę od Boga i powołanie, aby i ona za przykładem zmarłego męża do prawdziwej wiary się nawróciła. Odpowiedź ta przyniesiona jej przez przyjaciela, szczęśliwie jej trafiła do serca, i skłoniła ją rzeczywiście do przejścia na łono Kościoła. Skoro została katoliczką, przez czas dość długi odprawiała się na jej żądanie ofiara Mszy św. w tymże pokoju. Ale światło zawsze się jeszcze pokazywało. Wtedy kapłan, domniemywając, że zmarły, choć żalem za grzechy i pożądaniem Sakramentu Pokuty zjednał sobie łaskę i miłosierdzie u Boga, jeszcze potrzebuje modlitwy, poradził wdowie, aby przez trzydzieści dni nieprzerwanych dała odprawiać Mszę świętą za duszę nieboszczyka, jak to od dawien dawna jest we zwyczaju u katolików angielskich. Pobożna pani usłuchała tej rady; ale światło i teraz jeszcze jak przedtem się zjawiało, a nawet trzydziestej nocy zamiast jednego ujrzała trzy płomyki, z których jeden zdawał się spoczywać na dwóch drugich. I znowu te światełka wnikły za firankę alkierza; ale po chwili w oczach jej wzniosły się ku niebu, i znikły na zawsze.

W czasie mych podróży apostolskich kilkakrotnie miałem sposobność odwiedzenia przełożonego misji, o. Garnett, i zasięgnięcia jego rady. Co sześć miesięcy zbieraliśmy się wszyscy u niego, aby zdać sprawę ze stanu sumienia swego, i ponowić nasze śluby przed Panem i Zbawicielem naszym. Zwyczaj ten istniejący w Towarzystwie Jezusowym, nieobliczone, jak zawsze to uważałem, każdemu z członków zgromadzenia przynosi korzyści. Co do mnie, zawsze z tych zebrań wracałem uszczęśliwiony, i jakby odmłodniały, pełen siły i zapału świętego.

W czasie jednego z tych zebrań naszych na odprawienie ćwiczeń duchownych, niemałego użyliśmy przestrachu. Byliśmy u o. Garnett na wsi: niejedną już wysłuchaliśmy byli konferencję, i niejedną przestrogę świętą z ust naszego przełożonego otrzymali, gdy któryś z nas wystąpił z takim pytaniem:

"Co byśmy zrobili, gdyby nas jak tu jesteśmy licznie zebrani, znienacka napadnięto?". Było nas bowiem w tej chwili dziewięciu czy dziesięciu jezuitów, kilku księży świeckich i kilku wiernych, którzyśmy się razem w tym domu ukrywali. Czcigodny o. Garnett odrzekł na to w te słowa: "Prawda, że ze względu na większą teraz liczbę naszą, nie należałoby nam już zbierać się na konferencje generalne. Lecz ufając w to, żeśmy się tu zgromadzili na większą chwałę Bożą, nie lękam się ręczyć za to, że aż do chwili renowacji ślubów nic nam się złego nie stanie; potem już za nic nie odpowiadam". I w rzeczy samej, przez cały czas ćwiczeń duchownych nie dał najmniejszego znaku niespokojności; ale za to gdy przyszedł dzień renowacji, już od rana począł każdemu zalecać ostrożność, i naglić wszystkich do odjazdu, wciąż powtarzając: "Już teraz za nic nie ręczę!". Kilku też zaraz po obiedzie wsiadłszy na koń odjechało; pozostało tylko pięciu jezuitów i dwóch księży świeckich.

Nazajutrz rano o piątej, gdy właśnie o. Southwell odprawiał Mszę świętą, a my wszyscy zajęci byliśmy rozmyślaniem, nagle usłyszałem hałas przede drzwiami; po chwili dały się słyszeć głośne przekleństwa i złorzeczenia na sługę, iż nie chce otworzyć. Czterech zbirów z dobytą szpadą stało przed domem usiłując wejść przemocą; lecz na szczęście nasz wierny sługa dotrzymał placu, inaczej byliby nas wszystkich złowili. W mgnieniu oka o. Southwell zdjął z siebie szaty mszalne i ołtarz rozebrał, a my tymczasem sprzątaliśmy wszystko cokolwiek mogło zdradzić obecność naszą. Ciężyło nam na sercu, że łóżka nasze nieposłane, i jeszcze musiały być ciepłe; kilku nas więc pobiegło do sypialni i czym prędzej je nakryli.

Po tym wszystkim, gdy prześladowcy jeszcze się z wrzaskiem i hałasem do drzwi dobijali, a sługa wciąż ich wstrzymywał, tłumacząc, że pani domu jeszcze nie wstała, ale zaraz się pokaże, my tymczasem zdążyliśmy jeszcze schować się w zręcznie na ten cel założonej kryjówce. W końcu jednak zgraja ona wyłamała drzwi, i wściekli jak tygrysy poczęli przetrząsać cały dom. Cztery godziny trwały te niemiłe odwiedziny, ale nic nie znaleźli. I tak na koniec poszli sobie skąd przyszli; nie bez żądania pierwej zapłaty za swą fatygę, bo nie dość na tym, że katolicy muszą znosić takie udręczenia, jeszcze im każą płacić za to oprawcom.

Dziesięciu nas siedziało w naszej kryjówce: o. Garnett, o. Southwell, o. Ouldcorne, o. Stanny i ja, prócz tego dwóch księży świeckich i jeszcze trzy inne osoby. Kryjówka ta była w piwnicy i tak urządzona, żeśmy stojąc w niej nogi mieli w wodzie. Gdy wreszcie pani domu przyszła do nas z oznajmieniem, iż niebezpieczeństwo minęło, wyszliśmy szczęśliwie na świat Boży, jak niegdyś Daniel ze lwiej jamy. Zaraz nazajutrz rano odjechaliśmy, o. Southwell i ja; o. Ouldcorne zaś, iż do miejsca gdzie przebywał droga była niedaleka, dłużej jeszcze pozostał.

Przypisy:

(1) Na marginesie rękopisu dopisane nazwisko Helwerton.

(2) Nazwisko snadź przekręcone przez kopistę; może zlatynizowane z angielskiego.

(3) Essex miał dwie siostry, z których jedna imieniem Penelopa była za Robertem lordem Rich, następnie zaś za Karolem Blount, hrabią Devonshire; druga, Dorota, po śmierci pierwszego męża Sir Tomasza Perrot, wyszła za Henryka Percy hrabiego Northumberland. Opowiadanie powyższe ojca Gerarda zdaje się odnosić do pierwszej.

(4) Ten, o którym tu mówi o. Gerard, nie może być kto inny, jedno lord Mountjoy, zwycięzca nad wylądowanym w Irlandii wojskiem hiszpańskim.

(5) Katolicy w Lancashire po wszystkie czasy słynęli z stateczności i wytrwania w wierze.

IV.

Historia ojca Ouldcorne

Ponieważ już wspomniałem o o. Ouldcorne, towarzyszu moim w podróży z Rzymu do Anglii, więc i nadmienię kilka ustępów z jego tamże życia i działania. W pierwszych czasach po przybyciu swoim zostawał dosyć długo przy o. Garnett. Niedaleko od miejsca gdzie tenże mieszkał, leżał majątek jednego pana, który w tym czasie siedział uwięziony za wiarę w Towerze londyńskim.

Miejsce to (1) doskonale mogło służyć za rezydencję (2); ale na nieszczęście dozór domu powierzony był siostrze właściciela, protestantce, wychowanej na dworze Elżbiety, gdzie do takiego stopnia przesiąkła jadem kacerskim, iż próżną zdawała się nadzieja, by kiedykolwiek mogła się nawrócić. Lubiła jednak rozmawiać z księżmi o rzeczach religijnych, wprawdzie nie w chęci oświecenia się, ale tylko dla przyjemności próżnego sprzeczania się.

Po różnych a zawsze bezskutecznych próbach skłonienia tej pani do wiary prawdziwej, w końcu o. Garnett oddał tę sprawę niesłychanie trudną w sprawne do tego ręce ojca Ouldcorne. Lecz i ten, choć ją często odwiedzał, niczego z nią dokazać nie mógł. Przywodził jej najwyraźniejsze wyroki Pisma świętego, świadectwa mistrzów duchownych, i dowody z rozumu; ale wszystko na próżno. Mimo to jednak, sługa Boży rąk nie opuszczał; przeciwnie, z tym większą ufnością oczy swe podnosił ku Temu, który kieruje sercem człowieka, i na ostatek ducha ciemności bronią modlitwy i umartwienia zwalczyć postanowił. Biedna zbłąkana widząc, że kapłan już dwa dni wytrwał bez przyjęcia najmniejszego posiłku, zdumiała się wielce; nie ustąpiła jednak; bo do ducha sprzeciwieństwa, który ją przedtem wstrzymywał, przyłączyła się teraz jeszcze i ciekawość. "Może to i anioł ten ksiądz, mówiła sama do siebie; ha, poczekam i obaczę, czy doprawdy samym tylko się żywi chlebem anielskim. Bo jako żywo, chyba anioł potrafi mię nawrócić; człowiekowi nigdy nie ulegnę". Cztery dni tedy pościł kapłan, żadnego zgoła pokarmu nie przyjmując: ale po czterech dniach szatan był zwyciężony. Odtąd pani ona tyle okazywała dobrej woli, ile przedtem okazywała uporu. Tak więc ojcu Ouldcorne Bóg zachował to zwycięstwo, a zarazem wybrał go na to, aby nie tylko tę duszę, ale i znaczną część ludności onej strony do Niego pociągnął. Powiadano o nim jak o świętym Janie, że wszystkie w okręgu swoim kościoły sam założył i sam nimi rządził.

Taką miał roztropność, że i w najtrudniejszych zdarzeniach zawsze umiał trafnie wedle potrzeby zaradzić; taką miał miłość i poświęcenie dla bliźnich, że nikogo kto do niego się uciekł, nie zostawił bez ratunku, a hojne jałmużny z ręku jego płynące, żywiły wielkie mnóstwo ubogich wiernych. Mieszkanie jego niczym się nie różniło od zwyczajnych rezydencji naszych, tak wielki do niego był napływ katolików, pragnących bądź słuchać kazań jego, bądź rady jego zasięgnąć, bądź wyznać przed nim grzechy swoje. Miał dodanego sobie za pomocnika o. Tomasza Lister, męża znakomitej nauki.

Z taką gorliwością w posługiwaniu apostolskim, łączył o. Ouldcorne wielkie zamiłowanie w umartwieniu. Bardzo dużo pracował, surowo pościł, a przy tym jeszcze ostrą pokutą ćwiczył ciało swoje. Lecz w taki sposób walcząc przeciwko złemu duchowi, uczynił siebie niezdolnym do służenia Kościołowi; pewnego dnia od zbytniego natężenia żyła w piersi mu pękła, za czym długa nastąpiła choroba. Nadto jeszcze w późniejszym czasie zrobił mu się rak w ustach, z którego doktorowie oświadczyli, że uleczonym być nie może.

Widząc tedy grożącą sobie na zawsze niemożność opowiadania słowa Bożego, pobożny nasz Ojciec postanowił odbyć pielgrzymkę do źródła świętej Winifredy, miejsca cudownego i słynnego z licznych uzdrowień. Była św. Winifreda panną, rodem z Walii, i z piękności zarówno jak z czystości serca słynęła w całej onej krainie. Syn królewski namiętnie ją pokochał, i starał się o jej rękę. Ona wszakże odrzuciła starania jego, bo był poganinem, a nadto sama była na ręce biskupa złożyła ślub wieczysty panieństwa. Wtedy on barbarzyniec, nie posiadając się od gniewu, dobył miecza swego i uciął głowę dzieweczce. Straszne to zajście miało miejsce na wierzchołku wzgórza. Ucięta głowa potoczyła się na dolinę, a na miejscu gdzie się zatrzymała wytrysło natychmiast źródło obfite, choć naokoło wszędy taka posucha i jałowość ziemi, że stąd nawet cała ona okolica otrzymała swą nazwę. O pięćdziesiąt kroków od źródła strumień ledwo z niego poczęty już tak jest silny, że obraca młyn nad nim postawiony. Środek studni wyłożony wielkimi kamieniami, które z wierzchu mają barwę czerwoną, jakby je kto we krwi umaczał, a wewnątrz są białe. Lud miejscowy niełatwo pozwala na odłamanie z nich choć kawałka; co wszakże jeśli kiedy się zdarzy, występująca z pod odłamu białość tęż samą wkrótce nabiera czerwoność. Podobneż kamienie czerwone znajdują się i w łożysku strumienia. Pobożni pielgrzymi ze czcią je zbierają, wraz z wonnym mchem, który na nich rośnie. Woda z tego zdroju zimna jak lód, ale nikt jeszcze od picia jej albo od zanurzenia się w niej nie zachorował. Trzeciego listopada, to jest w dniu w którym Kościół obchodzi pamiątkę św. Winifredy, woda w studni

podnosi się na stopę, i przy tym lekko się zarumienia. Sam kiedyś w tym dniu, chcąc osobiście o tym się przekonać, odbyłem pielgrzymkę na ono święte miejsce, i na własne oczy widziałem, jak ona woda, przez cały rok tak czysta, że dostrzegłbyś szpilkę na dno rzuconą, w obecności mojej stała się mętną i czerwonawą barwę przybrała. Mróz tego dnia tak był silny, że lód na rzece w nocy jeszcze przez pielgrzymów wyłamany, już znowu z rana pokrył powierzchnię, i ledwo jeszcze przezeń na koniu przebić się mogłem. Mimo tak dotkliwe zimno, spuściłem się wedle zwyczaju pielgrzymów w głąb studni, wyciągnąłem się w wodzie jak długi, i tak cały kwadrans zostałem na modlitwie. Potem wyszedłszy z wody ubrałem się, nie zmieniając ciekącej bielizny, a jednak odjechałem i wróciłem do domu zdrowiuteńki.

Uderzające dzieją się cuda u zdroju św. Winifredy. Pewnego dnia protestant jakiś, widząc pobożnych ze czcią w nim się zanurzających, szydził sobie z ich ciemnoty, i rzekł z urąganiem: "Czego ten głupi motłoch kąpie się w tej wodzie? Pójdę i ja, i skąpię w niej buty moje". To mówiąc, z dobytym pałaszem wskoczył do źródła. Ale w tejże chwili uczuł nadprzyrodzoną siłę owej wody; w mgnieniu oka padł sparaliżowany na całym ciele.

Przez kilka lat widziano go bezwładnym kaleką, wożonego na wózku swoim, jako żyjące świadectwo zasłużonego karania, i przestrogę dla drugich. Mówiło mi o tym kilka osób, które same znały nieszczęśliwego, i zaręczały mi uroczyście, jako z własnych ust jego tę historię słyszały. Później jednak, jak o tym od tychże samych świadków słyszałem, człowiek on się nawrócił, i w tejże samej wodzie której skuteczności pierwej z taką dla siebie szkodą był doznał, szczęśliwie władzę w członkach odzyskał.

Do tego więc cudownego źródła udał się pielgrzymką o. Ouldcorne; ale św. Winifreda uprzedziła go. Wstąpił po drodze do dwóch pobożnych panien, które ukrywały w swym domu jednego kapłana. Kapłan ten miał u siebie jeden taki krwawego koloru kamień, jakie się w źródle świętej znajdują. O. Ouldcorne wziął go w ręce i pobożnie pocałował. Potem poszedł na osobność, rzucił się na kolana i zmówiwszy modlitwę, kamyczek on ze czcią w usta włożył. W pół godziny potem był zdrów. Mimo to jednak nie zaniechał rozpoczętej pielgrzymki, i doszedł dalej aż do źródła, na podziękowanie dobrodziejce swojej. Zanurzył się w źródle, i drugą jeszcze, od wielu lat mu dolegającą i w obowiązkach powołania apostolskiego na przeszkodzie mu stojącą niemoc w życiodajnych nurtach jego zostawił. Potem jakby odrodzony i cudownie wzmocniony do prac swoich powrócił. Sam z własnych ust o. Ouldcorne wszystkie te szczegóły słyszałem.

Przypisy:

(1) Był to majątek *Henlip House,* blisko Worcester; dziś własność lorda Southwell.

(2) Rezydencją zowie się u Jezuitów dom zakonny, przy którym nie masz scholastykatu.

V.

Pierwsze niebezpieczeństwa

Po przestrachu owym, któregośmy u ojca Garnett doznali, wróciłem znowu do tejże zacnej rodziny, z której członkami już czytelnika zapoznałem. Matka właściciela w tym czasie już nie mieszkała w domu syna, ale jak wyżej nadmieniłem, żyła osobno w jednym z majątków swoich.

Już zbliżał się dla nas wszystkich czas próby; ale wspaniałomyślni dobroczyńcy moi wybrani byli od Pana, aby pierwsi dla Niego ucierpieli, i dał im Boski Mistrz tę łaskę, że jako dla miłości Jego te cierpienia ponieśli, tak też na podobieństwo Jego od przyjaciela, to jest od własnego sługi zostali zdradzeni (1).

Ten nieszczęśliwy zwolennik protestantyzmu, już od wielu lat był na służbie u onej rodziny. Zrazu zajmował miejsce w domu młodszego syna, który go potem matce i starszemu bratu polecił. Mieszkał w Londynie, ale często w interesach służby swej dojeżdżając, bądź do pani starszej, bądź do mojego gospodarza, wiedział dokładnie o wszystkim co w domu się działo. Nie miałem prawa podejrzewać człowieka, którego wierność wszyscy zachwalali; jednakże stale trzymałem się tej zasady, żem nigdy w obecności jego nie spełnił żadnej czynności kapłańskiej, anim się nigdy przed nim nie pokazał w takim ubraniu, które by mu dać mogło powód do podejrzenia. Z tym wszystkim jednak, jak później sam wyznał, samo już uszanowanie, jakie mi gospodarz domu okazywał, naprowadziło go na myśl, że muszę być kapłanem. Nigdy na przykład nie puścił mię w podróż, żeby mię na kilka mil nie odprowadzić; często towarzyszył mi aż do samego Londynu, i w takim razie stawaliśmy zwykle w domu tego starego sługi. Jeszcze nie byłem nauczony doświadczeniem, że

daleko bezpieczniej było urządzić się tak, jak to później zrobiłem, to jest nająć osobny dom dla siebie.

Tak więc, będąc już panem tajemnicy, postanowił zdrajca sprzedać pana i dobroczyńcę swego. W tym celu udał się do władzy ofiarując swe usługi, i z góry sobie wymówił, ile za to dostanie. Kazano mu tymczasem wrócić na miejsce, i przede wszystkim upewnić się, ilu księży zwykle bawi w domu tak matki jak i syna. Wkrótce potem zaczęły się poszukiwania.

Zaczęto od domu matki. Ale kapłan stale u niej mieszkający zdążył jeszcze zawczasu się ukryć, i tak rewizja nie doszła do zamierzonego celu. Mimo to zmuszono pobożną panią domu stawić się w Londynie przed trybunałem, umyślnie na katolików ustanowionym. Zacna pani z taką na zadane jej pytania odpowiedziała odwagą i spokojem, iż powszechne wzbudziła dla siebie podziwienie. Wrzucona do więzienia, cierpliwością, zarówno jak bohaterskim zdaniem się na wolę Bożą, okazała wielkość swej duszy. Dla upokorzenia siebie, a zarazem dla większej stąd możności wspierania hojnymi jałmużnami uciśnionych swych współwyznawców, własnoręcznie sobie dzienną strawę gotowała, i żadnej nie chciała przyjąć obcej posługi.

Przez cały czas więzienia swego regularnie mi przysyłała połowę dochodów swoich: z drugiej połowy utrzymywała kapłana, który jej Komunię świętą przynosił, i osładzała ile możności niedolę swych towarzyszów więzienia, nie mówiąc już o wielu innych dobrych uczynkach, jakie nieustannie pełniła. Wszystek czas swój poświęcała na modlitwę i na szycie aparatów kościelnych. Tak przeżyła dwa lata, po czym zdawało się, że Opatrzność Boska do wyższych jeszcze rzeczy ją powołuje, to jest do korony męczeńskiej.

Odkryto bowiem po długich badaniach, że przyjmowała u siebie kapłana, – był to jeśli się nie mylę o. Jones, z zakonu Franciszkanów bosych, który później poniósł śmierć męczeńską, – i zaraz z tego skorzystano, aby postąpić z nią według całej surowości prawa. Znowu ją wywleczono przed sąd, i znaleźli się, jak to bywa zwykle, fałszywi świadkowie, którzy przeciwko niej zeznali, jako z pogwałceniem praw krajowych, księży w kraju utrzymywała. Następnie sprawa została wytoczona przed sąd przysięgłych, aby ci wydali o niej wyrok: *winna* lub *niewinna*.

Wiedząc z góry, jaki ta sprawa obrót wziąć musi, i pragnąc oszczędzić przysięgłym winę nowej zbrodni, postanowiła święta niewiasta uporne zachować milczenie, i na pytanie, które jej wedle zwyczaju zadadzą: czy *winna* czy *niewinna*, wcale nie odpowiedzieć, choć dobrze o tym wiedziała, że na tych,

którzy się zrzekają swej obrony, prawo większe jeszcze kary stanowi, niż na zbrodniarzy nawet przekonanych o krzywoprzysięstwo. Według prawa mają być wyciągnięci na wznak, tak iżby grzbiet spoczywał na sterczącym z ziemi szpiczastym kamieniu; potem mają mieć piersi przywalone ogromnym ciężarem, i tak zgnieceni na miazgę śmierć ponieść. Na kilka lat przedtem jedna z męczenniczek naszych, imieniem Clitheroe, w podobny sposób i z takichże pobudek, gdy ją sądzono w Yorku, zrzekła się była obrony. Zacna wdowa pragnęła wstąpić w ślady tej bohaterki, i w rzeczy samej za milczenie swoje skazana została na tę okropną kaźń śmierci przez zgniecenie. Gdy po wydaniu wyroku odchodziła z sali sądowej, święta radość jaśniała na jej obliczu, iż została znaleziona godną dla Chrystusa Pana śmierć ucierpieć. Wysokie jednak jej stanowisko i głośna jej cnota wstrzymały tajną radę królowej, iż nie śmiała wykonać ohydnego wyroku. Poprzestano na wrzuceniu służebnicy Bożej do okropnego lochu więziennego. Zresztą i to ustępstwo głównie pochodziło z chciwości; bardzo bowiem chodziło prześladowcom o zagrabienie wielkich dochodów onej pani; gdyby zaś został spełniony na niej wyrok śmierci, majątek jej według prawa przeszedłby na syna. Tak więc dla wiary katolickiej, dla której rada byłaby oddała w ofierze i życie, teraz z wszystkich dóbr swoich złupiona, jęczała bohaterka chrześcijańska w zapowietrzonej norze aż do wstąpienia na tron Jakuba I. Radosne to zdarzenie między innymi i jej przyniosło to szczęście, że została ułaskawioną. Wróciła zatem do ojczystej siedziby, gdzie po dziś dzień wiedzie żywot świątobliwy.

Ale czas podjąć na nowo przerwany wątek naszego opowiadania.

Zdrajca, jak mówiłem, czyhał na sposobność, jakby nas wydał, nie zdradzając jednak własnego wiarołomstwa swego. Mieliśmy w Londynie najęty dom, gdzieśmy chwilowo zajeżdżali, a że łotr on używany był przez pana swego do różnych interesów, rychło więc i tę kwaterę wytropił, zaczem i umyślił tam mię dać pojmać. Umówił się tedy z władzą, że skoro przyjadę, zaraz o tym doniesie, a siepacze przez władzę wysłani tejże nocy otoczyliby dom. Lecz na ten raz plan jego spełzł na niczym, dzięki wyraźnemu zrządzeniu Opatrzności.

Przełożony mój o. Garnett, był właśnie w tym czasie o parę mil tylko od Londynu zamieszkał, o czym się dowiedziawszy pośpieszyłem go odwiedzić. Gdy zaś nazajutrz, czy drugiego dnia po moim przybyciu do niego, wypadł mi niespodzianie pilny interes do Londynu, napisałem do dozorcy domu, aby mię czekał tegoż dnia wieczorem, i kilku przyjaciół, z którymi pragnąłem się widzieć, na też porę zaprosił. Naturalnie że zdrajca, jako często bywał w moim domu, który się poczytywał u ludzi za własność jego pana, zaraz się dowiedział,

i w też tropy pobiegł do swych księżożerców z umówionym doniesieniem. Postanowiono więc o północy zrobić na mnie obławę.

Gdym już miał wsiąść na koń i ojca Garnett pożegnać, ten, rzecz dziwna! zażądał stanowczo bym został. Przedstawiałem mu, jak nagłym jest interes, w którym muszę się udać do Londynu, i jaką miałbym przykrość z niedotrzymania umówionego z przyjaciółmi spotkania; ale wszystko na próżno; nie chciał żadną miarą pozwolić na mój odjazd, a jednak, co i sam potem mi przyznał, żadnego w onej chwili nie widział wyraźnego powodu, któryby go skłaniał do tego dziwnego uporu, i tak wielką nad zwyczaj jego niespokojność usprawiedliwiał. Bez wątpienia wyższe nim kierowało natchnienie, bo nazajutrz otrzymaliśmy wiadomość, że w nocy dom mój został osaczony, i że kilku w nim papistów schwytano. Chodziła nawet wieść, że między pojmanymi jest także jeden ksiądz; ale była to pomyłka, która powstała stąd, że schwytawszy służącego mego, Ryszarda Fulwood, w chwili kiedy już miał ukryć się przed nimi w miejscu bezpiecznym, widząc poważną postać jego, wzięli go za kapłana, a zdrajcy nie było z nimi, któryby ich wywiódł z błędu. Pojmano u mnie tej nocy trzech katolików, i czwartego rożnowiercę który służył u mnie za odźwiernego.

Wszyscy czterej pojmani, gdy ich potem wzięto do badania, mężnie się zachowali, i żaden z nich nie dał sobie wyłudzić ani słowa, które by wydało naszą tajemnicę, iż ja rzeczywiście jestem właścicielem onego domu. Wielkie to było szczęście; bo rzecz pewna, że najmniejszą w tym względzie wskazówkę przyjaciel mój Wiseman byłby życiem przypłacił.

Ten ostatni, zaraz po onej nocnej na mnie wyprawie, otrzymał był rozkaz stawienia się bezzwłocznie przed władzą. Chciano go mieć w ręku, w nadziei, że z procesu mojego okażą sie niezaprzeczone przeciw niemu dowody. Pośpieszył co tchu do Londynu, i nic nie wiedząc o tym co zaszło, prosto pobiegł do domu mego, aby się ze mną obaczyć i naradzić się co i jak odpowiadać. Ledwo zapukał, zaraz się drzwi otworzyły; lecz zamiast spodziewanego zakonnika rzuciła się na niego dzika zgraja chciwych krwi jego okrutników. Od rana bowiem słudzy oni diabelscy nie wyszli z domu, czyhając na to, jakoby więcej jeszcze niewinnych katolików, z których żaden ani się domyślał jak rzeczy się obróciły, w sieci swe ułowili. Tak więc i mój przyjaciel wpadł w ich zasadzkę. Natychmiast zaprowadzono go na ratusz. "Ilu masz księży w domu? jak się nazywasz?" tak go na samym wstępie kilkanaście głosów gniewliwych powitało. Odpowiedział na to, że wiedząc dobrze i aż nadto dobrze, na jak straszne kary się naraża, kto księży u siebie przyjmuje,

wielką popełniłby nieroztropność, gdyby w taki sposób na utratę życia się wystawiał. Na dalsze w tym względzie nalegania oświadczył się gotowym dowieść fałszu każdego jakie by przeciw niemu zaniesiono wyraźnego oskarżenia. Na to już sędziowie nie mieli co odpowiedzieć. Mając zupełną pewność tego, że byleby jedno zdrajca się nie wydał, prędzej czy później muszę wpaść w ich sieci, najmniejszej nie zrobili wzmianki o moim w rodzinie tej pobycie. Za to wtrącili przyjaciela mego do więzienia, pod najściślejszą trzymając go strażą. Jednemu tylko z ludzi jego wolny był do niego przystęp, a tym był zdrajca; bo zupełna ufność, jaką dotąd jeszcze pan jego w nim pokładał, sama przez się wskazywała ten sposób, jako najpewniej wiodący do celu, to jest wyśledzenia miejsca, gdzie się ukrywam.

Skoro mię doszła wiadomość o tym smutnym zdarzeniu, pośpieszyłem bezzwłocznie na wieś, dla naradzenia się z żoną i z przyjaciółmi więźnia, i dla przeniesienia w bezpieczniejsze miejsce rzeczy moich. Z powodu zbliżających się świąt wielkanocnych zmuszony byłem jednak zatrzymać pewną część rzeczy do Mszy świętej potrzebnych, i jakkolwiek roztropność wskazywała konieczność bezzwłocznej ucieczki, nie mogłem przecie tego na sobie wymóc, bym gotowych do wszelkiej ofiary dobroczyńców moich tak przed samą uroczystością, i to jeszcze w tak krytycznym położeniu, odjechał.

W Wielkim Tygodniu przybył do nas niecny sługa z listem od pana, w którym tenże obszerną nam dawał sprawę o życiu swoim w więzieniu, o badaniach, jakie z nim już odbyto, i o swoich na zadane mu pytania odpowiedziach. Przepuszczono ten list, chcąc przez to szpiegowi wygodną dostarczyć sposobność przekonania się, czy zostaję jeszcze u rodziny Wiseman, czy też schroniłem sie już gdzieindziej.

Stary mój sługa także przez tegoż posła do mnie napisał. Już było wiadomo przez zdrajcę, że to własny mój służący, i z tego powodu przeniesiono go do zapowietrzonych lochów w Bridewell, gdzie go również pod ścisłą strażą trzymano, w nadziei, że tym sposobem ważne na nim zeznania wymogą. Donosił mi w onym liście, jako pod zagrożeniem najstraszniejszych kar żądano od niego wydania tajemnicy, jako się temu żądaniu stanowczo sprzeciwił, i teraz za to okropne męki cierpi. Żadnego mu nie dają pokarmu, prócz chleba czarnego, a i tego tak mało, że ledwo z głodu nie umiera. Za mieszkanie ma nędzny loch bez łóżka, i noc musi spędzać nierozebrany i siedzący na poręczy okna, bo trochę słomy rzuconej mu na ziemię za pościel, roi się od brzydkiego robactwa. Na domiar okrucieństwa, nigdy go ani na chwilę z tego zamknięcia

nie wypuszczają, tak iż zmuszony wciągać w siebie wyziewy własnych swych nieczystości, i wciąż oddychając tym zarażonym powietrzem, dziw że jeszcze nie zginął!

Nieszczęście chciało, że zdrajca był temu obecny, gdym powyższy list głośno pani domu przeczytał, i słyszał jakem przy końcu tej smutnej powieści z boleścią zawołał: "Biedny mój Ryszardzie! czemuż nie mogę choć w części wziąć na siebie cierpienia twoje!". Po tych słowach poznałem później tego, który nas wydał; bo w ciągu badania które niedługo potem ze mną uczyniono, zdarzyło się, że sędzia, chcąc mi dowieść naocznie moich z rodziną Wiseman stosunków, w zapale mowy na chwilę się zapomniał, i zarzucił mi pytanie, czy i tego jeszcze zaprzeczę, żem w onym zdarzeniu powyższe słowa w obecności pani domu powiedział.

Przypisy:

(1) Nie wymienia o. Gerard nazwiska zdrajcy, ale z dokumentów urzędowych okazuje się, że się nazywał John Frank.

VI.

Napaść

Jak tylko zdrajca do Londynu powrócił, natychmiast zdał nieprzyjaciołom naszym dokładną o wszystkim co widział i słyszał relację. Bezzwłocznie też wysłano rozkaz do dwóch właścicieli ziemskich, sprawujących w hrabstwie urząd sędziowski, aby z wojskiem dom otoczyli, i jak najstaranniej przetrzęśli. Dwaj najzawołańsi księżołowcy wyprawieni zostali do nich z tym rozkazem. W pierwszy dzień Wielkanocny zdrajca znowu zjawił się u nas, pod pozorem udzielenia nam nowych o więźniu wiadomości; naturalnie o to tylko mu chodziło, aby nasze zamiary wyśledzić.

Pod wpływem nieopisanego jakiegoś przeczucia niebezpieczeństw nad nami zawieszonych, wszyscyśmy w Poniedziałek Wielkanocny wstali przed świtem, i zajęci byliśmy przygotowaniem wszystkiego co należało, aby jeszcze przede dniem Najświętszą Ofiarę odprawić. Wtem nagle usłyszeliśmy tętent koni i głuchy zgiełk głosów ludzkich, pochodzący od zgrai drabów, którzy zewsząd dom obstąpili. Łatwo nam było odgadnąć co nas czeka. Ale w mgnieniu oka pozamykaliśmy okna i drzwi, i nim napastnicy zdążyli je wyłamać, już ołtarz był rozebrany, a mnie, który oczywiście byłem głównym celem onej napaści, bezpieczna kryjówka przyjęła w swe opiekuńcze ciemności. Zrazu chciałem się schronić do otworu urządzonego w ścianie sali jadalnej; był to bowiem punkt najodleglejszy od kaplicy, a łatwo było do przewidzenia, że na nią i sąsiednie z nią części domu najwięcej się zwróci uwaga napastników. Nadto miałem pewność, że w tym schowaniu znajdę zapas żywności, i że dosłyszę wszystkie rozmowy i plany nieprzyjaciół. Lecz dziwnym zrządzeniem Opatrzności Boskiej, pani domu nie chciała się zgodzić na mój zamiar, i koniecznie za tym obstawała, abym drugą obrał kryjówkę, i to tuż obok kaplicy, twierdząc, że w tym miejscu łatwiej będzie schować naczynia święte. Musiałem więc ustąpić, choć z góry przewidywałem grożącą mi okropność śmierci z głodu, w razie, gdyby się miała przedłużyć rewizja.

W tej samej chwili kiedy zapadały za mną drzwi mojej kryjówki, dzika ona zgraja przemocą dobiła się wstępu, i na kształt wezbranego potoku po całym domie się rozlała. Zaczęli swą robotę od tego, że na samym wstępie panią Wiseman i obie jej córki w ich pokoju zamknęli, i wszystką służbę wzięli pod straż. Po tych wstępnych ostrożnościach, przystąpili do zrewidowania obszernego domu od strychu aż do piwnicy, z czego się z najpilniejszą akuratnością wywiązali. Dachówki nawet z dachu zdejmowali, i z zapalonymi pochodniami przetrząsali najskrytsze zakątki. Ale wszystko na próżno! Wzięli się więc do wyłamywania ścian, gdziekolwiek najlżejszy zdawało im się dostrzegać pozór do podejrzenia; mierzyli długimi kijami grubość murów, i za dostrzeżeniem najmniejszej nieregularności na wylot je przebijali. Całe dwa dni trwała ta rewizja ścian i podłóg, ale wszystka ich praca nie osiągnęła pożądanego skutku. Widocznie tedy przyszedłszy do przekonania, że snadź jeszcze w sobotę wieczór musiałem się wymknąć, dwaj sędziowie w końcu z niczym do domu odjechali, zostawiając panią domu i wszystką służbę pod strażą swej czeredy, z poleceniem odstawienia ich do Londynu, gdzie ich dalsze czekało badanie i więzienie. Dozór domu poruczony został zdrajcy i kilku innym dodanym mu do pomocy protestantom.

Ostatnie to rozporządzenie wielką było pociechą dla dobrej pani Wiseman, bo właśnie przez onego sługę spodziewała się dostarczyć mi żywności, wiedząc dobrze o tym, że raczej z głodu umrę, niżbym miał próbując niewcześnie ucieczki, dobroczyńcom moim stać się przyczyną do zguby. W rzeczy samej, niebezpieczeństwo nade mną wiszące stawało się coraz groźniejszym; bo chroniąc się do onej kryjówki, ledwo zdążyłem zabrać z sobą na zaspokojenie pierwszego głodu leżące pod ręką parę sucharków; a pani domu nie przypuszczając, by rewizja tak długo się przeciągnęła, w pierwszej onej chwili zamieszania, także nie pomyślała o tym, by mię w żywność zaopatrzyć. Gdy wreszcie po dwóch dniach dowiedziała się o postanowieniu uwięzienia jej samej i odstawienia do Londynu, w udręczeniu swoim i trwodze o mnie nie widziała już innego sposobu, jak uciec się do zdrajcy i jemu ocalenie moje poruczyć. Nikczemnik dobrze był odegrał swą rolę. W chwili niespodzianej onej napaści najszczersze na pozór robił usiłowania, aby najezdników nie wpuścić, i przez to nas wszystkich oszukał; mimo to jednak nigdy by mu zacna pani nie była powierzyła swej tajemnicy, gdyby nie ona śmiertelna trwoga o mnie, która jej duszę dręczyła. W tym położeniu rzeczy nie było innego wyjścia, jedno wskazać słudze gdzie się ukrywam, albo w przeciwnym razie wystawić mię na śmierć z głodu, i nie dziw że wolała zgodzić się na pierwsze. Poleciła mu zatem, gdy już ją wywiozą, pójść do pokoju, który mu wskazała, zawołać na mnie głośno po imieniu, i powiedzieć mi, że wszystką służbę zabrano do Londynu, ale że on sam jeszcze pozostał i gotów na mój ratunek. Na to, mówiła, ja się odezwę, i powiem mu co ma robić.

Zdrajca przyrzekł jak najwierniejsze spełnienie rozkazu; ale skoro odszedł od pani, nic nie miał pilniejszego, jak podzielić się z towarzyszami niespodzianie otrzymaną wiadomością, i wydać powierzoną mu tajemnicę. Zaraz tedy uprzedzono o tym i onych dwóch sędziów, którzy też nazajutrz przed świtem jeszcze znowu na miejsce przybiegli dla odbycia nowej rewizji.

Znowu więc z największą pilnością cały dom przetrzęsiono, a w szczególności pokój przez zdrajcę wskazany. Cały dzień zeszedł na poszukiwaniach, ale równie daremnych jak przedtem; gdy się ściemniło, przerwali swą robotę i postanowili nazajutrz poodrywać posadzkę i futrowanie ścian w wiadomym pokoju. Wszystkie wyjścia obsadzono na noc liczną strażą. Słyszałem jak dowódca bandy dawał hasło swym ludziom, co byłbym mógł łatwo użyć na swą korzyść, gdyby nie to, że nie było sposobu wyjść niespostrzeżenie z kryjówki mojej.

Lecz Opatrzność Boska czuwała nade mną i w sposób prawdziwie niepojęty zaślepiła mych prześladowców. Wnijście do kryjówki mojej było urządzone pod kominkiem; założono je za mną deskami i cegłą, i dla zapobieżenia wszelkim podejrzeniom nałożono na nie drwa, jakby na podpał, choć w rzeczy samej nie było sposobu rozniecić ognia, bez zapalenia tym samym tak urządzonej podłogi kominka. Owóż w nocy straż zapaliła sobie nałożone drwa, i siadła przy ogniu na gawędę. Po chwili, rozumie się, deski się zajęły, i w miarę jak je ogień ogarniał, kamienie też na nich położone opuszczały się. Ludzie spostrzegłszy to, bliżej się przypatrzyli ognisku, za czym ujrzeli ze zdziwieniem drewnianą pod cegłą podłogę. "A to zabawna rzecz!" zawołali, a ja, aż nadto dobrze słysząc te słowa, już się miałem za straconego, lecz oni rzecz dziwna, odłożyli do rana zaspokojenie swej ciekawości, i bliższe wyśledzenie rzeczy. Ja zaś, żadnego zgoła nie widząc sposobu ucieczki, przez całą noc gorąco błagając zaklinałem Boga Wszechmogącego, aby jeśli to może być z Boską chwałą Jego, nie dopuścił tego bym się w tym domu, lub w jakim bądź innym miejscu, gdzie by pojmanie moje mogło wydać mych przyjaciół, dostał w ręce prześladowców. Dalszy ciąg okaże, jak Pan wysłuchał tę modlitwę.

Nazajutrz od rana nowa rewizja. Literalnie do góry nogami przewrócono wszystkie pokoje, z wyjątkiem tego który służył za kaplicę, to jest tego samego w którym żołnierze poprzedniego wieczora, ledwo na parę piędzi nad głową moją, palili ogień na kominku, i dziwowali się niezwykłemu urządzeniu ogniska. Pan Bóg w miłosierdziu swoim tak zupełnie zatarł w ich pamięci ono złowrogie odkrycie, że przez cały dzień ani jeden do tego fatalnego pokoju nie zajrzał. Rzecz pewna, że gdyby ktokolwiek był nań wspomniał, bez ratunku byłbym zgubiony. Byliby mię prześladowcy bez żadnej trudności znaleźli, owszem cud tylko byłby mógł mię ukryć od oczu ich; bo deski nade mną do tego stopnia były zgorzały, że musiałem stać zgięty i na bok przechylony, aby mi popiół i węgle na głowę nie padały.

Tak więc nieprzyjaciele zupełnie jak mówiłem, zaniechali tej części domu, i wzięli się do przetrząsania i rabowania dolnego piętra, przy czym wkrótce odkryli schowanie do którego z początku miałem zamiar się schronić. Głośnym okrzykiem radości, który aż do mojej kryjówki przeniknął, powitali swe odkrycie. Lecz krótką mieli pociechę bo nic tam nie znaleźli, prócz niewielkiego zapasu prowizji, jakby dla mnie przygotowanych. Zapewne sądzili poczciwcy, że to jest miejsce, które pani domu zdrajcy wskazała;

bo w rzeczy samej z tego ukrycia głos mój jako tako byłby mógł dojść do pokoju, w którym słudze niewiernemu polecono było na mnie zawołać. Omyleni więc w nadziei swojej, wrócili do pierwszego zamiaru, i poczęli w przyległej dużej sali odrywać filtrowanie. Jeden z nich, od razu przystępując do rzeczy, wszczął robotę od górnego taflowania ściany, tuż obok mojej kryjówki. Już prawie było skończone dzieło zniszczenia, już tylko mała przestrzeń, ale ta właśnie, za którą było schowanie moje, pozostawała nietknięta, gdy robotnicy zniechęcili się do bezowocnej swej pracy, i dali za wygraną. Kryjówka moja mieściła się w wydrążeniu ściany, i gzyms kominkowy bogato rzeźbiony, zakrywał ją od przodu. Trudno było ruszyć z miejsca ten gzyms, bez zupełnego zniszczenia pięknego kominka; ale na to prześladowcy moi nie byliby się oglądali, gdyby byli mogli odgadnąć że tym sposobem dostaną mię w ręce swoje. Nie ruszyli kominka, bo wiedząc że w ścianie są dwa oddzielne kominy, nie przypuszczali żeby mogło być w pośrodku jeszcze dość przestrzeni na pomieszczenie człowieka. Już dwa dni przedtem robotnicy najpilniej zewsząd musieli opatrzyć ten kominek, w którym było wejście do kryjówki mojej, nawet w nim za przystawieniem drabiny w górę się drapali, i ściany komina młotem próbowali. Jeden z żołnierzy wystąpił wówczas ze zdaniem, że dobrze byłoby przebić ognisko kominka, aby tym otworem dostać się do dolnej części komina. "Nie, odpowiedział drugi, którego głos mi był znajomy, lepiej obaczmy czy nie masz przejścia za kominem"; i to mówiąc silnym kopnieniem nogi uderzył w to miejsce za którym byłem ukryty. Drżałem od strachu by głuchy odgłos ściany mię nie zdradził; ale Ten, który rozkazał morzu: "Aż póty pójdziesz, i dalej nie postąpisz", naznaczył także kres zażartemu prześladowaniu onej dzikiej tłuszczy, i nie dopuścił, aby miłość jaką mi okazali dobroczyńcy moi, stała się przyczyną ich zguby.

Strudzeni daremną pracą i zniechęceni, wyperswadowali sobie w końcu prześladowcy moi, że jednak mimo wszelkich ostrożności przez nich użytych, zdołałem jakimś sposobem uciec, i tak przecie sobie poszli, zaniechawszy nawet pierwotnego zamiaru uprowadzenia pani domu i służby. Skoro tylko drzwi się za nimi zamknęły, wywołała mię pani z kryjówki mojej, i blady i wycieńczony, jakby drugi Łazarz, wyszedłem z ciemnego kąta, który mi się ledwo w grób nie zamienił. Głód i zmęczenie wyczerpały me siły, i ciało się pochyliło od nienaturalnej pozycji, w jakiej tak długo zostawałem. Pani Wiseman także przez te cztery dni żadnego nie przyjmowała pokarmu, po części dla przekonania się na samej sobie, jak długo siły moje wystarczyć mogą, po części też dla ubłagania tą ostrą pokutą miłosierdzia Boskiego nad nami.

Ledwom ją poznał, tak była zmieniona. Nie mając jeszcze najmniejszego podejrzenia przeciwko zdrajcy, najspokojniej przed nim się pokazałem; on zaś z swojej strony nie objawił zgoła zdziwienia, ani pobiegł za zbirami, aby ich na powrót przywołać; zapewne domyślał się, że nim by zdążyli wrócić, mnie by już nie było.

VII.

Uwięzienie moje i pierwsze badania

Odpocząwszy nieco, odjechałem i schroniłem się w domu jednego z mych przyjaciół; po upływie jednak dwóch tygodni nie mogłem dłużej na sobie przenieść, bym nie wrócił do Londynu dla niesienia pomocy braciom w tym czasie utrapienia. Pewna pani wysokiego rodu ofiarowała mi u siebie schronienie zupełnie bezpieczne (1); lecz nie czułem się tam na swoim miejscu; potrzeba mi było domu na imię moje najętego, gdzie bym mógł przebywać nieznany i bez przeszkody przyjmować mych przyjaciół. Udałem się przeto do jednego z sług wielebnego ojca Garnett; nazywaliśmy go "Jaśkiem", i był to doskonały człowiek, a przy tym zręczności nadzwyczajnej. On sam był wynalazcą i budowniczym prawie wszystkich naszych kryjówek, między innymi i tej, której świeże zawdzięczałem ocalenie moje. Zrobiliśmy więc kontrakt, i do zupełnego urządzenia domu, nająłem sobie tymczasem jeden pokój u właściciela tegoż. Pierwsze kilka nocy spędziłem na uporządkowaniu interesów moich, oraz na pisaniu do przyjaciół, potrzebujących ode mnie pomocy lub pociechy. Nie wiedziałem, że to będzie przyczyną mej zguby. Zdrajca wywietrzył me tropy, i istotnie udało mu się odszukać mię. Ale taka była wola Boża; przyszła i na mnie godzina moja.

Pewnego wieczora zjawił się u mnie zdrajca z listem: poczekał na odpowiedź, i około dziesiątej odszedł. Ja sam dopiero o dziewiątej powróciłem był z odwiedzin u onej pobożnej pani, w której domu, aż do opisanych wyżej wypadków tak życzliwej doznawałem gościnności. Dręczona nieopisanym przeczuciem jakiegoś grożącego nieszczęścia, pani ta błagała mię, bym tego wieczora domu jej nie opuszczał, ale nie mogłem żadną miarą zgodzić się na jej

żądanie. Tymczasem zdrajca zaraz po wyjściu swoim ode mnie, pobiegł uprzedzić księżołowców, którzy też nie tracąc czasu się zgromadzili, i o północy, gdym tylko co oczy był zamknął, pod mieszkaniem moim stanęli.

Zgiełkiem ich głosów z pierwszego snu wystraszony, od razu się domyśliłem o co rzecz idzie, i rozkazałem służącemu list on wieczorem otrzymany schować w popiele. Ledwo to spełniwszy znowu się położył, gdyśmy usłyszeli hałas zbliżający się do naszego pokoju. Kilkoro ludzi poczęło silnie kołatać we drzwi, grożąc wyłamaniem drzwi, jeżeli im nie otworzymy natychmiast. Nie było wyjścia; kazałem więc Janowi wstać i otworzyć. W mgnieniu oka pokój napełnił się zbrojnymi, i jeszcze znaczna ich liczba, nie mogąc się już zmieścić w pokoju, pozostała za drzwiami. Byli między nimi dwaj siepacze królewscy, z których jeden mię znał; tym samym więc odjęty mi był wszelki sposób wyplątania się z matni. Kazano mi wstać i ubrać się; usłuchałem. Wszczęła się potem ścisła rewizja po całym domu, ale nic nie odkryto, co by nas wydać mogło. Mimo to obydwaj, to jest służący i ja, zostaliśmy zabrani do więzienia. Pan Bóg nas umacniał, i dał nam tę łaskę, żeśmy nie okazali po sobie najmniejszego zmieszania ni trwogi. Jedno tylko mię niepokoiło. Lękałem się, czy mię kto nie widział wychodzącego z domu owej pani o której wyżej wspomniałem, przez co by zacna ta rodzina z mojej przyczyny została narażona na przykrości. Lecz obawa ta, jak później się okazało, była bezzasadną; zdrajca wskazał tylko miejsce gdzie mię znalazł, i więcej nic nie powiedział.

Urzędnik policyjny, który jak już powiedziałem, mię znał, całą tę noc i następną u siebie w domu mię zatrzymał, czy to dlatego, że sędziowie mający prowadzić śledztwo moje jeszcze nie byli gotowi, czy też dlatego, że pierwej chcieli wybadać na osobności sługę mego. Pierwszej nocy, obejrzawszy bliżej izbę, w której mię zamknięto, spostrzegłem, że piętro niezbyt wysokie, i że podarłszy w pasy prześcieradło moje i powróz z nich ukręciwszy, może mi się uda spuścić się po nim przez okno. Już się zabierałem do wykonania tego planu, gdy lekki szmer z przyległego pokoju mię doleciał. Wstrzymałem się, sądząc że mię ktoś podstrzega, i w rzeczy samej rychło się przekonałem, że się nie mylę. Odłożyłem więc mój zamiar do następnej nocy, w nadziei, że tymczasem pójdzie sobie ta warta nieproszona. Lecz strażnik mój snadź odgadł myśli moje; bo nazajutrz wieczorem, dla zwolnienia się od przykrości ciągłego pilnowania, po prostu mi włożył kajdanki. Tak więc ciało moje leżało spętane ale duch z całą swobodą w górę się wznosił. Zrzekłem się wszelkiej myśli o ucieczce, i z całego serca dziękowałem Bogu, iż zostałem znaleziony godzien dla Chrystusa Pana ucierpieć.

Następnego dnia stawiono mię przed komisją królowej (2); której prezes w późniejszym czasie wyniesiony został do godności kanclerza państwa. Był dawniej katolikiem, ale przeszedł na protestantyzm, bo kochał dobra tego świata.

Zapytano mię nasamprzód, jak się nazywam. Podałem nazwisko, pod którym się ukrywałem w Londynie; ale jeden z urzędników wydał prawdziwe nazwisko moje, nadmieniając przy tym, że jestem jezuitą. Widząc tedy, że ten pan dobrze mię zna, złożyłem ogólne z góry oświadczenie, że co się tyczy mojej osoby, na wszystkie pytania z zupełną otwartością odpowiem, ale nic nie wyjawię takiego, co by osobie trzeciej zaszkodzić mogło. Przyznałem się zatem do prawdziwego nazwiska mego, i dodałem nadto, że choć zaszczytu tego zgoła nie godzien, jestem istotnie kapłanem Towarzystwa Jezusowego.

"Kto pana wysłał do Anglii?". – "Przełożeni moi zakonni". – "W jakim celu?". – "W celu nawrócenia stworzeń zbłąkanych do Stwórcy swego". – "Nieprawda, nieprawda! zawołali wszyscy jakby jednymi usty; przybyłeś pan tu w celach politycznych, aby podburzyć naród przeciw królowej, a Papieżowi pozyskać". – "Wtrącania się w sprawy polityczne, odrzekłem, same już reguły naszego zakonu nam zabraniają; a oprócz tego ogólnego zakazu są jeszcze dla nas misjonarzy szczególne w tym punkcie i surowe przepisy. Co się tyczy posłuszeństwa należnego królowej i Papieżowi, rozumie się, że trzeba słuchać i jednej władzy i drugiej, to jest każdej w zakresie tych rzeczy, do których się prawa jej rozciągają. I żadnej zgoła w tym nie masz trudności; bo dwie one władze z natury swej nie są bynajmniej sobie przeciwne, jak tego pod dostatkiem dowodzi tylowiekowe już i w Anglii i we wszystkich państwach chrześcijańskich doświadczenie". – "Jak dawno pan już działasz w tym kraju?". – "Około sześciu lat". – "Gdzie i jak wylądowałeś? gdzie się ukrywałeś?". – "Sumienie mi nie pozwala odpowiadać na te pytania, szczególnie na ostatnie, bo odpowiadając na nie zdradziłbym tym samym przyjaciół moich. Nie popełniliśmy, ani przyjaciele moi ani ja, żadnej zbrodni. Proszę mi więc wybaczyć, że nikogo nie wymienię, i żadnych w ogólności nie uczynię zeznań, które by się tyczyły osób trzecich". – "Ależ właśnie te są punkty, w których żądamy objaśnień. W imię królowej rozkazuję panu, mów!". – "Królowę czczę, i we wszystkim co uczynić się godzi, majestatowi jej i wam, panowie, będę posłuszny; ale co się tyczy zadanych mi pytań, wybaczcie, że z powodów które już wymieniłem muszę odmówić odpowiedzi. Nie godzi mi się niczyjego nazwiska wymienić; bo na mocy praw waszych, drogo kazalibyście zapłacić niewinnym za miłość i usługi jakie mi oddali. Wszelkie prawa sprawiedliwości i

miłości chrześcijańskiej potępiałyby mię, gdybym się takiej zdrady dopuścił. Nie, nigdy się taką hańbą nie splamię!". – "Obaczymy; o to tylko chodzi, czy dobrowolnie się przyznasz, czy też dopiero zmuszony". – "Ufam w łasce Boskiej, że ani dobrowolnie ani zmuszony nie powiem, czego mi się mówić nie godzi. Macie panowie ostatnie słowo moje. Ani dziś, ani nigdy na żadne z zadanych mi pytań nie odpowiem".

Spisali tedy komisarze rozkaz osadzenia mię w więzieniu, i wręczyli takowy policjantowi, z poleceniem odprowadzenia mię na miejsce mi przeznaczone. Gdyśmy wychodzili z sali sądowej, jeszcze dodał prezydent rozkaz trzymania mię w ciasnym więzieniu, co zwykło się robić tylko z obwinionymi o zdradę stanu. "Powiedzcie jednak dozorcy, rzekł jeszcze pan prezydent, by się z więźniem, ze względu na wysoki ród jego, przyzwoicie obchodził". Ale mogłoby się zdawać, że dozorca więzienia wręcz przeciwne otrzymał rozkazy; wsadził mię do nędznej izby na poddaszu, w której nie było nawet sposobu wyprostować się; bo przy tej ścianie, która mniej więcej dochodziła wysokości głowy mojej, stało łóżko, jedyny mebel zostawiony do użytku mego. Przez okno ciągle otwarte, dolatywały mię dniem i nocą wyziewy smrodliwe, nieraz i deszcz mi na wskroś pościel przemoczył. Drzwi do mojego lochu tak były niskie, że aby wejść musiałem pełzać na czworakach. Miało jednak i to pewny dla mnie pożytek; była to z tej strony przynajmniej obrona od okropnego smrodu, jaki się dobywał z przytykających tuż do izby mojej wychodków, a który często mię ze snu przebudzał, albo i wcale zasnąć mi nie dawał. Mimo to jednak, nie zważając na tyle różnych cierpień, cieszyłem się w tej nędznej norze mojej słodkością pociechy niebieskiej, i serce moje upojone błogością nadziemską, opływało w hojność onego pokoju, którego świat dać nie może.

Czwartego czy piątego dnia po uwięzieniu, drugie musiałem wytrzymać badanie, prowadzone tym razem przez urzędnika policyjnego, niejakiego Yonge. Był to wódz i główna sprężyna wszystkich przeciwko katolikom prześladowań w Londynie i na całą okolicę. Do niego i zdrajca nasz się udawał, gdy chodziło o pojmanie mnie. Zastałem przy boku jego sławnego Topcliffe, sławnego stąd, że już od wielu lat sprawował okropny urząd przewodniczącego w torturach zadawanych katolikom! Człowiek ten, czyli raczej tygrys krwiożerczy, tak był zarazem przebiegły i chytry, że bladła przy nim i zamilknąć musiała nawet tak zręczna wymowa jaką się kolega jego odznaczał. Nikogo więcej z nimi nie było; Yonge zasiadał w ubraniu cywilnym, Topcliffe w mundurze, z szablą przy boku. Pierwszy przemówił Yonge; zadał mi różne

pytania, gdzie do tego czasu mieszkałem, z którymi mianowicie katolikami miałem stosunki. Odpowiedziałem że jak to już poprzednio oświadczyłem, nic zgoła wyjawić ani mogę ani chcę co by mogło przyjaciół moich narazić na prześladowanie.

Tu Yonge zwrócił się do towarzysza, mówiąc: "Widzisz? mówiłem ci zawczasu, że tak będzie". Topcliffe rzucił na mnie dzikie spojrzenie, i głosem drżącym od gniewu zawołał: "Widać jeszcze mię nie znasz. Jestem Topcliffe; zapewne już nieraz o mnie słyszałeś". To mówiąc, snadź dla dodania większej wagi swym słowom, dobył i położył na stole swój pałasz, jakoby wcale nie był od tego aby go w danym razie użyć. Widocznie takim wystąpieniem swoim spodziewał się napędzić mi strachu. Ale się zupełnie a zupełnie pomylił; nie tylko że groźbami swymi najmniejszego we mnie strachu nie wzbudził, ale owszem sprawił skutek wręcz przeciwny: bo gdy zwykle w podobnych zdarzeniach starałem się okazywać pewną dla władzy uległość, tym razem przeciwnie, na on dziecinny sposób straszenia mię, z większą niż kiedy bądź odpowiedziałem nieustraszonością. Widząc tedy, że tym sposobem niczego ze mną nie dokaże, chwycił za pióro i spisał najnikczemniejszy na mnie protokół. "No masz, przeczytaj! zawołał podając mi go; przedstawię ja ten dokument tajnej radzie królewskiej, na dowód, jaki to z ciebie zdrajca, i jakich się zbrodni dopuściłeś".

Protokół brzmiał jak następuje: "Z badania okazało się, że obwiniony przybył do Anglii z rozkazu Papieża i jezuity Parsons. W przejeździe przez Belgię naradzał się z jezuitą Holt i z panem Wilhelmem Stanley. Stamtąd przeprawił się do Anglii w zamiarach politycznych, to jest w celu obałamucenia ludu i podburzania go do buntu przeciwko prawej monarchini. Gdzie i u kogo przebywał, tego wyznać nie chce; ale z samego uporu tego łatwo wnosić, ile szkody rządowi wyrządził, itd.".

Zrozumiałem od razu, że tak niesłychanych oskarżeń nie mogę pominąć milczeniem. Pragnąc jednak by odpowiedź moja dostała się do rąk rady tajnej, oświadczyłem, że chcę odpowiedzieć na piśmie. Na to żądanie moje, Topcliffe nie mógł ukryć w sobie swej radości. "No, to co innego! zawołał; przecie przyszedłeś pan do rozumu!". Ale niebawem znowu go spotkał gorzki zawód. Widocznie miał nadzieję, że przy tej zręczności wpląta mię w jakie sidło, albo przynajmniej obaczy mój charakter, i będzie mógł go porównać z listami znalezionymi u pojmanych katolików. Odgadłem te skryte jego zamiary, i przeto charakterem ile możności zmienionym, spisałem co następuje.

"Przybyłem do Anglii z rozkazu przełożonych moich. W Belgii nigdy jak żyję nie byłem, z ojcem Holt od wyjazdu mego z Rzymu więcej się nie spotkałem, i również pana Stanley, od czasu jak wspólnie z hrabią Leicester Anglię opuścił, na oczy nie widziałem. Mam najsurowszy od starszych moich zakaz mieszania się jakim bądź sposobem w sprawy rządowe; nigdy też takowymi nie zajmowałem się, i na przyszłość też zajmować się nimi nie myślę. Jedyną usilnością moją było to, by dusze ludzkie przywieść do znajomości i miłości Stwórcy swego, i skłaniać wszystkich do zachowania przykazań Boskich, jak również i praw krajowych, mając to przekonanie, że i te prawa obowiązują w sumieniu. Proszę najpokorniej o zaniechanie dalszych na mnie nalegań w celu zmuszenia mię do wydania osób z którymi miałem stosunki; proszę sprzeciwienia się mego stawionym mi w tym względzie żądaniom nie poczytywać za nieuszanowanie dla zwierzchności. Czynię co Bóg mi czynić przykazał, i nie mógłbym uczynić inaczej bez ciężkiego grzechu przeciw sprawiedliwości i miłości bliźniego".

Jeszczem nie był dokończył pisania mego, gdy stary złośnik jak tygrys rzucił się na mnie, i z wściekłym gniewem papier z ręku mi wydarł.

"Jeśli pan nie chcesz żebym pisał prawdę, zawołałem, to wolę wcale nie pisać". – "*Tego* nie chcę byś pisał, odrzekł mi; masz napisać *to* i *to;* ja potem przepiszę". – "Napiszę to co *mnie* się zdaje, odpowiedziałem, a nie to co by się *panu* chciało bym napisał. Proszę tylko przedłożyć radzie tajnej to com tu nakreślił; więcej nic nie dodam, tylko jeszcze brakuje podpisu".

To rzekłszy, położyłem pod pisaniem moim imię moje i nazwisko, tuż za ostatnim wierszem, aby się żaden cudzy dodatek w pośrodku nie zmieścił. Zapamiętały on człowiek, widząc w niwecz obrócone wszystkie swe podstępy, rzucił się do gróźb i straszliwych klątw i złorzeczeń. "Rychło, krzyczał, będę cię miał w mocy mojej! będziesz mi wisiał między niebem a ziemią; nie będę miał miłosierdzia nad tobą; obaczymy wtedy czy cię Bóg wybawi". W tych i tym podobnych słowach złość gotująca się w tym nędznym sercu szukała sobie ulgi; wszakże wszystka ona złość nie zdołała mię zastraszyć. Przeciwnie nawet zjadliwe słowa jego nową we mnie obudziły nadzieję. Nigdy, ani onego dnia, ani kiedy bądź, nie uląkłem się bluźniercy, i w każdym zdarzeniu tego doświadczyłem, że Pan Bóg sługom swoim dla Niego walczącym zawsze w pomoc przychodzi. Sucho mu odrzekłem: "Nic pan nie zrobisz mi złego nad to, co Bóg panu dozwoli, i nie opuszcza Pan Bóg tych, którzy w Nim ufają. Niech się stanie wola Jego!".

Yonge zawołał dozorcę, aby mię do więzienia odprowadził. Gdyśmy już wychodzili, Topcliffe jeszcze dał mu rozkaz, by mi okuł w kajdany i nogi; obaj też ostro go strofowali, że mię sam przyprowadził bez straży: tak się bali bym im nie uciekł!

Skorom wrócił do mojej celi, zaraz przystąpiono do spełnienia rozkazu. Ten który mi wkładał kajdany zdawał się smutny; ja przeciwnie czułem w sobie święte wesele. Taka to wielka dobroć miłosiernego Pana! Zapłaciłem biedakowi za oddanie mi tej smutnej posługi, zapewniając go, że wcale mię to nie boli, iż cierpię za sprawę tak świętą.

Przypisy:

(1) Była to nieszczęśliwa hrabina Arundel, której mąż, Filip Howard hrabia Arundel w tym czasie ostatni rok niewoli swojej w Towerze odbywał (1594). W następnym roku umarł i stał się najgłośniejszym między ofiarami podejrzliwej i okrutnej zazdrości Elżbiety; umarł prawdopodobnie z zadanej mu trucizny: *non sine suspicione veneni*, jak opiewa istniejący po dziś dzień jego kamień grobowy.

(2) *Honorarios arbitros seu examinatores,* tak w manuskrypcie. Nazwa ta zapewne oznacza członków rady tajnej. Prokuratorem generalnym był w tym czasie (1591) niejaki Egerton, następnie zwany Lord Ellesmere; został później kanclerzem, aż godność ta w roku 1608 przeszła na następcę jego Bacona. Trudno przypuścić, żeby to nie była ta sama osoba, o której tu mówi ojciec Gerard, chociaż lord Campbell w swym "życiu kanclerzy" nie wspomina, by Egerton kiedy był katolikiem.

VIII.

Dalsze badania. – Przemieszczenie. – Więzienie moje zamienia się w punkt środkowy ruchu katolickiego.

Kilka miesięcy spędziłem w wyżej opisanym lochu moim. Pierwsze cztery tygodnie zeszły mi na odprawieniu ćwiczeń duchownych św. Ignacego, co dzień cztery lub pięć godzin poświęcałem na rozmyślanie. Pan obsypywał mię łaskami, i przekonałem się, że nigdy z większą ich nie użycza hojnością, jak kiedy człowiek cierpi bez żadnej od stworzeń pociechy.

Prześladowcy zdawało się przez jakiś czas o mnie zapomnieli; za to Ryszarda Fulwood, wiedząc przez zdrajcę, że to mój służący, znowu pociągnęli do indagacji i wzięli na tortury; tenże sam los spotkał i "Jaśka", pojmanego jednocześnie ze mną. Zrazu świetnymi obietnicami próbowano, skusić ich do zdrady; gdy to nic nie pomogło chwycono się gróźb i przemocy. Ale duch Boży ożywiał sługi swoje, i złość nieprzyjaciół pohańbił. Przez trzy godziny trzymano obu tych ludzi zawieszonych w powietrzu za ręce ujęte w obręcze żelazne, który to rodzaj tortury sprawuje jak wiadomo natężenie nerwów zgoła nieznośne; mimo to jednak niczego się od nich nie dowiedziano. Ani najponętniejsze obietnice, ani groźby najstraszniejsze, ani katusze najsroższe nie zdołały ich przywieść do udzielenia nieprzyjaciołom pożądanej wiadomości o miejscach gdzieśmy przebywali, albo o rodzinach które nas u siebie przyjęły. Służba też domu Wisemanów wszystka się okazała wierną; ani jeden nie przyznał się do znajomości ze mną. Wszystko to wprawiało prześladowców naszych w gniew niewypowiedziany; bo spodziewali się odkrycia ważnych tajemnic, na mocy których mieliby prawo nałożyć sekwestr na bogate dochody przyjaciela mego.

Niedługo i ja czekałem na swoją kolej. Ile razy udało się coś wynaleźć co mogło posłużyć za podstawę do dalszych poszukiwań, tyle razy do nowych mię pociągano indagacji. Pewnego dnia kazano mi przymierzyć kilka sukien, znalezionych w domu mego przyjaciela, i według zeznania zdrajcy do mnie należących. Istotnie leżały na mnie wyśmienicie, i nie mogło być inaczej, boć na mnie były robione; mimo to jednak nie przyznałem żeby do mnie należały. Bardzo się Yonge na to oburzył, i nazwał mię upartym fanatykiem; nadto jeszcze miał czoło dodać kłamstwo bezwstydne: "Poczciwy Southwell, rzekł, to wcale co innego; ten sobie mędrzej radzi niż pan. Długo wprawdzie i on się upierał, ale teraz przecie ustąpił, i oświadczył się gotowym słuchać nauk

jednego z naszych predykantów". "Zapewne, odrzekłem; być może ojciec Southwell zażądał widzenia się z którym z waszych doktorów, ale niezawodnie nie w tym celu aby się go radził w jakich wątpliwościach, albo przyjmował od niego nauki w rzeczach wiary. Takiej niedorzeczności nigdy pan we mnie nie wmówisz; pewno chce po prostu wyzwać kacerza na publiczną dysputę, jak to uczynił ojciec Campion, i wielu innych toż samo by uczyniło, gdyby na to pozwolono i bezstronnych sędziów do rozstrzygnienia sporu powołano".

Tu Yonge porwał za Biblię, i całując ją rzekł: "Przysięgam na tę Biblię, że Southwell oświadczył się gotowym do rozmowy z jednym predykantem naszym, a to w celu przyjęcia naszej religii". – "Temu nie wierzę", odrzekłem. – "Co? zawołał na to jeden z obecnych dworzan królowej. Słyszysz pan przysięgę i jeszcze jej wiary nie dajesz?". – "Nie daję, odpowiedziałem; nie chcę i nie mogę temu uwierzyć. Daleko mocniej jestem przekonany o stałości ojca Southwell, niż o prawdomówności tego pana, który nań chce rzucić podejrzenie, i może w sercu sobie myśli, że nie będzie to zły uczynek jak mię oszuka". – "Tego wcale nie myślę, zawołał Yonge; ale powiedz mi pan, wszak sam byś w końcu ustąpił? gdyby się okazało, że Southwell istotnie do naszej wiary przystał?". – "Nie, odparłem, nigdy bym tego nie uczynił; boć nie dlatego chronię się kacerstwa i społeczności z kacerzami, że ten lub ów czyni podobnież, ale jedynie dlatego, że tak czynić muszę, i czyniąc inaczej, zaprzałbym się Chrystusa Pana i Mistrza mojego; a to jest czego Boski Zbawiciel pod zagrożeniem najstraszniejszej kary zakazał, gdy rzekł: «Kto by się mnie zaprzał przed ludźmi, zaprzę się go i ja przed Ojcem moim, który jest w niebiesiech»".

Nic mi na to Yonge nie odpowiedział; powtórzył tylko raz jeszcze, że jestem człowiek uparty, – choć w rzeczy samej nazwanie to daleko bardziej jemu się należało niż mnie. – Potem kazał mię na powrót odprowadzić do więzienia.

Trzy miesiące już trwało moje więzienie, gdy przyjaciele moi, widząc iż żadnego nie masz dowiedzionego na mnie zarzutu, prócz tego, że jestem kapłanem, wszelkich poczęli używać sposobów ku wyjednaniu mi niejakiej ulgi w niewoli mojej; Yongemu zwłaszcza znaczne ofiarowali podarunki, aby się do ich życzenia przychylił. Z rozkazu jego zdjęto mi kajdany, i znowu mię przed nim stawiono. Przybrał pozory więcej niż kiedy bądź gniewliwe, przywitał mię obelżywym fukaniem, i na nowo zapytał czym się przecie namyślił wymienić nazwiska tych, którzy mię u siebie przyjmowali. Odpowiedziałem jak przedtem,

że nie mogę żądaniu jego zadość uczynić, ponieważ mi sumienie tego zabrania. "A więc kiedy tak, zawołał, to muszę panu bezpieczniejsze jeszcze obmyślić schowanie, i postarać ci się o mieszkanie należycie zakratowane". To rzekłszy, wydał na piśmie rozkaz, na mocy którego zostałem przeniesiony do innego więzienia, tak zwanego "Clink" (1). Udana surowość jaką względem mnie Yonge okazał, była naturalnie tylko komedią, odegraną na to, aby nie ściągnąć na siebie podejrzenia. Nowe moje więzienie było w istocie bez porównania lepsze od pierwszego; lecz nie tyle jeszcze ze względu na ulgę materialną, ile raczej ze względu na znaczną ilość trzymanych tam katolików, więzienie to było dla mnie nad wszelkie inne najpożądańszym. Tu już mogłem bez przeszkody wypełniać duchowne obowiązki moje, i po kilku miesiącach tak się wszystko urządziło, że nawet na zupełnej wolności nie byłbym mógł, przy ogólnym naonczas stanie rzeczy, swobodniej sprawować kapłański urząd mój, niż go w tym miejscu sprawowałem. Tak mi było na sercu, jak gdybym się z czyśćca był dostał w pogodne strefy niebieskie. Zamiast śpiewów nieprzystojnych i sprośnych bluźnierstw, teraz się obijały o uszy moje, pobożne modły wiernych braci i współwyznawców, którzy w pobliżu moim mieli celki swoje. Skorom przybył, powitali mię sąsiedzi moi u drzwi izby mi przeznaczonej, i wskazali mi sposób znoszenia się z nimi przez dziurę wybitą w ścianie, i starym jakimś malowidłem zakrytą. Nazajutrz rano wsunęli mi przez ten otwór list do mnie, i wszystkie przyrządy do pisania potrzebne. Skorzystałem z tej sposobności aby napisać do ojca Garnett, i zdać mu sprawę z przejść moich w tych ostatnich czasach, przy czym nie zaniechałem wypisać jak najdokładniej wszystkie moje w badaniach jakie przebyłem odpowiedzi i zeznania. Mogłem także przez tenże otwór w ścianie wyspowiadać się i przyjąć Komunię świętą. Ale wkrótce udało nam się jeszcze lepiej się urządzić. Nie wiem jakim sposobem katolicy nasi zdobyli klucz przypadający do moich drzwi, i odtąd każdego rana, nim jeszcze nadzorca więzienia się obudził, miałem drogę otwartą do drugiego skrzydła gmachu więziennego, gdzie odprawiałem Mszę świętą i więźniom Sakramenty święte szafowałem; bo w końcu każdy z nich miał sposób otworzenia swej celi (2).

Sąsiedzi moi byli tacy, że lepszych sobie życzyć nie mogłem, i gdyby nawet była mi zostawiona zupełna wolność wyboru, nie wiem czy byłbym inszych sobie wybrał. W przyległym pokoju mieszkał brat Emerson, z naszego zakonu, którego ojciec Campion w listach swoich zwał "*swym człowieczyną*"; nade mną mieszkał znany już czytelnikowi Jan Lilly, o którym w dalszym ciągu tego opowiadania częsta jeszcze będzie wzmianka.

Dozorcę więzienia mieliśmy starca twardego i przykrego charakteru. Był to człowiek chytry i spostrzegał wszystko; niesłychanej też musieliśmy używać przezorności i zręczności aby go w czym oszukać. Wkrótce jednak po moim przybyciu Pan Bóg okazał nam łaskę swoją, że go zabrał do siebie. Następca jego był młodszy, i charakter miał uprzejmiejszy. Pieniędzmi i dobrymi słowy rychło ostudziliśmy pierwszy zapał gorliwości jego. Daliśmy mu do zrozumienia, że lepiej by nie brał rzeczy tak ściśle, i przychodził tylko kiedy go będzie potrzeba, to jest o pewnych godzinach, o których zawsze byliśmy gotowi do przyjęcia go.

Starałem się z tego pomyślnego stanu rzeczy wyciągnąć jak największy wedle możności pożytek; wiele słuchałem spowiedzi, i mnóstwo dusz zbłąkanych do jedności Kościoła przywiodłem. Innowiercy z początku ani się domyślali jakiej ja używam wolności. Później dopiero, na usilne prośby starych i doświadczonych przyjaciół, kilku z nich przypuściliśmy do tajemnicy. Nie pamiętam zresztą bym w onym czasie więcej niż ośmiu lub dziesięciu heretyków nawrócił. Czterej z nich poświęcili się życiu zakonnemu, i bądź do Towarzystwa Jezusowego, bądź do innych zakonów wstąpili. Za to wielu z Kościołem świętym pojednałem schizmatyków, z pomiędzy których kilku wstąpiło do klasztoru, a potem i śmierć męczeńską wycierpiało. Znaczną też ilość chłopczyków i młodzieńców wyprawiłem w tymże czasie do zagranicznych naszych seminariów. Z nich niektórzy, wstąpiwszy do Towarzystwa Jezusowego, po dziś dzień pracują w Anglii jako misjonarze; inni stoją na czele zakładów naszych naukowych na stałym lądzie, i nowych kształcą ku rozszerzeniu wiary świętej apostołów.

Jednym z najsłynniejszych konwertytów moich był adwokat Jan Digby, skazany później na śmierć przez "nienawiść wiary katolickiej".

Powód skazania jego był następujący. Pewnego razu Digby bronił przed sądem sprawę jednej pani katoliczki, i z takim w obronie jej mówił zapałem, że sędziowie w końcu zapytali go, jakiej jest religii, kiedy tak gorąco się ujmuje za katoliczką; czy nie jesteś pan, broń Boże! księdzem katolickim? "Nie, odrzekł, kapłanem nie jestem". "Ale pewno jesteś papistą?" zapytano dalej. – "Tego się nie wypieram, odpowiedział; jestem katolikiem". – "Czy tak? A dawno?". – "Od tylu a tylu miesięcy". Przejście na religię katolicką poczytywało się według prawa na równi ze zdradą stanu. Zacny młodzieniec wpadł niebacznie w sidło nań zastawione. Pamiętał na to, że nie godzi się zaprzeć się wiary, ale w prostocie serca swego zapomniał, że wobec prześladowców wolno i należy

żądać udowodnienia z ich strony podniesionego przez zawiść zarzutu. Natychmiast został okuty w kajdany, i wtrącony do więzienia. Gdy go powtórnie badano, powtórnie z świętą dumą złożył jawne wiary swej wyznanie, i za to został skazany na śmierć. Z uniesieniem radości przyjął ogłoszony mu wyrok; lecz oto rzecz dziwna! w chwili odczytania mu wyroku, nagle się rozwiązały kajdany jego i z brzękiem na ziemię opadły; a gdy je podjął dozorca więzienia, i na nowo mu włożył, drugi raz jeszcze, jeśli się bardzo nie mylę, same się z członków jego zsunęły. Wróciwszy potem do więzienia, jeszcze do mnie napisał list serdeczny, dziękując mi najczulej za nawrócenie swoje, i za wzbudzenie w nim tych uczuć z którymi umiera, a które ufa mocno, że otrzymają zapłatę swą w niebiesiech. Gdy go wleczono na miejsce stracenia, spotkał go pewien hrabia (3), i zapytał przechodzących, jaką zbrodnię ten nieszczęśliwy popełnił. Co usłyszawszy męczennik, sam na ono pytanie odpowiedział: "Nic, rzekł, ani przeciw królowej, ani przeciw krajowi nie zawiniłem; umieram za wiarę moją katolicką". A hrabia on, ujrzawszy przed sobą pięknego i pełnego wdzięku młodzieńca, zawołał: "Zaprawdę, tyś raczej stworzony do miłości, niż do męczeństwa!". – "Kiedy o miłości wspomniałeś, odrzekł młodzieniec, Boga biorę sobie za świadka, iż umieram w panieństwie". (W czym i ja dzisiaj mogę mu przyświadczyć, że prawdę powiedział).

Hrabia głęboko wzruszony tym co widział i słyszał, inaczej od tego czasu począł trzymać o katolikach i religii katolickiej; a męczennik zawitał szczęśliwie do ojczyzny niebieskiej, gdzie ufam że się modli za ojca swego w Chrystusie.

W czasie pobytu mego w tym więzieniu miałem także sposobność odprawiania z drugimi ćwiczeń duchownych świętego Ignacego. Dozorca żadnych zgoła nie stawiał nam przeszkód; owszem ściśle się stosował do życzeń moich, przychodził tylko kiedy go wołałem, i sąsiadom moim także wszelką możliwą swobodę zostawiał. Wszyscy ci którzy ćwiczenia święte ze mną odprawili, a było ich sześciu czy siedmiu, obrali potem drogę doskonałości chrześcijańskiej, i poświęcili się na całe życie pełnieniu trzech rad ewangelicznych.

Inną potem naglącą miałem do załatwienia potrzebę. Wielu kapłanów znajomych moich, nie mając przyjaciół w Londynie, zmuszeni byli za przybyciem do tego miasta stawać w oberżach i austeriach; często też przysyłano do mnie młodych księży z seminariów zagranicznych, z poleceniem wskazania im miejsca pobytu zwierzchników naszych, i oddania im tych różnych drobnych usług, których potrzeba młodemu człowiekowi wstępującemu na ziemię nieprzyjacielską.

Z tego powodu zdecydowałem się nająć dom, na umieszczenie w nim tych, których z zaleceniem do mnie przysyłano. Tam zostawali w ukryciu, dopóki ich nie zaopatrzyłem w ubranie, i nie wyznaczyłem miejsca do pracy, albo przynajmniej nie dostarczyłem im konia, aby się do przyjaciół swych dostać mogli. Wszelkie koszta stąd wynikające ponosiło kilku majętnych przyjaciół moich. Nierzadko robiono mi w więzieniu ofiary pieniężne, ale prawie zawsze przyjęcia ich odmawiałem. Od kilku tylko najbliższych przyjaciół, którzy to sobie za szczególną łaskę poczytywali, przyjmowałem podarunki.

Dom dopiero co wspomniany powierzyłem jednej pani wysokiego rodu, równie dyskretnej jak pełnej poświęcenia dla bliźnich. Nazywała się Heigham, i była pierwej zamężna z panem stanu rycerskiego, niejakim Line. Ojciec jej, protestant, dowiedziawszy się o nawróceniu córki, tak się o to rozgniewał, że za karę ją wydziedziczył; podobnież postąpił później i z synem, który także został katolikiem, i jako braciszek świecki zaciągnął się do Towarzystwa Jezusowego.

Młody Line okazał się godnym zacnej swej małżonki. Jęczał za wiarę w więzieniu, gdy ojciec jego czy stryj, – dobrze tego nie pamiętam, – z śmiertelnego łoża posłał doń z oznajmieniem, że musi albo zaprzeć się religii swojej, albo też zrzec się wszelkiego prawa do fortuny, mającej mu się dostać w sukcesji. "Dobrze! odrzekł: jeśli chodzi o wybór między Bogiem a światem, rad wyrzekam się świata, boć słodsza jest oddać się Panu Bogu swemu". Sam kiedyś zastałem u niego młodszego brata, na którego wskutek tego zrzeczenia się spadła była bogata ona sukcesja. Był bardzo wykwintnie ubrany, gdy przeciwnie starszy w jak najskromniejszej chodził odzieży. Następnie pan Line przeniósł się do Belgii, i król hiszpański wyznaczył mu pensję roczną, z której oboje przyzwoicie utrzymać się mogli. Lecz po śmierci zacnego męża, pobożna jego małżonka do wielkiego przyszła niedostatku, i dlatego właśnie poruczyłem jej dozór nad domem dla mnie najętym.

Była to osoba cicha i roztropna; miłość bliźniego posiadała w stopniu zgoła nadzwyczajnym, a Pan Bóg nieustającym cierpieniem coraz więcej duszę jej oczyszczał. "O jakbym pragnęła umrzeć za Chrystusa! zawołała kiedyś w rozmowie ze mną; ale nie śmiem się spodziewać tej łaski, by mi dano było pod ręką kata ducha mego wyzionąć. Może jednak przyjdzie kiedyś ten dzień, że znajdą u mnie w domu kapłana, i za to mnie także wrzucą do wilgotnego lochu,

bym tam zakończyła nędzne życie moje". Wszystką nadzieję swoją w Panu pokładała, i Pan w końcu wysłuchał żądzy jej. Powiem jak się to stało.

Gdym się już był wyzwolił z więzienia mego, zdawało mi się rzeczą konieczną odebrać od niej zarząd domu mego, bo nadto już zaczęła się zwracać na nią uwaga publiczna. Nająłem jej inne mieszkanie, gdzie również często księży przechowywała. Pewnego dnia, było to w święto Oczyszczenia Matki Boskiej, wpuściła do domu swego znaczną gromadkę katolików, aby wysłuchali Mszy świętej. W moim mieszkaniu nigdy by się nie była odważyła na rzecz podobną; ale o swoje życie nie dbała. Rychło spostrzeżono gromadne ono do niej schodzenie się, i zawiadomiono o tym urząd policyjny. Siepacze wpadli do pokoju służącego za kaplicę, i pełno w nim ludzi zastali. Na chwilę przed zjawieniem się prześladowców, ojciec Franciszek Page właśnie był skończył Mszę świętą, i złożył z siebie szaty kapłańskie, tak iż napastnicy, nie widząc ni księdza, ni nabożeństwa, w pierwszej chwili nieco się zmieszali. Lecz poważna i pełna godności postawa ojca Page rychło im wskazała tego kogo szukali. Przytrzymali go zatem, i razem z wszystkimi obecnymi surowej poddali indagacji. Żaden nie wydał tajemnicy, by kapłan był w domu obecny; przyznano jednak, że takowy był oczekiwany, nie mogąc inaczej wytłumaczyć gotowych jeszcze na ołtarzu przyrządów do odprawienia Mszy świętej. Tymczasem, gdy jeszcze się o ten punkt sporny certowano, ojciec nasz zręcznie korzystając z chwilowego otworzenia drzwi, wyszedł niespostrzeżony, szybko pobiegł po schodach na górę, i tam znikł w przygotowanej zawczasu na ten cel kryjówce. Przetrząśnięto cały dom aby go odszukać, ale na próżno.

Wskutek tego pani Line i kilka osób znaczniejszych zostali aresztowani, inni za rękojmią puszczeni na wolność. Kilka miesięcy upłynęło nim wszczął się proces przeciwko mężnej niewieście. Akt oskarżenia obwiniał ją o przechowanie i żywienie księży katolickich. Na zwykłe zapytanie: *Winna* czy *niewinna?* nie dała odpowiedzi, ale mocnym głosem zawołała: "Tego jednego tylko żałuję panowie, że tak niewielu tylko sługom Bożym mogłam dać u siebie schronienie, a nie tysiącom jakbym tego pragnęła". Z wdzięcznością i świętym weselem wysłuchała ogłoszonego jej wyroku śmierci. Wskutek więzienia tak była w końcu osłabła na ciele, że ją na indagacje nosić musiano. Przed śmiercią jeszcze, z lochu w którym ją trzymano napisała do ojca Page, prosząc mię przez niego o zapłacenie kilku jej długów, za co mi przekazała w spuściźnie krzyż swój złoty i kilka innych drobniejszych rzeczy, które święcie jako drogie relikwie zachowałem.

Przybywszy na miejsce stracenia, rzekła do predykantów naprzykrzających jej się upomnieniami swymi: "Dajcie mi pokój, panowie; nie potrzebuję pomocy waszej".

Potem z pogodnym obliczem pocałowała szubienicę, rzuciła się na kolana, i tak pozostała w cichej pogrążona modlitwie, aż kat spełnił powinność swoją. Razem z nią stracony został i ojciec Filcock, który przez długi czas był jej spowiednikiem.

Ale wróćmy do więzienia. W tym samym czasie kiedy ja starałem się ile możności jak największy z niewoli mojej wyciągnąć pożytek, drogi mój Wiseman w tak ciasnym trzymany był zamknięciu, że ani żona, ani żaden z przyjaciół jego dostać się do niego nie mogli. Trwało to przeszło cztery miesiące, aż w końcu nieprzyjaciele przecie zrozumieli, że żadnego ważniejszego przestępstwa przeciw jakiemu bądź prawu dowieść mu nie zdołają; bo ze służby nie było sposobu wyciągnąć ani słowa, a zdrajca nigdy mię nie widział w ubraniu duchownym. Zmiękczyli zatem nieco pierwszą surowość swoją, pozwolili mu przyjmować swoich w więzieniu, i w innych także rzeczach niejakiej mu ulgi dopuścili. On zaś, korzystając z poniewolnej w zamknięciu bezczynności swojej, napisał w tym czasie książkę pod tytułem: "Trojakie pożegnanie ze światem, czyli trojaka śmierć, wedle trojakiego stanu duszy".

W tejże książce założył sobie dowieść, jako i ludzie żyjący na świecie mają powinność dążyć do doskonałości, i jako kluczem do doskonałości jest wybór dobrego przewodnika sumienia. Za ukazaniem się tego dzieła, niektórzy kapłani świeccy, zakonowi jezuitów nie bardzo przychylni, obrazili się skreślonym tamże obrazem dobrego przewodnika duszy, iż upatrywali w nim, słusznie czy niesłusznie trafny wizerunek ojców Towarzystwa Jezusowego. Nie kryli się nawet z przypuszczeniem, że ja sam jestem autorem onego pisma. Ale w tym się mylili; prawda że przejrzałem manuskrypt nim został ogłoszony, ale jedynie w celu poprawienia omyłek i niedokładności dogmatycznych, jeśliby się jakie znalazły.

Jeśli przyjacielowi mojemu dobrze było pod przewodnictwem moim, toteż, że użyję tej przenośni, drogo za nie zapłacił. Bynajmniej jednak na to się nie skarżył, owszem za szczęście sobie to poczytywał, że cierpi za dobrą sprawę. Małżonka też jego, jakkolwiek czuła i wrażliwa, z wielką cierpliwością znosiła tę próbę. Dowiedziawszy się o przeniesieniu moim do drugiego więzienia, zaraz w sąsiedztwie dom najęła, skąd od czasu do czasu przychodziła

do mnie po radę, i o potrzebach moich pamiętała. Po uwolnieniu męża, oboje w tym domu zamieszkali, i później dopiero, gdym się wydobył z Toweru, wrócili do siebie na wieś, spodziewając się mojego do nich przybycia.

Gromadami schodzili się do więzienia katolicy pragnący widzieć się ze mną. Celka brata Emerson, która mi służyła za przedpokój, o każdej porze dnia pełna była ludzi, tak iż najbliżsi nawet przyjaciele moi godzinami nieraz czekać musieli nim kolej na nich przyszła. Z pomiędzy wielu wiernych, których przy pomocy łaski Bożej z życia światowego do zachowania rad ewangelicznych przywiodłem, dwóch szczególnie pamiętam młodych ludzi, którzy obaj w jakimś biurze dość znaczne zajmowali stanowisko. Jeden z nich, Franciszek Page zaliczył się później do chwalebnego zastępu męczenników Chrystusowych; drugi poświęcił się naukom teologicznym, z zamiarem zostania potem kapłanem Towarzystwa Jezusowego. Wszakże nie osiągnął zamierzonego celu; umarł w kwiecie wieku, zostawiając po sobie pamiątkę wysokiej świątobliwości. Franciszek Page pochodził z uczciwej familii mieszczańskiej. Miał powierzchowność ujmującą i bardzo zacny charakter. Córka jego pryncypała pokochała go, i oboje przyrzekli sobie, że się pobiorą, skoro na to zezwolą rodzice. Franciszek, choć katolik, ale tak cały był zajęty planami i nadziejami przyszłego szczęścia swego, że na wszystko inne zdawał się być obojętnym. Mimo to jednak zaraz za pierwszą jego u mnie bytnością, taką w nim dostrzegłem czystość obyczajów i prawość charakteru, i taką pochopność do cnoty, że mimowolnie powstała we mnie myśl, iż ten młodzieniec do wyższych rzeczy jest powołany. Począłem przeto mówić mu o marności dóbr doczesnych i zwodniczych ponętach tego świata. Wiedziałem nadto, że rodzice panny niezawodnie stawią opór stanowczy przeciwko zamierzonemu związkowi, który nie bez przyczyny mógł się poczytywać za mezalians. Dałem młodemu przyjacielowi memu różne pisma religijne, które wziął z sobą do domu i przeczytał; niebawem też łaska Boska silnie w duszy jego działać poczęła. Postanowił zrzec się nie tylko zamierzonego małżeństwa, ale nawet i stanowiska swego, i pragnąc pozostać w bliższej ze mną styczności, przyjął służbę u pani Wiseman, co niewątpliwie wielką było ze strony jego ofiarą. Później został przyjęty do Towarzystwa, i umarł, jak już wspomniałem, śmiercią męczeńską.

Korzystając z wielokrotnych, jakich mi i w więzieniu do tego nie brakło sposobności, wyprawiłem, jak wyżej napomknięto, znaczną ilość młodzieży do założonych przez nas seminariów zagranicznych. Kilku z nich wróciło potem do

ojczyzny członkami Towarzystwa Jezusowego, i dotychczas tam pracują jako gorliwi misjonarze; inni stoją obecnie na czele naszych zakładów naukowych. Przy tej okoliczności przypomina mi się maleńka, jaką z tego powodu miałem przygoda.

Pewnego razu dałem list rekomendacyjny kilku chłopczykom odjeżdżającym do Saint-Omer. Napisałem go sokiem cytrynowym, i dla większego ze strony policji bezpieczeństwa, zawinąłem w ten papier kołnierzyki. Dzieci zostały przytrzymane, i od razu przyznały się, kto je wysłał. Nawet i z tym się wydały, że mają list powierzony im ode mnie, i jako im poleciłem, za przybyciem do pewnego zakładu naukowego, prowadzonego przez jezuitów, który będą miały po drodze, powiedzieć ojcom, by papier umoczyli w wodzie, zaczem pismo na nim skreślone wystąpi. Wykrywszy w taki sposób moją tajemnicę, naturalnie że władze przeczytały oba listy moje, spisane razem na jednej onej kartce; jeden z nich, po łacinie, adresowany był do ojców belgijskich, i podpisany przeze mnie; drugi był do ojców w Saint-Omer.

Natychmiast zostałem pozwany przed sąd, na nową indagację. Ale na szczęście moje tym razem już nie z Yongem miałem do czynienia; już dawno przedtem była przyszła ostatnia jego godzina. Nędzną, jak życie, była i śmierć jego, i jako całe życie był sługą diabła, tak też i umarł diabła męczennikiem. Mówiłem już wyżej, jako dniem i nocą pracował na zgubę katolików, i to z takim poświęceniem, że nieraz o drugiej lub trzeciej w nocy wybiegał z domu w najgorszą niepogodę, dla zarządzenia rewizji po domach katolickich. Nadzwyczajne te wysilenia i trudy nabawiły go w końcu choroby, która go z tego świata zabrała. Nic nie zostawił, prócz ogromnych długów. Tak to źle diabeł płaci tym którzy mu służą! – Pomimo intratnej posady, pomimo bogatych łupów, jakie zbierał po domach katolickich, pomimo znakomitych haraczów, jakie mu płacili katolicy, dla wykupienia się od prześladowań, pretensje wierzycieli jego i tak jeszcze miały dochodzić do stu tysięcy złotych i wyżej. Spodziewał się zapewne, że królowa o nim nie zapomni; ale królowa poprzestała na tym, że posłała doń jednego z dworzan swoich, aby go w jej imieniu na łożu śmiertelnym nawiedził. Ta łaska królewska głęboko wprawdzie go wzruszyła, i może by rad był zaraz zaśpiewać swoje *Nunc dimittis!* ale co do spodziewanego sukursu królewskiego, zawiodła go nadzieja. Z pochwałami i wyrazami uwielbienia dla swej królowej na ustach, wyzionął ducha swego, i poszedł na wieczność okropną. Następcą jego był Wilhelm Wade, który teraz jest komendantem Toweru, a przedtem, za życia Yongego, zajmował posadę

sekretarza przy tajnej radzie królowej. Taka bowiem była taktyka dostojnych panów, z jakich się ona rada składała, iż zawsze przybierali sobie do boku jakiego nieludzkiego służalca, aby na niego w opinii publicznej spadała hańba pewnych czynności, za które sami nie radzi by byli przyjąć na siebie odpowiedzialności.

Ów Wade więc wezwał mię przed siebie, pokazał mi onę czystą na pozór kartkę, którą u chłopców zabrano, i zapytał mię czy ją poznaję. Zmuszony byłem odpowiedzieć na to pytanie przecząco, ponieważ ani się domyślałem jeszcze pojmania onych dwu niedorostków. Umoczył więc papier w wodzie, i położył mi przed oczy pismo moje, teraz jak najwyraźniej występujące, z całkowitym i dokładnym podpisem moim. Na to ja: "Nikt po mnie, odparłem, tego żądać nie może, bym przyznał, że to moje jest pismo. Sam pan przyznasz, że nie jest to rzecz zbyt trudna podrobić czyjś charakter i podpis, a chłopcy o których pan mówisz, jeśli zostali schwytani, łatwo pojąć, że ze strachu gotowi byli wszystko zeznać, co jedno od nich zażądano. Nie przeczę, że dobry to uczynek, wysyłać dzieci zagranicę, dla zapewnienia im chrześcijańskiego wychowania, i sam bym z radością przyłożył się do takiej sprawy, gdyby to było w mojej mocy; ale pojmujesz pan, że siedząc w więzieniu, podobnymi rzeczami, choćbym chciał, zajmować się nie mogę". Wade, zupełnie zbity z toru tym uporem moim, obsypał mię za to przekleństwy. "Na nieszczęście, krzyczał, dużo nadto miałeś sobie dotychczas zostawionej swobody; ale postaramy się na przyszłość temu zaradzić". I tu wpadł fukając na dozorcę więzienia, że zaniedbuje powinności swojej. Później jeszcze dwa czy trzy razy musiałem stawać przed tym panem, i zawsze tak się urządziłem, że mię nie widział inaczej, jak w sutannie i w płaszczu zakonnym. Na widok tego ubioru zbiegały się za każdym razem dzieci, i biegnąc za nami ulicą, gwizdały na mnie, co tak korciło tych, którzy mię prowadzili, że nie posiadali się od złości. Łajali mię za to, i zwali mię obłudnikiem. "A to rzecz dziwna, odpowiadałem im; gdyście mię schwytali, utrzymywaliście że chodzę w świeckim ubraniu, aby się paniom przymilać, albo że kryję się z tym, że jestem kapłanem, aby między świeckimi żyć bezpiecznie; wskutek czego oświadczyłem, że brzydzę się odzieżą świecką i daleko chętniej noszę mą suknię zakonną. Teraz ubieram się jak na stan mój przystoi, a jeszczeście niekontenci. Snadź niczym wam dogodzić nie można, nie podobają się wam szaty weselne, i również się gniewacie na suknię żałobną; zdawałoby się, że szukacie tylko zaczepki, aby zawsze widzieć we mnie coś złego".

"Czemuż więc, mówili mi na to, pierwej nie nosiłeś tej sukni, a chodziłeś jak tchórz przebrany?". "Zapewne, odrzekłem; bardzo by wam to było na rękę poznać od razu z ubrania i schwycić księdza. A czy nie wiecie o tym, że i Rafał Archanioł ukrywał się przebrany w postać nie swoją, dla wypełnienia rozkazu jaki miał od Boga?".

Innym razem znowu zostałem wzięty na egzamin przez protestanckiego dziekana z Westminsteru, ustanowionego na miejsce dawnego opata tego klasztoru królewskiego. Topcliffe i kilku z komisarzy królewskich byli temu obecni. Chciano mię skonfrontować z matką pana Wiseman, trzymaną naówczas w przyległym do Westminsteru więzieniu dla przekonania się naocznie czy mię nie pozna. Staruszka już czekała w sali gdy mię wprowadzono. Ujrzawszy mię, ledwo nie podskoczyła z radości; lecz w tejże chwili zapanowała nad sobą i zapytała: "Czy to jest ten więzień o którym panowie mówiliście? W rzeczy samej wygląda na księdza". To mówiąc powitała mię głębokim ukłonem, który jej podobnież oddałem. Zwrócono się zatem do mnie z zapytaniem, czy nie znam tej pani. "Wiadomo już panom, odrzekłem, że z zasady na tego rodzaju pytania tę samą zawsze daję odpowiedź: Nie znam jej. Nigdy się panowie ode mnie nie dowiecie, ani nazwiska osób, które mię u siebie przyjmowały, ani miejsc gdzie używałem ich gościnności, bo i wdzięczność i miłość bliźniego zabrania mi wydać mych przyjaciół". Tu już odezwał się sam Topcliffe: "No, rzekł, przyznaj się szczerze, czy nigdy nie pociągnąłeś nikogo do Kościoła rzymskiego?". Nawrócenie heretyka do wiary katolickiej poczytywało się za zbrodnię największą. Dobrze o tym wiedziałem, i nietrudno mi było zrozumieć do czego zmierza zadane mi pytanie. Lecz sam już stan mój kapłański tak jawnie świadczył w tym względzie na moją niekorzyść, że nie godziło mi się, ani próbować wybiegu; odpowiedziałem więc śmiało i stanowczo: "Tak jest; niejednego już nawróciłem, i z całego serca żałuję, że mi nie było dano więcej jeszcze dusz pociągnąć do powrotu na łono Kościoła". – "Ależ przecie, zawołał Topcliffe, ilu może być przez pana nawróconych? Jakie tysiąc?". – "Bez wątpienia, odrzekłem, a lepiej choćby i sto tysięcy". – "Tego zapewne, rzecze on, byłoby dosyć na utworzenie potężnego wojska dla zrzucenia z tronu królowej". – "Owszem przeciwnie, zawołałem; nawróceni przeze mnie byliby raczej niezachwianie wiernymi poddanymi królowej, bo właśnie święta nasza religia ścisły przepisuje obowiązek posłuszeństwa dla wszelkiej zwierzchności". – "Co mi tam będziesz gadał, ofuknął się Topcliffe; wiadomo pod dostatkiem, że szerzycie bunt i rokosz. Oto właśnie mam tu bullę papieską, wydaną na imię Sandersa (4), kiedy się wybierał do Irlandii dla podburzenia poddanych królowej

do powstania. Weź sam i czytaj". – "Obejdę się bez czytania, odparłem. Rozumie się samo przez się, że jeśli Papież istotnie wysłał tego pana, nie mógł go zostawić bez należnych ku temu upoważnień. Ja zaś żadnego nie mam prawa wdawać się w podobne rzeczy. Owszem, nam jezuitom wyraźnie tego zabroniono, i nie myślę sprzeciwiać się temu postanowieniu". – "Masz wziąć i przeczytać, mówię ci; tak chcę i każę".

Zniewolony tedy, wziąłem do ręku oną bullę, i ujrzawszy na czele najświętsze Imię Jezus, ze czcią je pocałowałem. "Co? krzyknął Topcliffe; bullę papieską całujesz? a to rzecz niesłychana!". – "Całuję Imię Jezus, odrzekłem, jako imię Tego, który jest godzien najwyższej czci i miłości. A jeśli to pismo istotnie jest, jak pan powiadasz, bullą papieską, to i z tego względu już je czczę i szanuję", i to mówiąc, powtórnie przycisnąłem do ust on dokument. Topcliffe nie posiadał się od złości. "Znamy się, znamy się! zawołał; tak tu udajesz przed nami; ale wiemy dobrze z kim się po kryjomu całujesz". – "Niech nas Pan od tego zachowa! odparłem żywo. Co do mnie, nikomu jeszcze nie dałem okazji o takie rzeczy mię obwiniać". – "Ej, fraszki! czy nie byłeś w tym a w tym czasie, i w tym a w tym domu, z panią***, córką hrabi Northumberland?". I tu dodał rzeczy których i powtórzyć nie chcę.

Na taką prawie niepodobną do uwierzenia bezczelność, zupełnie straciłem zimną krew; i choć dobrze wiedziałem, że podejrzenie ono nie ma za sobą najmniejszego prawdopodobieństwa, a jedynie z nikczemnej złości się poczęło, nie mogłem jednak powstrzymać mego uniesienia, i zawołałem: "Świadczę się Bogiem wszystko wiedzącym, że nie masz i cienia prawdy w tym o co mię pan obwiniasz". I to mówiąc wyciągnąłem rękę na leżącą przede mną Biblię otwartą. Był to protestancki przekład Biblii w języku angielskim. Topcliffe zamilkł. Ale za to dziekan, nie chcąc opuścić tak dobrej zręczności, zapytał: "Czy chcesz pan istotnie przysięgać na tę Biblię naszą?". – (Katolik należycie oświecony odmówiłby takiej przysięgi). – Odpowiedziałem tedy: "W pierwszym uniesieniu oburzenia mego, chcąc tylko zrzucić z siebie zarzut haniebny, nie pomyślałem o tym, jakiego to rodzaju przekład mam przed sobą. Są zresztą niektóre prawdy wiary, jak wcielenie, gorzka męka i śmierć Zbawiciela, i inne które i w waszym tekście nie uległy skażeniu, i na te prawdy poprzysięgam niewinność moją. Lecz inne miejsca, błędnym tłumaczeniem sfałszowane, odrzucam i potępiam". To mówiąc, na nowo rękę wyciągnąłem, i mocno na księdze oparłem. Na to stary dziekan zawołał obrażony: "Dowiodę panu, że jesteś kacerzem". – "Bardzo proszę", odrzekłem. – "Dowiodę, dowiodę, a to w ten sposób: Wszelki kto

zaprzecza powagi Pisma świętego, jest kacerzem: a więc jesteś kacerzem, bo nie chcesz uznać powagi tej Biblii". – Nietrudna była na to odpowiedź. "Sylogizm pański, odparłem, nic nie wart; bo z ogólnego twierdzenia przeskakuje na szczególne, a zatem ma cztery terminy zamiast trzech". – "Proszę mię nie uczyć; jeszcze pana nie było na świecie, kiedym już umiał składać sylogizmy". – "Być może, z tym wszystkim jednak ten, któryś pan złożył przed chwilą, bynajmniej nie był trafny". Jakoż w istocie poczciwiec nie pokusił się dalej prowadzić swego dowodzenia, i do innych rzeczy mowę obrócił. Stawiono mi jeszcze różne pytania, na które, jak z góry wiadomo było pytającym, nie chciałem dać odpowiedzi, i posłuchanie skończyło się nareszcie odesłaniem mię na powrót do więzienia.

Przypisy:

(1) Więzienie to leżało w dzielnicy Southwark, i przytykało do pałacu biskupa Winchester. Zapewne dom ten służył w innych czasach za trybunał biskupi.

(2) Ojciec Bartoli (*Inghilterra*, l. V, c. 13), który w Rzymie poznał o. Gerarda, inszy jeszcze wspomina szczegół z onej epoki niewoli jego: "Dostawszy się, powiada, do onego więzienia, wystarał się o habit zakonny Towarzystwa Jezusowego, i odtąd takowy ciągle nosił; nawet na ulicach londyńskich, gdy go do tej lub owej komisji śledczej wiedziono. Na odgłos że idzie jezuita w zakonnym ubraniu swoim, zbiegało się za każdym razem pospólstwo, a predykanci na takie stawienie im czoła nie posiadali się od gniewu.

(3) Był to hrabia Ruttond.

(4) Sanders, sławny teolog, w roku 1579 przez Grzegorza XIII wysłany do Irlandii w charakterze papieskiego legata.

IX.

Topcliffe prorokiem. – Smutny koniec jego.

Pewnego dnia pociągnięto wszystkich katolików, i mnie także, na miejsce zwane Guildhall, gdzie Topcliffe i drudzy komisarze czekając na nas zasiadali. Powtórzono mi nasamprzód zwykłe zapytania, na które też tak samo odpowiedziałem jak zwykle. Ale nie ten był właściwy cel indagacji; miano głównie na celu wybadać polityczne przekonania nasze, albo przynajmniej wyłudzić z nas jakie słowo w tym przedmiocie, które by mogło służyć przeciwko nam za punkt oskarżenia. Stawiono mi więc pytanie, czy uznaję królową Elżbietę za prawą królową i rządczynię Anglii. "Tak jest, odrzekłem, przyznaję jej niewątpliwie te tytuły". – Jak to? zawołał Topcliffe, uznajesz ją pan i to wbrew klątwie którą rzucił na nią Pius V? – "Uznaję ją za królową naszą, pomimo tej klątwy". Wiedziałem bowiem o dodanym przez Papieża wyraźnym objaśnieniu, iż klątwa ona później dopiero miała zostać prawomocną na całą Anglię, to jest wtedy, kiedy by wykonanie wyroku stało się możebnym. "Ale przypuśćmy że Papież wyprawi wojsko przeciw Anglii, oświadczając przy tym iż jest jego zamiarem przemocą nawrócić całe królestwo na religię katolicką, i na mocy powagi swej apostolskiej żądając od wszystkich wiernych poparcia w tym przedsięwzięciu: po czyjej stronie stanąłbyś pan w takim razie, po stronie Papieża, czy po stronie królowej?".

Było to bezwątpienia zapytanie z rodzaju najpodstępniejszych. Z rozmysłem Topcliffe tak je postawił, aby mię odpowiedź kosztowała albo zbawienie duszy albo życie. Odpowiedziałem w sposób omijający, w tych słowach: "Jestem wiernym synem Kościoła katolickiego, jestem również wiernym poddanym królowej. Gdyby kiedy miało się sprawdzić przypuszczenie pańskie, co zresztą jest rzeczą do prawdy niepodobną, a nawet zgoła niemożliwą, w takim razie uczyniłbym jak na wiernego katolika i wiernego poddanego Jej królewskiej Mości przystoi". – "Na co te omówienia! mów pan wyraźnie!". – "Powiedziałem co myślę, i więcej nic nie dodam". Na to znowu Topcliffe wielkim zapalił się gniewem, i po różnych obelgach i klątwach, tymi słowy mowę swą zakończył: "Pamiętaj pan na to co panu zapowiadam: Tego roku nie będziesz pełzał na kolanach i krzyż twój całował. (Miała to być aluzja do obrzędów wielkopiątkowych). Moja to rzecz będzie temu zapobiec". Chciał przez to powiedzieć, że się postara o to, abym przed tym czasem został powieszony. Ale na radzie z Panem Bogiem nie zasiadał, i nie wiedział także

okrutnik jak bardzo byłem łaski tej niegodny. Wszakże spełniło się proroctwo jego, choć zupełnie inaczej niż myślał.

Zajście dopiero co opowiedziane miało miejsce około Bożego Narodzenia. W czasie następnego Wielkiego Postu Topcliffe sam dostał się do więzienia, za nieuszanowanie okazane członkom Rady tajnej. Dopuścił się tej winy, jeżeli się nie mylę, w obronie swego syna, który w uniesieniu gniewu do tego stopnia był się zapomniał, że w samej sieni najwyższego trybunału królewskiego człowiekowi życie odebrał.

Wiadomość o tym zdarzeniu, i jako ten drugi Haman na szubienicy którą dla nas gotował sam ma postradać życie, nam więźniom bardzo była na rękę; znowuśmy nieco wolniej odetchnęli, i ze swobody nam zostawionej szerzej jeszcze niż przedtem korzystaliśmy. Zgodziliśmy się na żądanie wielu z przyjaciół naszych, aby nas w więzieniu odwiedzali, i tamże do Sakramentów świętych przystąpili, i w obrzędach wielkopiątkowych uczestniczyli. Tak więc i w Wielki Piątek wielu katolików zgromadziło się w sali nad moim pokojem położonej, która nam służyła za kaplicę. Już było nabożeństwo dość daleko postąpiło, i właśnie zdejmowałem trzewiki do trzykrotnej adoracji krzyża świętego, gdy nagle sam nadzorca więzienia we własnej osobie głośno do drzwi pokoju mego zapukał, a nie otrzymawszy zaraz odpowiedzi, gwałtownie począł w nie bić, jakby je chciał wyłamać. Domyśliłem się od razu że to nadzorca; bo nikt inny nie byłby sobie pozwolił takiego względem mnie zachowania się. Posłałem tedy do niego z oznajmieniem, że za chwilę służyć mu będę. I tak musieliśmy poniewolnie przerwać obrzędy kościelne. Złożyłem z siebie szaty kapłańskie, i pośpieszyłem na dół, chcąc zapobiec wejściu nadzorcy do naszej sali górnej, co by było pociągnęło za sobą nieprzyjemności dla wielu tam zgromadzonych.

Skoro mię ujrzał z daleka, ostrym i gniewliwym głosem na mnie zawołał: "Jak pan śmiesz wychodzić z celi swojej, będąc skazanym na najciaśniejsze zamknięcie". Ale wiedziałem dobrze z kim mam do czynienia, przybrałem przeto minę wielkiego nieukontentowania, i strofując go za nieprzyzwoitość jego, wyraziłem mu zdziwienie moje, jak to być może, by człowiek taki jak on, mianujący się przyjacielem naszym, napadał nas tak nieuprzejmie, i to w takiej porze, kiedy wie, że jesteśmy na modlitwie. "Jak to! byliście na Mszy? A toż doprawdy muszę zaraz pójść tę sprawę rozpatrzyć". – "Daj sobie pokój, odrzekłem spokojnie; czyż nawet i o tym nie wiesz, że w dniu dzisiejszym na cały Kościół katolicki nie masz Mszy świętej? Zresztą, idź sobie na górę, jeśli ci

się podoba. To tylko zastrzegam, że jeśli pójdziesz, ani ode mnie, ani od żadnego z nas nie dostaniesz nadal ani złamanego grosza za pokoje twoje. Wolno ci będzie naonczas zepchnąć nas do celek dla ubogich, za które nie masz opłaty; ale będzie to strata dla ciebie, nie dla nas. Przeciwnie, jeśli będziesz grzeczny, a zechcesz nie napadać nas tak znienacka, nie okażemy ci się i nadal niewdzięcznymi, jak i nie byliśmy nimi dotychczas". Ostatnie te słowa widocznie go ułagodziły. "Ale jakiż wreszcie jest cel tych niespodzianych odwiedzin?" zapytałem go. "Nie inny, odparł, jedno ten, że mam dla pana ukłony od pana Topcliffe". "Od pana Topcliffe? Rzecz dziwna! odkądże to taka przyjaźń między nami? Wszak siedzi w więzieniu? Już mi, sądzę, nie będzie szkodził". "Tak jest w istocie, rzekł nadzorca; nic już panu zrobić nie może; ale bez żartu, wyprawił mię do pana z ukłonem. Dziś rano gdym był u niego, zapytał mię o zdrowie pańskie, na co mu odpowiedziałem, że dobrze się masz. «Jednak, odezwał się na to pan Topcliffe, nie znosi więzienia swego z taką jak ja cierpliwością. W każdym razie proszę cię, złóż mu ukłony ode mnie», – i to przyczyna moich odwiedzin". – "Dobrze, rzekłem; proszę mu powiedzieć ode mnie, że z łaski Boskiej znoszę z weselem więzienie moje za wiarę, i życzę mu, aby i on mógł cierpieć za tak dobrą sprawę". Tu odszedł ode mnie nadzorca, łając jeszcze po drodze stróża, że mię tak niedbale pilnuje.

Tak więc, nie wiedząc o tym, Topcliffe sprawdził swoje proroctwo. Przeszkodził mi w adoracji krzyża: ale temu już nie mógł przeszkodzić, bym później przerwanego obrzędu nie dokończył.

Nie mogę zakończyć tego rozdziału, nie wspomniawszy choć krótko i o dozorcach moich. Pierwszy jakiego miałem w więzieniu dozorca, nic nigdy nie uczynił bez wyraźnego pozwolenia mego; szkoda, że rychło po przybyciu moim umarł. Ale i następcy jego prawie tyleż byli usłużni co i on. Jeden z nich nawet się nawrócił, i został przyjęty przeze mnie na łono Kościoła. Złożył swój urząd na drugiego, a sam przyjął służbę u pana mi przychylnego, którego synowi towarzyszył w podróży do Włoch. Później obrał sobie stan zakonny, a teraz jęczy w tym samym więzieniu, w którym pierwej był dozorcą. Ten który po nim nastał, miał żonę i dzieci. Nie nawrócił się, bo go od tego wstrzymywała obawa nędzy; ale tak mi był wiernie oddany, że nawet ciężko podejrzanych katolików w własnym domu swym ukrywał, a gdy później układał się plan ucieczki mojej z Toweru, nie wahał się wziąć udziału w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu; co większa, choć pierwszej nocy ledwo nie utonął, przecie i następnej znowu się podjął kierowania łódką, na której oswobodzony zostałem z więzienia mego, jak o tym w swoim miejscu szerzej opowiem.

X.

Tower

W tym samym więzieniu gdzie byłem trzymany, znajdował się także pewien kapłan, któremu niejedną byłem wyświadczył przysługę. Za przybyciem do Anglii, moim staraniem znalazł przyjęcie u jednej przezacnej rodziny, z którą bliskie łączyły mię stosunki; matkę jego i brata nawróciłem na wiarę katolicką, i później, gdy jęczał w więzieniu, otoczyłem go przyjaciółmi, i znaczne prócz tego przesyłałem mu ofiary; słowem, wielką w każdym zdarzeniu okazywałem mu przychylność. Mimo to jednak, widząc w nim pewną chwiejność charakteru i zbyt niecierpliwą żądzę dostania się na wolność, w stosunku z nim mniej byłem otwarty niż z drugimi, szczególnie z bratem Emerson i z Janem Lilly. Lecz ostrożność moja nie ochroniła mię od tego, żem w końcu jednak z łaski jego musiał powędrować do Toweru. Czy to w nadziei, że gdy już mnie nie będzie, do siebie zagarnie gromady wiernych, którzy mię odwiedzali; czy to w chęci zjednania sobie łaski u nieprzyjaciół naszych, albo nawet zasłużenia sobie na uwolnienie; dość że biedny doniósł na mnie: jako w obecności jego, słudze ojca Garnett, wspomnianemu już kilkakrotnie "Jaśkowi", wręczyłem paczkę listów otrzymanych z Rzymu i z Belgii. Trzeba bowiem wiedzieć, że wierny on sługa, razem ze mną, jak to opowiedziałem wyżej, pojmany, po mężnym wytrzymaniu kilkakrotnych indagacji, został wypuszczony na wolność za dużą sumę pieniędzy, którą jeden pan katolicki za niego zapłacił. W rzeczy samej, trudno było obyć się bez niego, szczególnie ze względu na niezrównaną jego zręczność w zakładaniu kryjówek. W doniesieniu swoim ksiądz o którym mowa dodał jeszcze, że w ogólności często odbieram listy z zagranicy, adresowane bądź do mnie, bądź do starszych moich. Wskutek tego wyprawiono na mnie sędzię z dwoma komisarzami, którzy w towarzystwie nadzorcy, nagle i zgoła niespodzianie zjawili się w mojej celi. Lecz dzięki Opatrzności nikogo u mnie nie zastali, oprócz dwóch chłopczyków którym dawałem lekcje, w celu wyprawienia ich potem na dalsze nauki do którego zakładu zagranicznego.

Jeden z tych chłopczyków został przytrzymany; drugi zdołał umknąć. Nic zresztą nie znaleziono w pokoju moim, co by podejrzenie wzniecić mogło; miałem bowiem urządzone w różnych miejscach małe kryjówki, i w nich chowałem co miałem ważniejszego. Później dopiero brat Emerson, dokładnie powiadomiony o wszystkim, wyjął stamtąd papiery moje, i 1300 złotych przeznaczone na opłacenie najmu za dom mój w Londynie.

Podczas gdy sędzia przewracał w książkach moich, jeden z siepaczy wziął się do rewidowania mej osoby, i odpiąwszy mi suknię, odkrył pod nią włosiennicę. "A to co takiego?" zawołał zdziwiony. – "Koszula", odparłem krótko. – "Oho! rzecze tamten, toć to bodaj włosiennica!" i to mówiąc szarpnął, chcąc ją zedrzeć ze mnie przemocą. W pierwszej chwili tak mię wzburzyła zuchwałość tego draba, że ledwom nań ręki nie podniósł, aby go siłą odepchnąć; zdołałem jednak z łaski Bożej zapanować nad uniesieniem moim; odwołałem się o pomoc do sędzi, który też natychmiast położył tamę bezczelności hultaja.

Lubo nic u mnie nie znaleźli podejrzanego, mimo to jednak policjanci zabrali mię z sobą, zaprowadzili mię do Toweru, i tam oddali w ręce porucznika królewskiego, mającego naczelny dozór nad tym gmachem. Był to obywatel stanu rycerskiego, a nazywał się Bartley. Zaprowadził mię do jednej z wież należących do twierdzy (1). Była to wieża dość wysoka i miała trzy piętra, z których każde mieściło w sobie jedną celę więzienną. Wyznaczył mi na wstępie celę dolną, i poruczył mię straży bezpiecznego dozorcy. Ten przyniósł mi wiązkę słomy i wyszedł, najstaranniej zamykając za sobą nie tylko wnijście do celi mojej, ale i drugie drzwi zewnętrzne, zaopatrzone w rygle i sztaby żelazne. Poleciłem się Wszechmogącemu, który ze sługami swymi i do lwiej jamy zstępuje, i który mię też nigdy w żadnej przygodzie nie opuścił; poleciłem się Najświętszej Pannie Maryi, Patronowi mojemu i Aniołowi Stróżowi; potem spokojnie się położyłem na słomianej pościeli mojej, i spokojnie zasnąłem.

Nazajutrz rano, za pierwszym brzaskiem wnikającego do jaskini mojej światła dziennego, zerwałem się chcąc bliżej opatrzyć nowe moje mieszkanie. I oto na jednej ścianie widzę w murze wyryte końcem noża imię czcigodnego ojca Henryka Walpole. W pobliżu tego miejsca odkryłem także małe jego oratorium, schowane w wydrążeniu ściany, w którym niegdyś było okno, później zamurowane. Na obu ścianach przyległych wypisał był węglem imiona dziewięciu chórów anielskich, nad nimi imię Najświętszej Panny Maryi, wyżej jeszcze imię Boskiego Zbawiciela, a u szczytu na zakończenie, imię Najwyższego w języku łacińskim, greckim i hebrajskim. Była to dla mnie pociecha prawdziwie niewypowiedziana, mieszkać w tym samym więzieniu,

które taki wielki męczennik obecnością swoją poświęcił, – w więzieniu, które było świadkiem jego katuszy, bo w tym miejscu, jak mię zapewniono, do czternastu razy brany był na tortury. Być może, że oprawcy wstydzili się tyle razy z rzędu wystawić go publicznie na one srogie męczarnie w sali na to przeznaczonej. Komu zaś wymieniona powyżej liczba wydawałaby się przesadzoną, i niepodobną do uwierzenia, ten może łatwiej uwierzy gdy dodam, że wskutek onych katuszy, ojciec Walpole na całe życie prawie zupełnie władzę w rękach postradał.

Niedługo jednak trwała ta radość moja z mieszkania w celi błogosławionego ojca Walpole; nie byłem godzien stać się następcą tego bohatera. Zaraz następnego dnia dozorca mój, czy to przez uprzejmość dla mnie, czy wskutek wyższego rozkazu, wyznaczył mi izbę obszerniejszą i wygodniejszą na pierwszym piętrze. Oświadczyłem mu, że wolałbym pozostać w celi dolnej, i przyznałem mu się nawet dlaczego; gdy jednak na życzenie moje zgodzić się nie chciał, prosiłem go by mi wolno było przynajmniej modlić się w tej celi, co mi też często pozwalał. Zapytał mię czy nie mam przyjaciół, którzy by zechcieli dostarczyć mi łóżko; bo w Towerze każdy więzień sam sobie własnym kosztem musi sprawiać meble, które potem, gdy wyjdzie z więzienia, dostają się w spadku gubernatorowi. Odpowiedziałem mu, że nie mam innych przyjaciół prócz tych, którzy siedzieli ze mną w więzieniu "Clink"; że jednak ci, choć sami w trudnym położeniu, może dadzą pieniądze na kupno łóżka potrzebne. Do nich więc, wskutek tego oświadczenia mego, udał się dozorca, i z chęcią okazali się gotowymi do sprawienia żądanego sprzętu; nadto jeszcze prosili go usilnie, by się ze mną jak najlepiej obchodził, za co mu i obiecali stosowną nagrodę, skoro by im przyniósł ode mnie świadectwo na piśmie i z moim podpisem.

Czwartego dnia po przeniesieniu moim do Toweru, wszedł do mnie po obiedzie dozorca, i z smutkiem na twarzy oznajmił mi o przybyciu lordów komisarzy z prokuratorem generalnym (2), i że dostojni panowie na mnie czekają. "Gotów jestem, odrzekłem; pozwól mi tylko, nim pójdziemy, zmówić w celi dolnej jedno Ojcze nasz i Zdrowaś Maryja". Zgodził się na moje żądanie, poczym zaprowadził mię do mieszkania gubernatora.

Zastałem tam zgromadzonych pięciu panów, którzy wszyscy, z wyjątkiem jednego Wade, po raz pierwszy mię badali. Prokurator generalny położył przed sobą arkusz papieru, dla spisania protokółu. Zapytano mię znowu o przekonania moje polityczne, na co jak zawsze dałem jak najogólniejsze odpowiedzi.

Oświadczyłem tylko, że wszyscy członkowie Towarzystwa Jezusowego surowy mają zakaz mieszania się w sprawy tego rodzaju, i że co do mnie, zawsze byłem posłuszny temu przepisowi, co już z tego jawnie się okazuje, że choć już trzy lata trzymają mię w więzieniu, przecie nikt jeszcze nie zdołał wynaleźć ani jednego świadka, ani jakiego bądź na piśmie dokumentu, z którego by się okazywać mogło, że to twierdzenie moje nie zgadza się z prawdą. Następnie zapytali mię sędziowie, co to były za listy którem ze stałego lądu otrzymał. (Z tego pytania domyśliłem się powodu mego przeniesienia do Toweru). Odpowiedziałem, że przypuściwszy iżem różne listy otrzymał, treść ich przecie nic zgoła nie miała wspólnego z polityką, ponieważ odnosiły się wyłącznie do spraw osobistych. "Ależ, zarzucił Wade, czyż nie otrzymałeś pan paczki listów, któreś później przez pewną osobę przesłał Henrykowi Garnett?". – "Jeślim to uczynił, było to tylko obowiązkiem moim. W każdym razie listy te nic nie miały do czynienia z polityką". – "Któż tedy był posłem pańskim do odniesienia onych listów? jak się nazywa?". – "Nazwiska jego nie wiem, a choćbym i wiedział, nie wydałbym go". – "Zapewniasz pan, wtrącił tu prokurator generalny, że nie chcesz w niczym szkodzić rządowi; jeśli tak, więc powiedz nam, gdzie mieszka ten Garnett; jest to nieprzyjaciel rządu, i przeto masz pan obowiązek wskazać gdzie się znajduje ten człowiek niebezpieczny". – "Nie jest on bynajmniej nieprzyjacielem rządu! zawołałem; owszem, wiem i świadczę, że rad by oddał i życie swoje, gdyby tego było potrzeba na obronę i ratunek rządu i królowej. Nie wiem zresztą gdzie się teraz obraca, a choćbym wiedział, nie powiedziałbym". – "Mylisz się!" zawołało na to jednym głosem całe zgromadzenie; "musisz powiedzieć, i to pierwej nim wyjdziesz z tej sali". – "Da Pan Bóg, że tego nie będzie", odrzekłem.

Odczytano mi zatem wyrok skazujący mię na tortury. Spisany był z zachowaniem wszelkich formalności. "Przy pomocy łaski Bożej, rzekłem, ani przyjaciół moich nie wydam, ani się wiary mej katolickiej nie zaprę! Macie moc nad ciałem moim, róbcie z nim co wam się podoba; nic mi złego uczynić nie możecie nad to, co Pan Bóg dopuści".

Sędziowie tymczasem poczęli nalegać na mnie, bym ich nie zmuszał do użycia środków, na które wzdryga się własne ich uczucie; dodali jeszcze, że będą zniewoleni dzień po dniu brać mię na tortury, dopóki nie okażę się gotowym do zeznań których ode mnie żądają. "W Bogu Wszechmogącym pokładam nadzieję moją, odparłem; On nie dopuści tego bym podłością zmazał duszę moją; niczego więcej się nie boję, bo wszyscy jesteśmy w ręku Jego!".

Przypisy:

(1) Tower londyński, z wieżycami swymi i wałami, dziś jeszcze jest zupełnie w tym samym stanie, w jakim był za czasów O. Gerarda; nawet i stróże jego obecni ten sam jeszcze co wówczas noszą mundur wojskowy. Co większa, imiona nawet błogosławionych męczenników, którzy niegdyś te ciemne lochy obecnością swą poświęcili, po dziś dzień widać czytelnie wypisane na ścianach.

W muzeum też przechowuje się znaczny zapas narzędzi torturowych z okropnych onych czasów, tylko że innowiercy, odpowiednimi każdego z tych przedmiotów objaśnieniami, starają się zrzucić z siebie hańbę ciążącą na nich za barbarzyństwa, których się dopuszczali ich poprzednicy. W tym celu przewodnik najpoważniej tłumaczy przerażonym słuchaczom swoim, jako wszystkie one narzędzia pochodzą z Hiszpanii, gdzie niegdyś służyły inkwizycji. Zaraz się dowie czytelnik jaka to prawda.

(2) Sir Edward Coke (1597).

XI.

Tortury

Do izby więc torturowej skierowaliśmy kroki nasze. Powoli i uroczyście przez ponure korytarze podziemne, posuwał się nasz pochód, poprzedzony przez siepaczów niosących zapalone pochodnie. Przybyliśmy na koniec do obszernej sali, zastawionej naokoło wzdłuż ścian rusztowaniami i innymi wszelkiego rodzaju narzędziami torturowymi. Kazano mi niektórym z nich bliżej się przypatrzyć, oznajmiając mi przy tym, że ich zakosztuję wszystkich po kolei. Potem raz jeszcze ponowiono mi ono stanowiące o losie moim pytanie, czy gotówem uczynić żądane zeznania, czyli nie? "Nie mogę", odpowiedziałem, i rzuciłem się na kolana wzywając pomocy Boskiej.

Zaprowadzono mię więc pod jeden z ogromnych filarów drewnianych, wspierających szerokie sklepienie podziemia, i zaopatrzonych u góry w mocne obręcze żelazne. Włożono mi na ręce kajdanki, i kazano wstąpić na małe rusztowanie, na dwa czy trzy stopnie wysokie. Potem mi podniesiono w górę ramiona, wpuszczono gruby drąg żelazny naprzód w obręcze kajdan moich u

ręku, a następnie we wspomniane wyżej obręcze u góry filaru, i żelaznymi klinami takowy przymocowano. Dopełniwszy tych przygotowań, usunięto mi z pod nóg stopień na którym stałem, wskutek czego ciało moje pozostało zawieszone w powietrzu za ręce. Ponieważ jednak i tak jeszcze końcami palców u nóg lekko dotykałem ziemi (1), a nie było sposobu podnieść mię wyżej, innego przeto użyto środka, i ziemię z pod nóg mi odgarniono.

Szukałem odwagi i siły w modlitwie, gdy tymczasem widzowie męki mojej, otaczający mię dokoła, bezprzestannie powtarzali swe pytania, czy już przecie się zgodzę uczynić żądane zeznania. Tę samą wciąż mieli na to ode mnie odpowiedź: "Nie chcę, nie mogę!". Wkrótce ból stał się tak gwałtowny, że ledwo jeszcze mówić mogłem. Najsrożej cierpiałem w piersiach, w żołądku i w ramionach. Miałem takie uczucie jakby wszystka krew we mnie zbiegała się do rąk, i strumieniami z palców mi płynęła. Zapewne ból nieznośny jaki czułem, sprawował to złudzenie; bo ciało u stawów rąk do tego stopnia napuchło, że rychło całkiem pokryło obręcze żelazne włożone mi na ręce. Uczucie bólu którego doznawałem, – może wpływ ducha złego nie był obcy temu uczuciu, – tak było gwałtowne i przenikliwe, że zdawało mi się niepodobieństwem bym je dłużej wytrzymać mógł; mimo to jednak nie zachwiałem się w postanowieniu moim, a Pan w nieskończonym miłosierdziu swoim ulitował się nad słabością moją, i nie dopuścił, by pokusa przewyższyła siły moje. Wejrzał na śmiertelne katusze i konanie moje, i na strwożenie serca mego, i natchnął mi myśl, która mię pokrzepiła i otuchy mi dodała: "Nic ci więcej zrobić nie mogą nad to, że ci życie odbiorą", mówił mi głos jakiś w głębi duszy mojej; "a wszak sam tyle razy pragnąłeś by ci dano było umrzeć dla Chrystusa; w ręku Jego jesteś; On widzi co cierpisz, i Wszechmocność Jego wspomoże cię". Zarazem uczułem jako nadzwyczajny promień łaski Bożej nową siłą ducha mego ożywia, i niebieskim tym namaszczeniem umocniony, zdałem się bezwarunkowo na wolę Pana Boga; owszem nawet spodziewałem się i pragnąłem umrzeć dla Niego. A tak uciszyła się ona burza w duszy mojej, i sam nawet ból zmysłowy, choć w rzeczy samej coraz bardziej się wzmagał, już mi się zdawał znośniejszy.

Widząc że ustąpić nie myślę, lordowie komisarze wrócili do gubernatora, i tylko od czasu do czasu przysyłali dowiedzieć się co się ze mną dzieje. Został przy mnie tylko mój dozorca, i trzech czy czterech ludzi z nim. Pierwszego widocznie litość zatrzymywała przy boku moim. Stał bezprzestannie zajęty ocieraniem mi potu grubymi kroplami spływającego mi po twarzy. Drogo jednak musiałem przypłacić tę miłosierną jego posługę, bo rozmowa, którą przy

tym prowadził ze mną zwiększała tylko mą mękę. Prosił mię i błagał bez przerwy bym się przecie zlitował nad sobą, i wyznał to czego ode mnie dowiedzieć się żądano. Nieraz potem zapytywałem sam siebie, czy to duch ciemności do tego go pobudzał, czy też może ten człowiek odgrywał rolę zawczasu umówioną, – tak wymownie a zręcznie namawiał mię i przekonywał! Ale wszystkie te strzały nieprzyjacielskie bezsilnie na mnie się odbijały, i ledwo czułem ich ostrze. Powiedziałem mu w końcu, że usilnie go proszę aby mię dłużej nie męczył, gdyż zgoła nie mam ochoty dla ocalenia ciała zatracić duszę moją. Mimo to jednak nie przestał. Słyszałem także jak obecni mówili między sobą: "Chociażby wyszedł stąd żywy, skutki przecie tej dzisiejszej przeprawy na całe życie mu pozostaną, tym bardziej, że co dzień ma być brany na tortury, póki nie ustąpi". Ja tymczasem modliłem się cichym głosem, wymawiając nieustannie święte imiona Jezusa i Maryi. Około godziny pierwszej odszedłem od zmysłów; niepodobna mi oznaczyć jak długo byłem w tym stanie, ale musiała to być widocznie tylko krótka chwila, bo poprzestano na tym, że mi wspomniony wyżej stopień pod nogi wsunięto; lecz skoro dosłyszano, że znowu się modlę, zaraz też i on stopień znów mi z pod nóg zabrano, co się i potem powtórzyło za każdym nowym omdleniem, a było tego osiem czy dziewięć razy.

Na kilka minut przed piątą zjawił się Wade i do mnie przystąpił: "Czy zgadzasz się pan teraz, zapytał, usłuchać rozkazów królowej i rady?". – "Nie, odpowiedziałem; żądacie ode mnie rzeczy, której się nie godzi uczynić, i przeto nigdy się na nią nie zgodzę". "Więc powiedz przynajmniej, że chcesz się widzieć z lordem Cecil, sekretarzem tajnej rady". – "Nic mu nie mam do powiedzenia nad to co już panu powiedziałem. A przy tym, gdybym uczynił według rady pańskiej, łatwo by stąd mogło wyniknąć zgorszenie, i mogłoby się zdawać żem się przeniewierzył postanowieniu memu". Na to Wade, zamiast odpowiedzi, z gniewem się ode mnie odwrócił, i w największej złości wybiegł z sali, wołając: "A więc wiś sobie, i giń marnie, kiedy tak chcesz!...".

Przyszła na koniec godzina o której komisja musiała opuścić Tower; taki bowiem był przepis, że o piątej za uderzeniem w wielki dzwon, wszystkie bramy się zamykały, i przeto kto nie chciał nocować w Towerze, na ten znak musiał się wynosić. W kilka chwil potem zdjęto mię z krzyża mego. Z trudnością mogłem się utrzymać na nogach, i nie inaczej jak opierając się na dozorcy zdołałem dojść do izby mojej. Po drodze spotkałem kilku więźniów, którym pozwolono było używać przechadzki w obwodzie murów fortecznych, i przechodząc mimo nich, głośno się odezwałem w te słowa: "Jednak to rzecz dziwna, że ci panowie żądają ode mnie wskazania im miejsca gdzie przebywa

ojciec Garnett, kiedy sami tego zaprzeczyć nie mogą, że wydać niewinnego jest to zbrodnia sromotna. Nigdy się na to nie zgodzę, choćbym miał i życiem przypłacić". Dwojaki w tym odezwaniu się miałem cel: naprzód chciałem zapobiec wszelkim jakie by powstać mogły fałszywym o mnie pogłoskom, jakobym uległ torturze, i żądane wyznania uczynił; a oprócz tego miałem nadzieję, że słowa moje za pośrednictwem onych więźniów dojdą do wiadomości ojca Garnett, i ostrzegą go o grożącym mu niebezpieczeństwie. Postępek mój widocznie nie podobał się dozorcy; ale ja nie zważając na to, mówiłem tym głośniej. Zresztą poczciwiec szczerą zdawał się mieć litość nade mną. Napalił zaraz w mej izbie, i przyniósł mi jedzenie, bo właśnie była pora kolacji. Ale nic prawie do ust wziąć nie mogłem, i pośpieszyłem spocząć na mej pościeli.

Nazajutrz wcześnie, skoro tylko otworzyły się bramy Toweru, zjawił się znowu dozorca z oznajmieniem, że pan Wade już jest, i czeka na mnie. Poszedłem do niego na dół, otulony w płaszcz szeroki; bo ramiona tak miałem spuchłe, że nie było mi podobna włożyć zwyczajnej odzieży. Skorom przybył do mieszkania gubernatora i stawił się przed panem Wade, tenże taką do mnie wszczął mowę: "Jestem tu, rzekł, z polecenia królowej i lorda Cecil. Oboje dają panu, pierwsza królewskie, drugi szlacheckie słowo honoru, że tak jest rzeczywiście jak panu zawsze mówiliśmy, to jest, że Garnett miesza się w sprawy polityczne, i otwartym jest nieprzyjacielem rządu. A przeto, jeśli nie chcesz zadać kłamstwa dwu osobom tak wysoko dostojnym, co byłoby, jak sam przyznasz, szaloną zarozumiałością, nic panu nie pozostaje innego, jak zdać się na sąd ich, i wydać Garnetta w ręce sprawiedliwości". – "Królowa i lord Cecil, odpowiedziałem na to, zapewniają mię przez pana o rzeczach, które znają tylko z doniesień cudzych. Ja zaś z ojcem Garnett żyłem w ścisłej przyjaźni, i wiem na pewno, że tak nie jest jak pan utrzymujesz". – "A więc nie chcesz pan ustąpić, i dać odpowiedź na zadane panu pytania?". – "Bez wątpienia że nie; nie mogę, i nie chcę". – "Byłoby jednak lepiej dla pana, gdybyś po prostu chciał usłuchać", odparł tamten. W tejże chwili, na znak dany przez niego, otworzyły się drzwi od przyległego pokoju, i wszedł człowiek wysokiej imponującej postawy i surowego wejrzenia, którego mi Wade przedstawił jako *naczelnego dozorcę tortur*. Wiedziałem o tym, że jest urzędnik noszący takowy tytuł, ale ten którego dopiero co opisałem, był nie kto inny, jedno komendant załogi w Towerze, o czym dopiero później się dowiedziałem. Więc tylko dla większego postrachu, Wade go przede mną tym fałszywym tytułem mianował. "Oddaję ci, rzekł, tego człowieka; bierz go dwa razy na dzień na

tortury, dopóki się nie upamięta i nie zechce uczynić żądanych wyznań". Oficer się skłonił, i Wade zostawił nas samych.

Znowu więc, z takąż samą jak poprzedniego dnia ponurą uroczystością, zeszliśmy do sali torturowej, i znowu mi włożono kajdanki, akurat na to samo miejsce, jak pierwszy raz. Istotnie też, żadną miarą nie zmieściłyby się inaczej, z powodu zbytniego nabrzmienia ciała na ramionach i rękach. Sam już ten wstęp sprawił mi najokropniejsze boleści; ale Pan przyszedł mi w pomoc, i z weselem oddałem Mu na ofiarę i ręce moje i serce. Nastąpiło potem, jak pierwszego dnia, zawieszanie za stawy rąk. Cierpiałem w rękach jeszcze straszliwiej niż za pierwszym zawieszeniem; za to ból w piersiach i w żołądku, nie w tak wysokim stopniu mi dolegał, zapewne dlatego, że byłem na czczo. Modliłem się na przemiany, to cichym, to donośnym głosem, i polecałem siebie Panu i Mistrzowi naszemu, i Niepokalanej Matce Jego. Tym razem o wiele dłużej wytrzymałem tortury; lecz w końcu opuściły mię siły, i tak zupełnie odszedłem od zmysłów, że niemało potrzeba było zachodu aby mię przywołać do życia. Mniemano żem już umarł, albo przynajmniej że konam, i za chwilę ducha oddam, i przeto przywołano co tchu gubernatora. Nie wiem jak długo trwało to omdlenie. Gdym znowu przyszedł do siebie, znalazłem się leżący na ławie i wkoło mnie cisnęło się mnóstwo ludzi. Jedni trzymali mię, inni usiłowali otworzyć mi usta, i dać mi przełknąć kilka kropel ciepłej wody.

Gdym odzyskał mowę, gubernator rzekł do mnie: "Czy jeszcze pan tego nie widzisz, że daleko lepiej byłoby dla ciebie po prostu usłuchać królowej, niż tak nędznie siebie życia pozbawiać?". Od Pana Boga wzmocniony, z męstwem jakiego nigdy przedtem w sobie nie uczułem, odpowiedziałem mu: "Nie, tego zgoła nie widzę; lepiej tysiąc razy umrzeć, niż zgodzić się na to, czego ode mnie żądacie!". – "Więc i teraz jeszcze trwasz pan w swoim postanowieniu?". – "Niezawodnie że trwam, i trwać będę póki jest we mnie dech żywota". – "A więc kiedy tak", odparł tamten, – ale zdawało się, gdy wymawiał te słowa, że własne serce jego wzdraga się przed okrucieństwem, którego miał się dopuścić z wyższego rozkazu, – "kiedy tak, więc po południu będę musiał powtórnie oddać pana na tortury". – "W imię Boże! odrzekłem; mam tylko jedno życie, ale choćbym ich miał sto, sto razy oddałbym je ochotnie na ofiarę za tak świętą sprawę". – To mówiąc, próbowałem się podnieść i sam dobrowolnie zawlec się pod słup; ale obecni zmuszeni byli przyjść mi w pomoc, tak wielkie było zniemożenie ciała mego; a że w duszy jeszcze niejaką siłę zachowałem, była to łaska której mi Pan użyczył bez wątpienia jako członkowi Towarzystwa Jezusowego, jakkolwiek zaszczytu tego niegodnemu.

Rzeczywiście więc po raz trzeci zostałem zawieszony między niebem a ziemią, i wycierpiałem katusze, które się w żaden sposób opisać nie dadzą; ale czułem też zarazem radość niewypowiedzianą, na myśl o rychłym rozwiązaniu moim. Skąd pochodziła ta radość czy z pociechy onej, jakiej doznaje człowiek gdy cierpi dla Chrystusa, czy z samolubnej żądzy połączenia się z Nim, tego nie wiem; ale mocno w onej chwili wierzyłem, że przyszła ostatnia moja godzina, i radośnie się oddawałem na wolę Najwyższego. Oby mi Bóg użyczył łaski, bym zawsze i na zawsze zachował te uczucia, których naonczas pełne miałem serce, jakkolwiek nie całkiem wolne od zmazy ukazały się przed najczystszym Jego obliczem! – W rzeczywistości jednak daleko późniejszy kres naznaczony był ziemskiej pielgrzymce mojej, niż się onego dnia spodziewałem; nie uznał mię Pan Bóg godnym tego, bym się już ukazał przed obliczem Jego przenajświętszym!

Godzinę już trwały te trzecie tortury moje, gdy gubernator wydał rozkaz zdjęcia mię, czy to, że przecie stracił nadzieję w skuteczność swych morderczych narzędzi, czy dlatego, że przyszła pora obiadu, czy wreszcie, – co jeszcze prawdopodobniejsze, – że przemogło w nim uczucie litości. Później przynajmniej słuszny znalazłem powód do tego ostatniego przypuszczenia; dowiedziałem się bowiem od osoby wysokie zajmującej stanowisko, z którą sir Ryszard Barkley (2) bardzo bliskie miał stosunki, jako tenże, nie mogąc tego przenieść na sobie, by dłużej służył za narzędzie do tak niesłychanych okrucieństw, jakich się w Towerze nad niewinnymi dopuszczano, prosił o dymisję; i w rzeczy samej, trzy czy cztery miesiące później inny urzędnik na miejsce jego nastąpił.

Dozorca odprowadził mię do izby mej więziennej (3). Biedny człowiek miał oczy pełne łez, i zapewniał mię, ze żona jego przez cały czas męczarni mojej wciąż płakała i za mną się modliła, chociaż ja zupełnie, ani nawet z widzenia jej nie znałem. Zaraz potem przyniesiono mi obiad; ale mało co mogłem przyjąć do siebie, a i to mało jeszcze musiał dozorca krajać mi i do ust podawać. Długi czas upłynął nim zdołałem znowu nóż w ręku utrzymać, a w pierwszych dniach po torturze, żadnej zgoła w rękach władzy nie miałem, tak, iż dozorca musiał mię doglądać i piastować jak niemowlę. Jednakże, pomimo tę zupełną bezwładność moją, zabrano mi przez ostrożność co jedno było w mej celi narzędzi ostrych, jako to: noże, nożyczki, brzytwy itd., zapewne z obawy, choć niedorzecznej, bym nie zechciał odebrać sobie życia. Zresztą zawsze używano tej ostrożności, ile razy więzień który skazany był na tortury.

Spodziewałem się z dnia na dzień, użycia ze mną nowych sposobów przymusowych dla skłonienia mię do ustępstwa. Ale inaczej Pan Bóg o mnie postanowił. Wielkim bohaterom wiary, jak ojcu Walpole i ojcu Southwell, wielkie też boje przeznaczył, aby zwycięsko i z chwałą z nich wyszli; złemu żołnierzowi, jakim mię być znał, krótkie tylko próby zgotował, aby mię uchronił od sromotnej porażki. Tamci w krótkim czasie daleką metę przebiegli; mnie, iżem takiej łaski uznany został niegodnym, wypadło długo jeszcze żyć, i długo jeszcze łzami zmywać mą winę grzechową, kiedym nie był wart zgładzić ją we krwi mojej. Jako podobało się Bogu, tak niech się stanie!

Przypisy:

(1) Ojciec Gerard był postawy bardzo wysokiej i mężnej: *Erat enim*, mówi ojciec More, *pleno et procero corpore*.

(2) Tak się nazywał gubernator. Tak i "Historia Toweru", przez Bayley, powiada, że w tym czasie sir Ryszard Barkley piastował urząd gubernatora Toweru.

(3) Między manuskryptami biblioteki w Stonyhurst znajduje się list ojca Garnett, do ojca Generała, datowany 10 czerwca 1597, w którym czytamy co następuje: "Już poprzednio donosiłem o przeniesieniu ojca Gerarda do Toweru. Po trzykroć go tam trzymano zawieszonego za stawy ręczne, aż ledwo nie umarł. Jednego dnia aż dwa razy z nim ten eksperyment powtórzono. Wiem teraz na pewno, że na to tak go męczono, aby wydał miejsce pobytu swych przełożonych, i kto mu doręczył ode mnie listy ojca Persons, bo że takowe odebrał, dowiedziano się o tym przez zdradę jednego z jego współwięźniów. Sam hrabia Essex oświadczył, iż nie może nie podziwiać bohaterskiej stałości tego jezuity".

W drugim liście ojca Garnett z 11 czerwca 1597 podobnąż znajdujemy relację. "De Domino Joanne nostro, pisze, non semel scripsi, tertio eum tormentis subditum, omnia tamen invicto animi robore pertulisse. Nuper etiam pro certo audivimus Comitem Essexiae adeo ejus constantiam laudasse, ut se hominem non colere atque admirari non posse plane affirmaret. Regii senatus amanuensis quidam negat velle reginam ut capite plectatur: id videlicet Joannes moleste feret".

XII.

Msza święta w Towerze

Przetrwawszy straszne one tortury, znowu byłem jak przedtem trzymany w ciasnym zamknięciu. Spędzałem prawie cały dzień na modlitwie i na nowo odprawieniem ćwiczeń świętego Ignacem starałem się uczynić gotowym do dalszych bojów jakie by mię jeszcze czekać mogły. Szczęściem miałem sobie zostawiony mój brewiarz, i tak co rano mogłem odmawiać także modlitwy do Mszy i duchowną odprawić Komunię, co wielką było dla mnie pociechą.

Po upływie trzech tygodni zacząłem czuć po trochu życie w odrętwiałych palcach moich, tak, iż przynajmniej nóż utrzymać mogłem. Skończywszy ćwiczenia duchowne, prosiłem o niektóre książki, ale pozwolono mi tylko mieć Biblię. Posłałem przeto dozorcę do starych przyjaciół moich w drugim więzieniu, prosząc o przysłanie mi trochę pieniędzy; bo rychło zrozumiałem, że i tu, jak wszędzie, argumenty brzęczące nie chybią swego celu.

Kazałem mu potem kupić kilka pomarańcz; z łupin powycinałem krzyżyki, dla przesłania ich dawnym moim towarzyszom więziennym, sok zaś wyciśnięty troskliwie chowałem, chcąc go użyć do wykonania planów jakie sobie układałem. Nie prędzej jak po pięciu miesiącach odzyskałem do pewnego stopnia czucie i władzę w rękach, i wtedy zażądałem piórka do zębów. Przyrządziłem sobie z niego pióro do pisania, i poprosiłem jeszcze o kawałek papieru do zawinięcia wspomnianych wyżej krzyżyków. Dozorca przyniósł mi czego żądałem, a nawet pozwolił mi napisać kilka słów ołówkiem, które rozumie się tak ułożyłem, aby je mógł sobie spokojnie przeczytać; ale za to na stronie odwrotnej napisałem sokiem pomarańczowym cały list, na który mi przyjaciele takimże sposobem odpowiedzieli, zawijając tę lub ową drobnostkę w papier niewidomym charakterem zapisany.

Poczciwcowi ani się śniło o tym, że odgrywa rolę roznosiciela listów. Niepotrzebnie zresztą tak wielkich używaliśmy ostrożności, bo biedak zupełnie nie umiał czytać. Lecz tego później dopiero doszedłem; z początku zawsze udawał, że rozumie co napisano, i zawsze mi kiedym pisał stał nad głową, z poważną miną śledząc za każdym wyrazem. W końcu jednak przyszła mi myśl wypróbować go, czy też rzeczywiście czytać umie, i w tym celu, gdy trzymał oczy w papier mój wlepione, odczytałem mu w głos zupełnie co innego, niż to, co w istocie byłem napisał. Dwa czy trzy razy powtórzyłem tę próbę, i nigdy mi najmniejszej nie zrobił uwagi; a więc za czwartym razem, gdy znowu tak stał

nade mną, nagle się do niego zwróciłem, i powiedziałem mu, że daremną zgoła zadaje sobie fatygę tak mię podpatrując, na co on mi się przyznał prostodusznie, że wcale nie umie czytać. Po tej maleńkiej porażce stał się rzec można jeszcze usłużniejszym niż przedtem, przyniósł mi atramentu, i podjął się regularnego już odnoszenia mej korespondencji, i mógł to uczynić bez obawy, bo stosunki moje ograniczyły się tylko na kilku osobach, i to bardzo ostrożnych. Nie było więc żadnego niebezpieczeństwa w tej sprawie, a w dodatku spływały za to do jego kieszeni znaczne podarunki. O jedno tylko mię prosił, bym go nie tak często posyłał do dawnego mego więzienia, co by w końcu mogło wzbudzić podejrzenia, i ofiarował mi, że będzie listy moje poruczał po drodze bezpiecznemu posłowi. Na to jednak się nie zgodziłem, bo mogłoby tym sposobem się zdarzyć, że życie którego z przyjaciół moich zostałoby na szwank wystawione.

Dawnym współwięźniom moim nie groziły wprawdzie z tej strony wielkie nieprzyjemności; bo naprzód sam już poseł miał własny swój interes w zachowaniu jak najgłębszej tajemnicy, a po wtóre zawsze używałem tej ostrożności, żem w listach moich żadnych osób nie wymieniał, i na ogólnych tylko poprzestawał wyrażeniach. Ale obawiałem się ściągnąć nieszczęścia na osoby do czasu jeszcze zostające na wolności; z tego też powodu nastawałem na to, by Jan Lilly został wykupiony z więzienia, co gdy się stało, on odtąd był pośrednikiem listownej między dwoma więzieniami korespondencji. Nie przeczuwałem jeszcze w tym czasie, że tenże Jan niezadługo z samego nawet Toweru mię wyzwoli, i w wykupieniu jego nic innego nie miałem na celu, prócz zabezpieczenia listownych naszych stosunków, i dostania dla siebie książek odpowiednich.

Przez cały czas pobytu mego w Towerze trzymany byłem w ścisłym zamknięciu. Nie miałem zatem możności pełnienia obowiązków świętego powołania mego, i na piśmie też takim tylko osobom mogłem dawać radę i pociechę, na których z zupełną ufnością polegałem. Pewnego dnia dwie panie, matka z córką, zatrzymały na jednej z ulic Londynu Jana Lilly, posłańca mego, prosząc go usilnie, by im dopomógł do widzenia się ze mną.

Lilly, wiedząc dobrze jak wielkie mogły grozić onym paniom niebezpieczeństwa w wykonaniu ich zamiaru, starał się od niego je odwieść. W końcu jednak, gdy coraz usilniej nalegały, obiecał im, że pomówi o tym z dozorcą, i jeśli będzie można, wprowadzi je do mnie, jako krewne swoje. W rzeczy samej dozorca, za znaczną sumę pieniędzy dał się namówić i przystał na ich żądanie. Obie więc panie, przebrane za mieszczanki, wprowadzone przez

Jana Lilly, przybyły do mieszkania dozorcy, jakoby dla odwiedzania żony jego, i obejrzenia lwów i innych ciekawości, jakie są do widzenia w Towerze. Następnie dozorca przeprowadził je przez wały forteczne, i na koniec, upatrzywszy chwilę sposobną, wpuścił je niepostrzeżenie do celi mojej. Mógł za to dostać się na szubienicę. Pobożne panie, skoro mię ujrzały, przybiegły do mnie, i padłszy na kolana, nogi mi ucałowały. Nie mogłem im odmówić tego, za co tak drogo zapłaciły; oświadczyłem im jednak, że w tym jedynie przekonaniu pozwalam na takie uczczenie, że ta cześć ma na celu więźnia dla miłości Chrystusa, a nie osobę nędznego jakim ja jestem grzesznika. Spędziliśmy sporą chwilę czasu na rozmowie, po czym odeszły uradowane, że raz jeszcze mogły mię oglądać nim umrę, bo chodziły wieści o bliskim na mnie wyroku i straceniu moim.

Pewnego dnia otrzymałem nawet list od ojca Garnett, pocieszający mię i dający mi do zrozumienia, że czas abym się gotował na śmierć. List ten, wyznać muszę, sprawił mi radość niewypowiedzianą; lecz niestety! nie byłem godzien tego wysokiego zaszczytu, bym osiągnął palmę męczeństwa. Zgotowana była za to onemu, który mnie ją obiecywał. Oby Bóg mnie niegodnemu tej przynajmniej łaski użyczył, bym choć z daleka umiał naśladować tego zwycięskiego bojownika na drodze krzyża, którą póki żył, z taką miłością postępował! Bo prawdziwie ojciec Garnett był nadzwyczajnie żarliwym czcicielem Krzyża świętego, i pewno nie trafem to się stało, że właśnie w sam dzień Znalezienia Krzyża koroną męczeństwa skronie swoje uwieńczył.

Postępowanie nieprzyjaciół moich rzeczywiście zdawało się stwierdzać obawy ojca Garnett. Ci sami panowie, którzy mię przedtem byli skazali na tortury, bardzo często teraz zjawiali się u mnie w więzieniu, i do nowych mię pociągali indagacji. Przewodniczył badaniom generalny prokurator królewski, który też spisywał wszystkie moje odpowiedzi. Pytania obracały się głównie około następujących punktów: Czy jestem kapłanem i członkiem Towarzystwa Jezusowego; jakim sposobem dostałem się do Anglii; czy pogodziłem, i wielu poddanych królowej z Papieżem; czy może nawet skłoniłem ich do odstępstwa od kościoła krajowego. Na wszystkie te pytania odpowiedziałem bez ogródki, a tym samym więcej dałem powodów niż potrzeba było na to, abym według praw krajowych skazany został na śmierć. W końcu zapytano mię jeszcze z kim się znosiłem w zamiarach politycznych. W odpowiedzi na to ponowiłem me zapewnienie, że tego rodzaju sprawy mię nie obchodzą, a gdy mimo to dalej jeszcze na mnie nalegano, oświadczyłem uroczyście, Boga i świętych aniołów Jego wzywając na świadków: "Com powiedział jest prawdą! Bez wątpienia, że

życzę tego z całego serca abyście wszyscy, i królowa, i ministrowie jej, i wy panowie, i wszystek naród angielski, wrócili do prawdziwej wiary, którąście opuścili, ale życzę, aby to w taki sposób się stało, iżby ani Jej Królewska Mość, ani ktokolwiek bądź inny nie postradali przez to władzy swej i dostojeństwa, owszem, iżby wam za to ani włos z głowy nie spadł, ale byście wszyscy byli szczęśliwi i w tym życiu i w przyszłym. I nie sądźcie panowie, jakobym dlatego takie miał życzenia, abym sam przez to mógł się dostać na wolność, i swobodnie sprawować kapłańskie me powołanie: przeciwnie, radbym oddał na ofiarę życie moje, gdybym przez to zdołał on piękny cel osiągnąć".

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zamierzano wytoczyć mój proces przed sąd przysięgłych, jeszcze przed ukończeniem Świętotrójcowych tegoż sądu rokowań (1), które się już były rozpoczęły. Lecz inaczej było postanowiono w wyrokach Boskich, i po upłynieniu onego terminu ja sam już nie sądziłem, by miano zgoła jeszcze na myśli publiczne w sprawie mojej postępowanie; zdawało mi się, że raczej na to tylko przeniesiono mię do Toweru, aby mię odłączyć zupełnie od wszelkiej styczności ze światem, i z tego powodu ułożyłem sobie poniewolny jaki mię jeszcze mógł czekać czas bezczynności, na pożyteczne prace obrócić.

31 lipca, w dzień poświęcony pamięci świętego Ignacego, założyciela naszego zakonu, uczułem nagle w czasie modlitwy żądzę prawdziwie nadzwyczajną odprawienia Mszy świętej, i rzeczywiście, gdym zaczął nad tym się zastanawiać, spełnienie takowej żądzy nie zdało mi się rzeczą niemożebną. Tuż naprzeciwko okna mego, małym tylko ogródkiem od wieży, w której mieszkałem oddzielona, stała druga wieża, i w jednej z celek tej wieży siedział uwięziony katolik stanu szlacheckiego, o którego gotowości do oddania mi wszelkiej usługi byłem przekonany. Rzeczony pan już od sześciu lat jęczał w więzieniu; skazany był na śmierć, ale wykonanie wyroku do coraz dalszego terminu odkładano (2). Co dzień widywałem tego sąsiada mego, kiedy wedle zwyczaju swego przechadzał się po tarasie wieżowym dla odetchnienia świeżym powietrzem; on zaś ile razy mię ujrzał, kłaniał mi się uprzejmie, i przyklękał, jakby prosząc o błogosławieństwo.

Im więcej rozmyślałem nad planem moim, tym ponętniejszym mi się przedstawiał i możliwym do wykonania, przypuściwszy że mój dozorca pozwoli mi widzenia się z sąsiadem moim. Miał żonę, która go też często odwiedzała, i zwykle przynosiła z sobą w koszyku jedzenie dla męża. Pani ta, wskutek częstego przybywania do Toweru, powoli się poznajomiła z wszystkimi urzędnikami, tak, iż w końcu nikomu już i na myśl nie przychodziło mieć ją w

podejrzeniu, i mogła sobie swobodnie wchodzić i wychodzić; to właśnie dawało mi nadzieję, że przez nią także uda nam się sprowadzić rzeczy do odprawienia Mszy świętej potrzebne.

Postanowiłem więc spróbować szczęścia, i w tym celu dałem do zrozumienia sąsiadowi memu, by pilną zwrócił uwagę na wszystko, co będę robił. Potem starałem się wytłumaczyć mu na migi, że napiszę do niego: wziąłem kartkę papieru, pociągnąłem po niej piórem, potem ją potrzymałem nad ogniem, i ręką powiodłem ku niemu, na znak że mu pisanie to prześlę (3). Zapytałem zatem mego dozorcy, czy podejmie się zanieść ode mnie temu panu co tam naprzeciwko w wieży, koronkę i krzyżyk ze skórek pomarańczowych, które już miałem zawinięte w list poprzednio napisany. Zrazu dozorca stanowczo odmówił, tłumacząc się tym, że nie może polegać na dyskretności tamtego więźnia. "Bo widzisz pan, mówił, mogłaby żona jego o tym komu powiedzieć, a tym samym rzecz stałaby się głośną, i ja byłbym zgubiony". Lecz ja na to zapewniałem go, a w końcu i wyperswadowałem mu, że nieszczęście którego się obawia, jest rzeczą zgoła nieprawdopodobną, a wreszcie dobry kawałek pieniędzy zwyciężył jak zwykle co mu jeszcze zostawało wątpliwości. Wziął tedy paczkę moją i wiernie oddał według adresu. Ale ku wielkiemu zdziwieniu memu, nie otrzymałem odpowiedzi. Nazajutrz tylko sąsiad mój, gdy z rana wyszedł na taras, usiłował wyrazić mi na migi wdzięczność swoją, i pokazywał mi krzyżyk ode mnie otrzymany. Po kilku dniach dopiero domyśliłem się prawdziwej przyczyny milczenia jego: niezawodnie listu mego nie czytał. Musiałem przeto powtórzyć z nim lekcję. Wziąłem w oczach jego rozciętą pomarańczę, wycisnąłem z niej sok do filiżanki, i umaczawszy w nim pióro napisałem parę wierszy, potem papier zapisany potrzymałem nad ogniem, i odczytałem, dając mu przez to wszystko do zrozumienia, że ma uczynić podobnież.

Tym razem mię zrozumiał. Wyczytał drugi list mój, i w odpowiedzi objaśnił mi, jako za odebraniem pierwszego listu, przeczytawszy kilka słów, które byłem dopisał ołówkiem, sądził, że powinien go spalić. Co do zamiaru mego, ten nie zdawał mu się niemożliwym, jeśli jedno dozorca zgodzi się na to, bym u niego przenocował. Żona, tak obiecywał, w każdym razie dostawi co potrzeba.

Już więc tylko pozostawało wybadać usposobienie dozorcy, co do zamierzonych odwiedzin. Wystąpiłem z prośbą, aby mi pozwolił pójść do mego sąsiada na obiad, obiecując mu, że nie zostanie za to z próżnymi rękoma, ale on o tym ani słyszeć nie chciał. "Pomyśl pan tylko, mówił, co by to było, gdyby cię

kto obaczył w ogrodzie, albo co gorsza, gdyby gubernatorowi przyszło na myśl zajrzeć tu właśnie, kiedy pana nie będzie". Zrobiłem mu na to uwagę, że gubernator nigdy tu nie przychodzi, i że trudno przypuścić, by właśnie na ten raz nagle odstąpił od zwyczajów swoich. Brzęczące argumenty dobiły targu, i rozproszyły do reszty obawy jego. Stanęło więc na tym, że w nadchodzącą uroczystość Narodzenia Matki Boskiej odbędą się moje u sąsiada odwiedziny. Tymczasem zawiadomiłem towarzysza mej niedoli, aby posłał żonę na umówione miejsce, gdzie Jan Lilly trzymał dla nas w pogotowiu wszystkie rzeczy potrzebne. Janowi szczególnie poleciłem, aby mi dostał puszkę z dostatecznym zapasem hostii, zaczem byśmy mogli chować u siebie Najświętszy Sakrament.

Rozporządzenia moje zostały spełnione jak najdokładniej, i żona mego współwięźnia szczęśliwie wszystko dostawiła. W dniu umówionym dozorca zaprowadził mię do sąsiedniej wieży, i tam całą noc i dzień następny spędziłem z nowym przyjacielem moim. Żona jednak, przez wzgląd na dozorcę, który to sobie był zastrzegł, nic nie wiedziała o naszej tajemnicy. Tak więc nazajutrz rano istotnie dostąpiłem tej niewypowiedzianej pociechy, żem mógł zanieść Ofiarę Mszy świętej, i po raz pierwszy znowu wyznawca Chrystusów otrzymał z ręki mojej chleb żywota, którego od tylu lat dusza jego była pozbawiona. Poświęciłem na tej Mszy świętej dwadzieścia i jedną hostię, które w puszce zabrałem z sobą, i u siebie chowałem, a tak i później jeszcze co dzień mogłem się pożywaniem chleba anielskiego pokrzepiać.

Przypisy:

(1) Przysięgli w Anglii zasiadają cztery razy do roku; trzeci z kolei termin posiedzeń wypada około Świętej Trójcy.

(2) Z listu ojca Garnett (*Stonyhurst mser*) dowiadujemy się, że ten pan nazywał się Ardey.

(3) List ten był pisany sokiem pomarańczowym, który jak wiadomo, występuje na papierze, gdy go potrzymać nad ogniem.

XIII.

Ucieczka z Toweru

W czasie onej małej wycieczki mojej, niespodzianie nowa myśl mi zajaśniała. U stóp naszych ciągnęła się fosa forteczna Toweru. Czyby nie było sposobu z tarasu wieżowego zarzucić powróz przez fosę, i po nim dostać się na drugą stronę? Zakomunikowałem tę myśl towarzyszowi memu, i zapytałem jakie jego zdanie. "Bezwątpienia, odrzekł, nie byłaby to rzecz niepodobna, byleby się znaleźli przyjaciele oddani a pewni, którzy by nam chcieli przyjść w pomoc". – "O, co do przyjaciół, rzekłem, tych się znajdzie więcej niźli nam potrzeba, jeśli jedno rzecz sama da się uskutecznić, i jeśli warto dla niej wystawiać się na niebezpieczeństwa z jakimi jest połączona". – "Co mnie się tyczy, odparł mój przyjaciel, mieniłbym się szczęśliwym, gdyby mi się udało choć spróbować; prawda, że dostawszy się na wolność, musiałbym wieść życie wygnańcze, ale tę przynajmniej miałbym za to pociechę, że mógłbym przyjmować Sakramenty święte, i z ludźmi cnotliwymi przestawać, i nie byłbym skazany na marne strawienie życia mego w tych posępnych murach więziennych". – "A więc, zawołałem, polećmy Panu Bogu tę sprawę; a ja natychmiast napiszę o tym do o. Garnett, i rady jego zasięgnę".

Tegoż samego wieczora jeszcze odszedł list do o. Garnett. Odpowiedź była taka, że jeśli spuszczenie się z wieży nie grozi zbyt widocznym niebezpieczeństwem życia, mamy bądź co bądź spróbować ucieczki.

Należało mi nasamprzód zawiadomić przyjaciela mego Wisemana o zamiarze naszym; usilnie jednak mu zaleciłem, aby tę sprawę ile możności trzymał w sekrecie. Jeśli, dodałem, Jan i Ryszard Fulwood, którzy obaj wtedy służyli u o. Garnett, mają odwagę ku temu, to niechaj tylko w nocy, którą później oznaczę, stawią się u brzegu fosy fortecznej, naprzeciwko wieży, zamieszkałej przez towarzysza mego. Niech wezmą z sobą tęgą linę i takowej jeden koniec przytwierdzą do pala, my zaś drugi koniec do siebie wciągniemy na sznurze, który pierwej za pomocą uwiązanej doń kuli do nich zarzucimy.

Już był postanowiony dzień do wykonania, i wszelkie ku temu przygotowania uczynione. Kochany jednak mój Wiseman nie tracił jeszcze nadziei, że może inszą, mniej niebezpieczną drogą da się cel zamierzony osiągnąć. Próbował przekupić dozorcę, ofiarując mu przez Jana Lilly tysiąc złotych gotówką, i sto złotych pensji dożywotniej, jeśli mi ucieczkę ułatwi. Lecz

on ani mówić sobie o tym nie pozwolił. "Gdybym, prawił, na taką rzecz się zgodził, toć bym już i ludziom na oczy pokazać się nie śmiał, i musiałbym żyć jak banita, którego czeka szubienica skoro go schwytają". Z tej strony więc omyleni w naszej nadziei, do pierwszego planu wróciliśmy i wszyscy, którzy byli przypuszczeni do tajemnicy, nieustanną a gorącą modlitwą błagali niebios o szczęśliwy koniec tej sprawy.

Gdy przyszedł wieczór oznaczony, znowu prośbą i podarunkiem wymogłem na dozorcy pozwolenie przepędzenia nocy z przyjacielem moim. Przeprowadziwszy mię do niego, troskliwie wszystkie rygle za sobą zasunął, założył nadto, jak zwykle i żelazne bale poprzeczne, i odszedł. Na nieszczęście zamknął za sobą i wyjście prowadzące na taras, tak, iż byliśmy zmuszeni nożami naszymi obluzować kamień, w który był wpuszczony zamek. Była to nie lada robota; w końcu jednak szczęśliwie jej podołaliśmy. Potem bez światła i jak najciszej staraliśmy się wydostać na taras; bo na dole w ogrodzie zawsze na noc wartę stawiano. Ledwośmy śmieli szepcząc mówić do siebie, i to tylko kiedy była konieczność coś przemówić.

O północy ujrzeliśmy zamówioną łódkę, w której płynęli ku nam Jan Lilly, Ryszard Fulwood, i trzeci jeszcze mężczyzna. Ten ostatni był to jeden z dozorców z pierwszego mego więzienia; on też był się wystarał o łódkę, i sam się podjął kierowania nią. Już wybawiciele nasi dopływali do brzegu, już mieli wylądować, kiedy z jednej z chat przy brzegu stojących, wyszedł jakiś człowiek, i biorąc ich za rybaków, szczęśliwej nocy im życzył. Zaraz potem, bez najmniejszego podejrzenia wrócił do mieszkania. Mimo to jednak przyjaciele nasi nie śmieli już wysiąść z łódki, aż się przekonali, że nieznajomy udał się na spoczynek. Lecz na tym czekaniu przeszła pora właściwa, i nie było już sposobu tej nocy przystąpić do wykonania umówionego planu. Musieli więc niczego nie dokazawszy zawrócić, i płynąć na powrót do London-bridge (most Londyński). Ale zbyt silny w tej chwili był przypływ; po daremnej walce z żywiołem łódka uderzyła o izbice, i tak między palami uwięzła, że nie było możności ani cofnąć się, ani naprzód się popchnąć. Przy tym woda wciąż jeszcze wzbierała, i niebawem fala z taką siłą poczęła bić o wątle czółenko, że lada chwila groziło zatonięciem. Nic już przyjaciołom naszym w tej ostatecznej potrzebie nie pozostawało innego, jak poruczyć się opiece Wszechmogącego i co gardła wołać o pomoc. Słyszeliśmy z wysokości wieży naszej krzyk ich rozpaczliwy, i w chwilę potem ujrzeliśmy w oddaleniu kilkunastu ludzi ze światłem w ręku bieżących do brzegu i spiesznie na czółna swoje wsiadających. Wkrótce wielkie

mnóstwo czółen było w ruchu; ponieważ jednak żaden nie śmiał wystawić się na impet prądu, przeto utworzyło się tylko koło widzów bezczynnych naokoło zagrożonych nagłą śmiercią przyjaciół naszych. Poznałem głos Ryszarda Fulwood, i wskazałem towarzyszowi memu na niebezpieczeństwo walecznym onym ludziom grożące. Towarzysz mój przeczył, utrzymując, że niepodobna bym w takim oddaleniu mógł poznać głos człowieka; ale ja wiedziałem aż nadto, że się nie mylę, i na myśl o tym, że wspaniałomyślni oni przyjaciele nasi mają życiem przypłacić za swoje dla nas poświęcenie, dusza moja głęboką przenikniona była żałością. Jęliśmy żarliwie błagać niebios o zlitowanie, a tymczasem z mostu spuszczano światło, i z nim rodzaj kosza, w którym bezwątpienia zamierzano wyciągnąć ginących. Lecz niestety! dostać się do niego nie mogli! Pan Bóg jednak nie opuścił sług swoich w potrzebie. Znalazła się wreszcie mocna łódź morska, z sześcioma majtkami przy wiosłach, którzy śmiało rzucili się na wirującą falę, i szczęśliwie Jana z Ryszardem na pokład wciągnęli. W tejże samej chwili kiedy oni dwaj wysiadali, czółno rzeczywiście się wywróciło, i trzeciego ich towarzysza fala pochłonęła. Lecz nie dał mu Pan Bóg marnie zginąć. Pływając zdołał uchwycić linę, którą mu z mostu rzucono, a tak w końcu i jego, choć z wielką trudnością szczęśliwie wyratowano z tej toni.

Nazajutrz rano, jak zwykle, odebrałem list od Jana Lilly. Cóż mi po tym co zaszło mógł zwiastować, jedno to, że zwątpił i odwagę stracił? – Tak myślałem, ale źle myślałem; inaczej zupełnie brzmiał list mego Jana: "Nie dał Pan Bóg tej nocy, tak pisał, pomyślnego skutku staraniom naszym, ale za to wybawił nas z wielkiego niebezpieczeństwa, a tym samym niejako wskazał nam, byśmy drugi raz szczęścia próbowali. Co się odwlecze to nie uciecze! A więc, da Pan Bóg, dziś wieczór!".

Towarzysz mój zachwycony był tym męstwem nieustraszonym i tak wspaniały wielkością duszy. Owszem nawet widział w tym wróżbę pomyślną, i z góry się w tym upewniał, że się sprawa powiedzie szczęśliwie. Niemało jednak kosztowało mię pracy skłonić dozorcę, by i następną noc pozwolił nam zostać razem, a potem jeszcze wielką miałem obawę, by zamykając drzwi nie dostrzegł wyjętego przeszłej nocy kamienia. Ale na szczęście nasze nic nie obaczył.

Miałem przygotowane trzy listy i takowe w celi mojej zostawiłem. Pierwszy był do dozorcy: przepraszałem go, że go opuszczam bez zapytania ni pożegnania. Lecz to czyniąc, dodałem, używam tylko prawa mego, zostawszy wtrącony do więzienia bez żadnej sprawiedliwej przyczyny. Zapewniałem go że

zawsze będę o nim pamiętał w modlitwach moich, i że spodziewam się znaleźć jeszcze sposobność okazania mu także w inny sposób mej wdzięczności. W ogóle tak cały ten list ułożyłem, iżby uwolnił poczciwca od wszelkiego podejrzenia, jakoby miał jaki udział w ucieczce mojej, co bezwątpienia bardzo skutecznie mogło mu posłużyć do obrony. Drugi mój list, adresowany do gubernatora, również miał na celu odwrócenie podejrzeń od dozorcy. Świadczyłem się Bogiem wszystko wiedzącym, jako tenże w niczym zgoła nie przyczynił się do mej ucieczki; jako owszem ukrywaliśmy przed nim najtroskliwiej nasz zamiar, wiedząc o tym, że mu się stanowczo sprzeciwi, czego to samo już przekonywającym jest dowodem, że i przedtem wszelkie czynione mu w tym względzie namowy i obietnice bez żadnego namysłu odrzucał. I to nawet, że mi z celi mojej wyjść pozwolił, było tylko skutkiem długich i usilnych z mojej strony próśb i nalegań. W trzecim na koniec liście do lordów tajnej rady wymieniałem powody, które mię skłoniły do ucieczki. "Nie tyle, pisałem w tym liście, przez chęć odzyskania wolności na ten krok się zdobyłem, ile raczej z miłości tylu dusz, które giną jako ofiary kacerstwa i grzechu. Co się tyczy polityki, dodałem, oświadczam na nowo i po raz ostatni, że się w sprawy rządowe nigdy nie wtrącałem, i nadal też wtrącać się nie myślę". Na koniec ponawiałem uroczyste zaręczenie, że wyłącznie tylko przyjaciołom moim zawdzięczam me wyzwolenie, i że ani gubernator ani dozorca na nie się nie zgadzali, ani tym bardziej jeszcze do niego mi nie dopomogli. Prócz powyższych trzech, czwarty jeszcze list miałem przy sobie, aby go nazajutrz przed świtem przesłać dozorcy.

O godzinie umówionej znowuśmy, przyjaciel mój i ja, stanęli na tarasie wieżowym, i prawie w tejże samej chwili ukazało się i czółno. Wysiedli z niego Jan Lilly i Ryszard Fulwood, ciągnąc za sobą linę; trzeci pozostał dla pilnowania łódki. Wedle umowy jeden koniec liny okręcili naokoło pala, drugi przymocowali do sznura, któryśmy do nich zarzucili. O. Garnett, obawiając się by lina nie pękła, kazał takową sporządzić nie tylko niesłychanie grubą, ale i tak długą, iżby się dała założyć we dwoje. Niemałej tedy kosztowało nas pracy wyciągnienie w górę takiego ciężaru, a gdyśmy w końcu roboty tej dokonali, nowe się przedstawiły trudności. Odległość bowiem między dwoma kresami, to jest między palem a wieżą, okazała się tak znaczną, a wskutek tego i pochyłość liny tak lekką, że nie było sposobu zsunąć się po niej własnym ciężarem, jakeśmy się tego spodziewali, i przekonaliśmy się, że trzeba będzie samym się popychać, pracując mozolnie rękoma i nogami. Stwierdziliśmy to i próbą, puszczając naprzód paczkę, która też, jak inaczej być nie mogło, zsunąwszy się

po linie na odległość ledwo kilku metrów, dalej nie poszła, i zatrzymała się nieruchoma w powietrzu. Szczęście nasze żeśmy jeszcze zdołali ściągnąć ją na powrót; inaczej od samego początku byłoby po naszej ucieczce.

Przyjacielowi memu cały nasz plan zdawał się przedtem istną igraszką; teraz jednak zmuszony był wyznać, że wykonanie nie tylko nie jest tak łatwe, ale nawet i z wielkim niebezpieczeństwem połączone. "Ale cóż stąd? dodał; jeślibym tu pozostał, także mię nic innego nie czeka jedno szubienica; a przy tym niepodobna już liny puścić na powrót, bo sam łoskot wpadnięcia jej w wodę zdradziłby i nas i przyjaciół naszych. A więc w imię Boże spróbuję szczęścia. Lepiej-ci z narażeniem życia może się wydobyć na wolność, niż z ręki kata pewnej śmierci czekać. Zmówił krótką modlitwę, i odważnie puścił się na linę. Jakoż i bez zbytniej trudności udała mu się przeprawa na drugi brzeg fosy; bo silny był i zręczny, i lina też dość mocno naciągnięta. Lecz od ciężaru ciała jego opuściła się i zwisła, co naturalnie znacznie musiało zwiększyć trudność przeprawy mojej.

Poleciłem siebie Panu Bogu, i Najświętszej Pannie, i Aniołowi Stróżowi memu, także i o. Southwell, przez pamięć na one trzy lata, które jako więzień w sąsiedniej wieży przemieszkał. Potem za przykładem poprzednika, ująłem prawą ręką za linę i na niej się usadowiłem.

Twarzą obrócony ku ziemi posuwałem się naprzód; ale ledwo w tej postawie byłem się oddalił od wieży na odległość trzech lub czterech metrów, kiedy nagle ciało moje własnym ciężarem z liny się zsunęło, wskutek czego od razu znalazłem się już nie na niej, ale pod nią zawieszony na rękach. Wstrząśnienie tak było gwałtowne, żem ledwo liny nie upuścił; bo byłem jeszcze bardzo osłabiony, i w ręku, zwłaszcza i w ramionach, jeszcze mi się dotkliwie czuć dawały skutki tortury. Usiłowałem tedy popchnąć się naprzód jak mogłem i w końcu z wielkim wytężeniem dostałem się na pół liny, gdzie znużony i zadyszany musiałem się zatrzymać. Lecz przyczyna patronów moich niebieskich i modlitwy przyjaciół dodały mi odwagi i siły do wytrwania. Spróbowałem znowu posunąć się dalej o kilka metrów, ale niebawem znowu musiałem się zatrzymać; zdawało mi się tym razem, że już nie jestem w stanie ani na cal dalej się poruszyć. Zaczynałem tracić nadzieję; mimo to jednak nie zachwiałem się w postanowieniu, że wytrwam aż do ostatniej chwili, i póki tchu stanie nie popuszczę liny, zaczem by nastąpić musiało utonienie w wodzie pode mną płynącej. Zebrałem więc co mi jedno zostawało jeszcze siły i odwagi, i rzeczywiście tak daleko postąpiłem, że już dotykałem nogami muru,

wznoszącego się nad przeciwległym brzegiem fosy. Lecz tu już naprawdę ostatki sił mię opuściły. Nie byłem już w stanie utrzymać się dłużej. Szczęściem, że w tej krytycznej chwili Jan Lilly przybył mi na ratunek. Jakim sposobem, tego nie wiem, – i on sam sprawy sobie zdać z tego nie umie, – dość, że wdrapał się na mur. Porwał mię za nogi, przyciągnął do siebie bezwładne i prawie martwe ciało moje, i szczęśliwie z drugiej strony muru na ziemię mię spuścił.

Tak wielkie było znużenie moje, że nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Lecz przyjaciele natychmiast mi podali przygotowany umyślnie napój rzeźwiący, którym pokrzepiony, choć z trudnością zawlokłem się do czółna.

Lina, na której odprawiliśmy naszą podróż powietrzną, z naszej strony, to jest od strony więzienia, nie była mocno przywiązana; okręciliśmy nią byli po prostu jedno z dział stojących na tarasie, sądząc, że tym sposobem, przeprawiwszy się przez fosę, potrafimy ją do siebie przyciągnąć. Pokazało się jednak że to sprawa nie tak łatwa, jakeśmy się spodziewali, i po daremnych usiłowaniach musieliśmy zamiaru naszego zaniechać, a linę wprost tylko przeciąć. Było nam wprawdzie przykro zostawiać za sobą takie wiszące na całą wysokość wieży świadectwo naszej ucieczki, które naturalnie od samego rana musiało zwrócić na siebie uwagę nieprzyjaciół naszych. Później jednak, gdyśmy się spokojnie nad tym zastanowili, nie mogliśmy i w tej okoliczności nie uznać ręki Opatrzności; bo gdybyśmy byli zdołali wykonać nasz zamiar, lina ze szczytu wieży byłaby spadła w wodę, i łoskot stąd powstały niechybnie byłby nas wszystkich zdradził.

Gdyśmy wreszcie już się dostali na zbawcze nasze czółno, serca nasze wzniosły się ku Panu Bogu, który nas tak cudownie z rąk nieprzyjaciół naszych wybawił; potem i wspaniałomyślnym przyjaciołom, którzy nas z narażeniem własnego życia z niedoli naszej wybawili, z głębi duszy wdzięczność serdeczną wyraziliśmy. Po krótkiej przez rzekę przeprawie szczęśliwieśmy wylądowali. Wyprawiłem zaraz towarzysza mego z Janem Lilly do domu, który miałem najęty, a który wówczas jeszcze był w zawiadywaniu pani Line. Sam zaś w towarzystwie Ryszarda Fulwood udałem się do drugiego domu na przedmieściu, należącego do o. Garnett. Tam jeszcze przed świtem dosiedliśmy, Jan Lilly i ja, przygotowanych dla nas koni, i pośpieszyliśmy w drogę do o. Garnett, bawiącego w tej chwili na wsi. Niech sobie czytelnik sam przedstawi nieopisaną radość, z jaką tam zostaliśmy przyjęci. Gorące modły dziękczynne wspólnie się z ust naszych wzniosły do Boga Najmiłosierniejszego.

Tymczasem Ryszard Fulwood z polecenia mego czekał z parą koni na pewnym miejscu, gdzie go dozorca mój, jeśliby się zdecydował na ucieczkę, miał zastać. Miałem, jak już wyżej wspomniałem, napisany list do tego ostatniego, i takowy mu teraz został wręczony w tym samym miejscu, gdzie zwykł był co dzień schodzić się z Janem Lilly. Naturalnie że tym razem oddawcą nie był Jan, któremu w ogólności surowo byłem zakazał pokazywać się na mieście, dopóki się burza ucieczką moją wzniecona nie uśmierzy. List więc został oddany dozorcy przez człowieka zupełnie nieznajomego. Zdziwiło go to; wszakże przyjął list nic nie mówiąc, i już odchodził, aby go jak zwykle zanieść do mnie. Lecz poseł go zatrzymał, robiąc mu uwagę, że to list do niego. "Do mnie? zapytał dozorca zdziwiony: któżby to mógł do mnie pisać taką drogą?". – "Zapewne przyjaciel". – "Co za przyjaciel?". – "Nie wiem". Nowe zdziwienie poczciwca. "Ależ ja czytać nie umiem! wyjąkał w końcu zaambarasowany; jeśli to co pilnego, to bądź pan łaskaw przeczytać mi co tu napisano". Nie odmówił mu nieznajomy żądanej usługi. Donosiłem dozorcy iżem uszedł szczęśliwie, i wyłuszczałem mu powody mej ucieczki, chcąc przez to nieco uśmierzyć pierwsze jego na taką wiadomość wzburzenie. Tłumaczyłem mu dalej, że za następstwa jakie by z ucieczki mojej wyniknąć mogły, bynajmniej nie jestem odpowiedzialny, ponieważ użyłem po prostu słusznego prawa mego. Ze względu jednak, że zawsze mi się okazywał usłużnym, rad go przyjmę pod moją opiekę. Jeśli więc wola jego ratować się ucieczką, to w takim a takim miejscu znajdzie konia i przewodnika, który go dostawi na miejsce bezpieczne, daleko od Londynu; a ja nadto ofiaruję mu się z gotowością wypłacania mu rocznie dwieście złotych pensji dożywotniej. Kończyłem list, zalecając mu usilnie by czasu nie tracił, a lepiej udał się bezzwłocznie za oddawcą listu.

Łatwo pojąć, że biedak za wysłuchaniem tak niespodzianych wieści, prawie był nieprzytomny od strachu; rad też przystał na to co mu ofiarowałem. Chciał tylko jeszcze wpaść do Toweru po żonę, i złożyć ile możności manatki swoje; ale przyjaciel zabiegł mu drogę, donosząc mu co się stało. "Uchodź czym prędzej! wołał; więźniowie twoi wymknęli się, a gubernator szuka cię na wszystkie strony. Jeśli cię schwyta, zginąłeś!".

Na takie oznajmienie dozorca, drżący na całym ciele, co tchu do posłańca mego powrócił, błagając go na miłość Boga o ratunek. Ten go natychmiast zaprowadził do Ryszarda Fulwood, który też bezzwłocznie zabrał go z sobą i odwiózł do jednego z przyjaciół moich, mieszkającego na wsi, dość odlegle od Londynu. Pan ten zawczasu już był ode mnie uproszony, aby przyjął łaskawie

dozorcę mego, i miał o nim staranie; wszelkie koszta z tego powodu wyniknąć mogące, Ryszard Fulwood z polecenia mego miał zwrócić. Kazałem zresztą ostrzec przyjaciela mego, by zbytnio temu człowiekowi nie ufał, i nie wydał się przed nim z przyjaznym jaki nas łączy stosunkiem. Wszystko się stało według życzenia mego. Przyjaciel mój zgoła nie był niepokojony, a dozorca pod opieką jego żył bezpieczny od wszelkich prześladowań. W rok potem przeniósł się do drugiego hrabstwa, nawrócił się, i pięć lat jeszcze tam przeżył jako dobry katolik. Przy śmierci błogosławił one na pozór tak nieszczęsne zdarzenia, które go gwałtem z przepaści zatracenia wyrwały. Nieraz w czasie więzienia mego starałem się go wybadać, jakie ma zasady religijne, i zawsze widziałem w nim rozum zupełnie przekonany o prawdach świętej naszej religii; ale woli jego mimo to nigdy mi się nie udawało odmienić.

Gubernator przekonawszy się o niemożności odszukania i więźniów i dozorcy, pobiegł co tchu do panów rady tajnej, i złożył im znalezione w pustej celi listy moje.

Panowie ci pojąć nie mogli, jak zdołałem dokazać tak śmiałej ucieczki, i jeden z najznakomitszych lordów, jak mi to później opowiadano, miał na to przed jednym z dworzan oświadczyć, że bardzo z tego się cieszy iżem uszedł szczęśliwie. – Gubernator wystąpił z wnioskiem, by go upoważniono do zarządzenia ogólnej po wszystkich domach rewizji, tak w samym Londynie, jak i w całej okolicy; ale panowie oni jednomyślnie takowy wniosek odrzucili, w przekonaniu, że byłaby to marna strata czasu. "Najmniejszej nie masz nadziei, mówili, byśmy mogli jeszcze wytropić ślady tego jezuity; bo kiedy przyjaciele jego na to się odważyć mogli na co się odważyli, to już z góry możemy tego być pewni, że i o przygotowaniach należnych nie zapomnieli, i o konie zawczasu się postarali i bezpieczne schronienie obmyślili". Zrobiono mimo to niektóre poszukiwania, ale rozumie się że pozostały bez skutku.

Spędziwszy kilka dni u o. Garnett, aby i nieco wypocząć, i pierwszą burzę przeczekać, na usilne prośby przyjaciół wróciłem do Londynu. Trzymałem się tam w jak najgłębszym ukryciu, niekiedy tylko przyjmowałem wyjątkowo jakie odwiedziny, nigdzie w dzień nie wychodziłem, i kilku tylko z najbliższych przyjaciół częściej widywałem.

XIV.

Nowe niebezpieczeństwa

Nieco później przeniosłem się do domu oddanego przeze mnie w zawiadywanie pani Line, gdzie mieszkał w tymże czasie ukryty kapłan, imieniem Robert Drury, który też potem poniósł śmierć męczeńską. Miałem także sposobność przyjęcia u siebie dawnego predykanta protestanckiego, z którego życia rad tu zamieszczam kilka szczegółów. Był dawniej domowym kapelanem u hrabiego Essex, i towarzyszył temuż w wyprawie na Kadyks. Wymowę posiadał nadzwyczajną, i w różnych językach z łatwością się wyrażał. Później nawrócił się na wiarę katolicką, zrzekł się bogatych dochodów, i za wyznanie wiary świętej dostał się do więzienia. Udało mu się jednak z więzienia uciec; wiedziałem o tym, a nawet sam do ucieczki mu dopomogłem, ofiarując mu u siebie schronienie. Pozostał u mnie kilka miesięcy, i korzystając z tej sposobności, odprawił ćwiczenia duchowne, wskutek których postanowił wstąpić do Towarzystwa Jezusowego. Odesłałem go do Belgii, skąd ojciec Holt, dawszy mu trzysta złotych na drogę, wyprawił go do Rzymu.

W tymże samym domu kilku innych jeszcze odprawiło pod przewodnictwem moim ćwiczenia duchowne. Został mi szczególnie w pamięci jeden pobożny kapłan, imieniem Woodward, który także miał zamiar wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego, i w tym celu wyniósł się do Belgii. Tam jednak zmuszony był zatrzymać się, i poświęcić się na usługi ochotników angielskich, biorących naonczas udział w wojnie niderlandzkiej, a wielki cierpiących niedostatek pomocy duchownej; tamże wkrótce i umarł, unosząc z sobą do grobu miłość i szacunek wszystkich, którzy go znali.

Rychło znowu widziałem się zniewolonym do powtórnej zmiany mieszkania. Zbyt wielki ruch panował w domu moim, a dobrowolne, na które sam siebie byłem skazał zamknięcie, tym bardziej musiało zwracać uwagę powszechną na mnóstwo ludzi do tegoż domu uczęszczających.

Inny prócz tego i to bardzo ważny powód do zmiany miejsca mię skłaniał. Dom mój wiadomy był między innymi i onemu zdrajcy, który był przyczyną przeniesienia mego do Toweru. Zdawało się wprawdzie, że nieszczęsny żałuje teraz czynu swego, bo kilkakrotnie pisał do mnie prosząc o przebaczenie, które mu też z całego serca użyczyłem; wiedziałem jednak, że został wypuszczony na wolność, a ci którzy z nim byli w styczności, nie bardzo korzystny sąd o nim wydawali. Wielką przeto w takim stanie rzeczy byłoby nieroztropnością polegać na jego wierności, i wraz z swoją osobą oddać mu w ręce wolność i los tylu innych, którzy ze mną mieli stosunki. Pani Line także była mego zdania, co mię tym bardziej pobudziło do obmyślenia sposobów, aby zawczasu zdradzie grozić nam mogącej zapobiec. Trzeci na koniec wzgląd do tego postanowienia mię naglił, a mianowicie taki: Stolica Apostolska, chcąc ile możności przywrócić jakikolwiek porządek hierarchiczny w duchowieństwie angielskim, właśnie w tym czasie była mianowała jednego z księży świeckich archidiakonem. Niektórzy jednak księża sprzeciwiali się temu postanowieniu, napastując zarazem i Towarzystwo Jezusowe. Żądali natarczywie mianowania dla nich biskupa, i starali się na wszelki sposób postawić na swoim. Pomiędzy księżmi którzy stawali w moim domu, było także kilku takich, co za drugimi na takowe błędne drogi wstąpili, mimo to jednak nie zaprzestali korzystać i nadal z gościnności pani Line. Tym więc sposobem dom który miał mi służyć za schronienie, zamieniał się w zbiegowisko ludzi ściśle biorąc nieprzyjaznych, a którym zatem na wpół tylko ufać mogłem.

Opuściliśmy więc dawne nasze siedlisko; pani Line zajęła mieszkanko w jednym domu prywatnym, ja zaś zawiązałem spółkę z pewnym pobożnym katolikiem, na którym z zupełną pewnością polegać mogłem, a który mieszkał sam jeden z żoną, również pobożną i pewną osobą. Najęliśmy wspólnie z nim wielki dom, i połowę tego domu zatrzymałem na mój użytek. Miałem tu dużą i piękną kaplicę, mieszkaniem moim mogłem rozporządzać według upodobania, i kogo chciałem w nim umieszczać, z warunkiem tylko ponoszenia kosztów z tego urządzenia wynikających.

Niebawem też okazało się, że obawy moje co do dawnego mego współwięźnia nie były bezzasadne. Szczęście moje żem się zawczasu opatrzył; gdybym był jeszcze o kilka dni tylko pobyt mój w onym domu przedłużył, znów by mię nieprzyjaciele byli dostali w moc swoją.

Nieszczęśliwy on sprawca osadzenia mego w Towerze nie dawał mi pokoju, wciąż dopraszając się, bym mu pozwolił ze mną obaczyć się i

rozmówić. Ja zaś na listy jego albo wcale nie odpowiadałem, albo też wymawiałem się brakiem czasu, i tak udało mi się przez pół roku zbywać go i odkładać spotkanie nasze od miesiąca do miesiąca. Gdy jednak on stawał się coraz natarczywszym, i w końcu począł narzekać, że go krzywdzę, okazując mu takie niedowierzanie, więc pewnego wieczora kazałem mu powiedzieć, że jeśli chce widzieć się ze mną, to niech natychmiast pójdzie za posłańcem moim. Ten zaś miał polecenie, by pod żadnym pozorem nie dopuścił podejrzanemu widzieć się z kimkolwiek bądź, ani pisać do kogo bądź przed spotkaniem się ze mną. Za miejsce do schadzki naszej obrałem łączkę, która służyła za spacer publiczny.

Już była noc; ale księżyc tego wieczora pięknie świecił. Wziąłem z sobą dwóch przyjaciół, aby w razie jakiej napaści nie znaleźć się bez obrony; prócz tego jeszcze użyłem tej ostrożności, żem szerokim półkolem łąkę okrążył i z przeciwnej strony na nią wstąpił, aby on ksiądz nie mógł dojść, w której części miasta mieszkam. To może było powodem, że sądził, iż przychodzę z domu jednego wiadomego wszystkim katolika, który istotnie mieszkał w tej stronie, i u którego właśnie w tym czasie ukrywał się archidiakon. Tak tedy z nim się spotkałem, i rychło przekonałem się, że nic mi nie ma więcej do powiedzenia nad to, co mi już listownie był oświadczył, a na co i ode mnie już miał odpowiedź. To mię jeszcze mocniej utwierdziło w podejrzeniu moim, które też rychło potem okazało się słusznym; bo drugiego dnia po onym spotkaniu, dom o którym wspomniałem przy łące położony, jak również i dawne moje mieszkanie zostały o tej samej godzinie przez siepaczów otoczone i zrewidowane. Archidiakon ledwo zdołał ujść rąk ich, i schronić się do bezpiecznej kryjówki. Rewizje trwały całe dwa dni, i sam gubernator Toweru z marszałkiem nadwornym im przewodniczył, co tylko w takich razach zwykło mieć miejsce, kiedy chodzi o złowienie zbiegłego przestępcy. Po tym znaku zdawało mi się, że niewątpliwie poznaję rękę, która nieprzyjaciołom moim drogę wskazała, i sam sobie tego winszowałem, że takiej z onym człowiekiem użyłem ostrożności. Nie znalazłszy mię tam gdzie mię szukano, natychmiast wysłano oddział policjantów do rodziny Wisemanów, dawnych gospodarzy moich; i u nich też cały dom przetrzęsiono, ale i to na próżno.

Najście to nieprzyjacielskie jawnie mię przekonało o konieczności opuszczenia bądź co bądź rodziny Wisemanów, aby jej nie wystawiać na nowe prześladowanie; ale na próżno używałem wszelkiej mej wymowy, przyjaciele moi ani słyszeć nie chcieli o rozłączeniu, aż w końcu ojciec Garnett sam musiał wdać się w tę sprawę, aby położyć koniec ich oporowi. Jednocześnie dla zastąpienia mię, naznaczył do nich męża wysokich zasług, ojca Ryszarda Banks.

Uprosiłem go by od razu, jeszcze przed odjazdem moim w domu zamieszkał, i przy mnie jeszcze z rodziną bliżej się poznajomił; sam zaś coraz więcej przedłużałem apostolskie moje wycieczki na północ, chcąc tym sposobem przyjaciół moich powoli przyzwyczaić do ostatecznego rozłączenia.

W czasie jednej z takich podróży, zatrzymałem się nieco dłużej u pewnej rodziny szlacheckiej, która choć i przedtem niejednokrotnie już do siebie mię zapraszała, do tego czasu jednak nie byłem w możności zadość uczynić jej żądaniu. Pani domu, osoba pobożna i świątobliwa, kilka lat przedtem była straciła męża, i dotąd jeszcze tym smutkiem swoim głęboko była przygnębiona. Cały rok po tej stracie nie wyszła za próg pokoju swego, a i teraz jeszcze jak najpilniej omijała tę część domu, w której mąż jej był umarł. Z tą wielką boleścią z powodu straty męża łączyła się nadto troska o wychowanie syna, jeszcze małoletniego, który prawem urodzenia był jednym z najpierwszych baronów królestwa. Wskutek bowiem nieustających kontrybucji, nakładanych przez rząd na katolików, rodzice zmuszeni byli oddać na zastaw kilka i to najpiękniejszych majątków swoich, tak iż dochody tym sposobem znacznie uszczuplone, ledwo jeszcze starczyły na przyzwoite wedle stanu utrzymanie domu.

Od roku już mieszkał w tym domu jeden z ojców naszych w charakterze spowiednika. Nie wiem dlaczego nie wszyscy domownicy go lubili, a matce, zbyt korzystnie uprzedzonej o zaletach moich, zapewne się zdawało, że nikt lepiej ode mnie nie zdoła nadać należnego kierunku całemu domowi; dlatego też usilnie na mnie nalegała, bym u niej zamieszkał. Mając właśnie na myśli obranie sobie nowego miejsca pobytu, nie mogłem w tym żądaniu nie uznać wskazówki woli Bożej. Przedstawiłem tę rzecz ojcu Garnett, który też rad na to zezwolił, bym się osiedlił w tym domu, gdzie bym tyle mógł zdziałać dobrego, a to tym bardziej, że katolicy hrabstw północnych od dawna już usilnie go prosili o tego kapłana, którego miejsce teraz miałem zająć.

Za przybyciem do nowego mego mieszkania, przede wszystkim do tego się przyłożyłem, by wyrwać dostojną wdowę z tego stanu śmiertelnego przygnębienia, który jej życie podkopywał. Przedstawiłem jej, że wolno chrześcijaninowi płakać nad umarłymi swymi, ale nie godzi się smucić, jako ci którzy nadziei nie mają, i że jedna krótka modlitwa więcej przyniesie pożytku duszy umarłego, niż całe potoki łez. Łzy, mówiłem jej, lepiej zachować na obmycie swoich i cudzych win. Miała z natury duszę do wyższych rzeczy sposobną, stąd też rychło mi się powiodło, żem ją wyleczył z jej smutku.

Wskazałem jej potem sposób odprawiania modlitwy myślnej, i jako możemy i powinniśmy życie nasze podobnym uczynić życiu Chrystusa i Świętych Jego.

Mężnie postępowała tą drogą doskonałości, i po niedługim czasie przyszła do postanowienia wyrzeczenia się powtórnych związków małżeńskich, a poświęcenia życia swego i wszystkiej majętności swojej na służbę Boga i świętego Kościoła Jego. Zatem i oświadczyła się być gotową do zamieszkania, gdziekolwiek uznam, że to będzie z większym pożytkiem dusz. Najwłaściwszym do tego miejscem byłby bezwątpienia Londyn, albo bliższe okolice Londynu; ale tam na teraz pokazywać się nie śmiałem, i ona też nadto była znaną, aby mogła pod przybranym nazwiskiem ukrywać się w stolicy. W takim stanie rzeczy najlepsza zdawała mi się rada pozostać spokojnie na miejscu, tym bardziej, że wszystkie znaczniejsze domy w sąsiedztwie żyły z pobożną wdową w stosunkach pokrewieństwa lub przyjaźni.

Ponieważ jednak obecne mieszkanie nasze nieco było za ciasne, a właściwy pałac rodzinny leżał na wpół rozwalony, poczęliśmy tedy szukać innego obszerniejszego domu, gdzie bym wedle upodobania mógł przyjmować szlachtę okoliczną; jakoż w końcu i znaleźliśmy wyborne mieszkanie wiejskie, należące niegdyś do zmarłego kanclerza Państwa, a teraz gotowe do wynajęcia na kilka lat. Dwór nie tylko był wielki i z książęcym przepychem urządzony, ale nadto jeszcze otaczały go naokoło rozległe ogrody i sady, tak, iż można było wchodzić swobodnie i wychodzić bez zwrócenia na siebie uwagi niczyjej. Słowem, miejsce ono zdawało się jakby umyślnie dla nas urządzone, i w krótkim czasie wszystko było w pogotowiu na przenosiny nasze. Ale człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi!

XV.

Znowu postrachy

Służba domowa składała się po części z protestantów, po części z dość oziębłych katolików. Pierwszym więc staraniem moim było zaradzić temu złemu. Pewną część służby nawróciłem, innych, upornie trwających w błędzie, pani domu z porady mojej jednego po drugim odprawiała. Z tych ostatnich jeden o mało, że nas nie zgubił. Rzecz miała się tak. Pewnego razu przyjechał z panią swoją do Londynu, i tam się spotkał z jednym dawnym znajomym. Temu więc, czy to przez gadatliwość, czy przez nieukontentowanie z zaprowadzonego w domu ściślejszego, i zdaniem jego zbyt twardego porządku, począł opowiadać o mnie, jak mieszkam w domu jego państwa, i te a te zmiany zaprowadziłem; jako w tej chwili jestem w Londynie, i stałem w takim a takim domu, przy czym dokładnie opisał dom do połowy przeze mnie najęty. Dodał jeszcze, że sam już parę razy z panią swoją u mnie stawał, w czasie chwilowego tejże dla interesów pobytu w Londynie.

Wkrótce potem gospodyni moja z onym służącym do domu odjechała, ja zaś pozostałem jeszcze, chcąc dłuższy czas zabawić w stolicy. Tymczasem historia gadatliwego ladaco w parę dni po onej rozmowie już się była po mieście rozeszła, i doszła nawet do uszu rady tajnej. Wskutek tego wydelegowano natychmiast dwóch sędziów do zarządzenia rewizji w domu wskazanym.

Niczego zgoła się nie domyślałem; właśnie byłem przystąpił do dawania ćwiczeń duchownych przyjacielowi memu, panu Rogierowi Lee, w towarzystwie dwóch innych panów, i jednocześnie sam dla siebie zaczynałem rekolekcje, gdy znienacka burza nas przypadła. Było to czwartego dnia naszych rekolekcji, około trzeciej po południu. Jan Lilly, z dobytą szpadą w ręku, nagle wpada do mego pokoju. Zdziwiony, że tak niespodzianie nam przerywa nasze zajęcie, pytam go, czego chce. "Czego chcę? Przyszli dom rewidować". – "Jaki dom?". – "A jużci że nasz; już są w domu!". Siepacze tym razem chytrzej sobie byli poczęli niż zwykle; nie zdradzili od razu przyjścia swego hałaśnym dobijaniem się; zapukali po prostu do drzwi, jak przyjaciel przychodzący w odwiedziny. Służący, niczego nie przeczuwając złego, otworzył, i wówczas dopiero błąd swój poznał, kiedy ujrzał zdradziecką zgraję do sieni wpadającą i rozbiegającą się na wszystkie strony. Jeszcze mi Jan to wszystko opowiadał, kiedy prześladowcy, w towarzystwie pani domu, już byli na pierwszym piętrze, i

wprost zmierzali ku memu pokojowi. Pokój ten wychodził na korytarz, a wprost naprzeciwko w tymże korytarzu były drzwi do kaplicy, w tej chwili trafem otwartej. Wpadł w oczy tym panom ołtarz bogato przybrany; wstąpili więc do kaplicy, dla przypatrzenia się bliżej ozdobnemu jej urządzeniu, i wyłożonym właśnie bogatym szatom kościelnym.

Ja tymczasem nie wiedziałem zgoła co począć. Nie było w moim pokoju żadnej kryjówki, nie było też z niego innego wyjścia, jak przez te jedyne drzwi, które nieprzyjaciel trzymał obsaczone. Wprawdzie natychmiast przez ostrożność zamieniłem sutannę na ubranie świeckie; ale wszędzie naokoło leżały książki i rękopisy, których nie było sposobu ukryć.

Staliśmy tedy u drzwi, wierny mój sługa i ja, chciwie słuchając każdego słowa tych co byli za drzwiami; usłyszeliśmy jak jeden z księżołowców w kaplicy zawołał: "Mój Boże! kto by się to był spodziewał znaleźć w tym domu takie kosztowności! Ani mi się śniło o tym, że dzisiaj tu będę!". Wnosiłem z tych słów, że odwiedziny tych panów są rzeczą przypadkową, nie zarządzoną wyraźnym rozkazem wyższych władz. Jeśli tak, myślałem sobie, to pewno ich niewielu, i może by było najlepiej rzucić się na nich z dobytym pałaszem, wydrzeć im klucze z ręku, i próbować ucieczki. Mogliśmy liczyć z pewnością na pomoc pana domu i kilku sług jego, a do tego jawne stawienie oporu urzędnikom królewskim bez porównania łagodniejszą pociągało za sobą karę, niż przyjęcie i przechowanie księdza. Jeszcześmy się bili z myślami, gdy sędziowie przystąpili do mego pokoju, i zakołatali we drzwi. Nie odezwaliśmy się, przytrzymując za to co siła klamkę, bo nie było u drzwi ani zamku ani zasuwki. Gdy tedy oni dalej kołatali, rzekła pani domu: "Może służący który sypia w tym pokoju, wziął klucz do siebie; pójdę i obaczę". "Wara! krzyknęli: bez nas pani na krok nie odejdziesz; mogłabyś po drodze sprzątnąć i schować co się podoba". Poszli więc za nią, nie sprawdziwszy nawet czy jest zamek u drzwi, czy nie ma. Widocznie ich Pan Bóg, jak niegdyś Asyryjczyków, dotknął był ślepotą.

Tak ściągnąwszy na dół prześladowców naszych, pani domu wprowadziła ich do pokoju, gdzie było kilka pań zebranych, które gdy sędziowie poczęli wypytywać, ona tymczasem nieznacznie się wymknęła, i pobiegła na górę wołając na nas, i ukazując nam kryjówkę, abyśmy się czym prędzej do niej schowali. Ledwo wymówiła te słowa, kiedy już znowu dały się słyszeć kroki tych panów, wracających na górę. Lecz ona na schodach rezolutnie im w poprzek stanęła, i zagrodziła drogę. To naturalnie obudziło w nich podejrzenie, i

chcieli dalej postąpić. Ale nie było sposobu, chybaby użyć gwałtu, a tego jednak jako ludzie rycerscy na kobiecie dopuścić się nie chcieli. Jeden tylko wychylił się naprzód, chcąc koniecznie obaczyć co się dzieje na górze; i mało brakowało, że mię nie ujrzał, w chwili gdym z pokoju mego wybiegał szukając kryjówki mojej, do której było wejście przez drzwi spuszczane, zręcznie ukryte w suficie. Przecisnąłem się pierwszy, i zawołałem na Jana aby czym prędzej wszedł za mną. Lecz ten, daleko więcej dbając o ocalenie moje, niż o swoje własne, taką dał mi odpowiedź: "Nie ojcze, tego nie zrobię. Te książki i papiery tam w twoim pokoju, nie mogą w żaden sposób ujść uwagi nieprzyjaciół, i jawnym będą dla nich dowodem obecności księdza w tym domu; jeśli więc mimo to księdza nie znajdą, niechybnie póty będą przetrząsać i szukać, póki im w ręce nie wpadniesz. Lepiej postarajmy się ich oszukać". Nie było czasu do stracenia; z konieczności, choć z wielką przykrością, musiałem zapuścić drzwi.

Ledwo Jan zdążył odsunąć stołek, który mi był służył za schodki, i dobiec na powrót do pokoju mego, kiedy już i sędziowie za nim przybyli, i silnym kołataniem poczęli się do drzwi dobijać, grożąc że je wyłamią, jeśli natychmiast nie będzie otworzono. Niezwłocznie też nieustraszony bojownik Chrystusowy spełnił ich rozkaz, szeroko roztworzył drzwi, i spokojny, a poważny stanął przed zbirami.

"Kto pan jesteś", zapytali sędziowie. – "Jestem człowiek, jak panowie widzicie". – "Ale czym jesteś? możeś ty ksiądz?". – "Tego nie powiadam żebym był księdzem, bo to wasza rzecz, tego mi dowieść, ale żem katolik, to prawda".

Przetrząsając pokój, znaleźli na stole mój brewiarz, i książki, i rozmyślania moje, a także czego mi największy żal, wszystkie kazania i notatki moje, owoc pracy dziesięcioletniej, do których może większą wartość przywiązywałem, niż oni łakomi ludzie do wszystkich skarbów swoich.

"Czyje są te rzeczy?" zapytano Jana Lilly. – "Moje", odpowiedział. – "A więc nie masz już i wątpliwości o tym, żeś ksiądz; a ta sutanna?". – "Czyż nie widzicie że to szlafrok?".

W najmocniejszym więc przekonaniu, że księdza dostali w swe sieci, spakowali siepacze książki moje i papiery do kufra, zamknęli kaplicę i opieczętowali pieczęcią królewską. Potem wziąwszy sługę pod ręce sprowadzili go na dół, i oddali go straży, którą mieli z sobą. On zaś wybornie odegrał swą rolę. Gdy strażnicy wprowadzili go do pokoju, gdzie były panie wyżej wspomniane, choć zwykle w ich obecności stawał z odkrytą głową i w postawie uniżonej, w tym razie przeciwnie z największą swobodą im się ukłonił, i znów

nakrywszy głowę zajął miejsce na krześle. Umiał nawet przybrać postawę imponującą i uszanowanie nakazującą, oświadczając urzędnikom, iż tego przynajmniej po nich się spodziewa, że tym paniom należne względy i uszanowanie okażą.

Razem ze mną znajdował się w tym domu drugi jeszcze jezuita. Był to ojciec Pullen, świeżo przybyły z Rzymu po odbytym nowicjacie, choć już był podeszłego wieku. I on też szczęśliwie uszedł rąk nieprzyjaciół, schroniwszy się zaraz, za pierwszym usłyszeniem hałasu, do kryjówki przy pokoju jego urządzonej. Panie ledwo zdołały ukryć swą radość z szczęśliwego ocalenia naszego, za nic już sobie mając grożące im kary pieniężne i inne nieprzyjemności. Dość im było tej pociechy, że nas niebezpieczeństwo ominęło, i o mało że nie parsknęły od śmiechu patrząc na Jana Lilly, jak po mistrzowsku odgrywa rolę jezuity i prześladowców naszych w pole wywodzi.

XVI.

Co się stało z Janem Lilly

Sędziowie wzięli z sobą pod areszt Jana Lilly, wraz z panem domu i dwoma służącymi, licząc sobie na pewno, że wskutek tej szczęśliwej ich obławy majątek właściciela domu od razu będzie mógł być skonfiskowany. Panie wytłumaczyły swą obecność tym, że przyszły tylko odwiedzić panią domu, zaczem zostały wypuszczone na porękę, i pod warunkiem, że na pierwsze wezwanie bezzwłocznie się stawią.

Jak tylko oni goście uprzykrzeni odeszli, pani domu wraz z drugimi paniami, z głośnym wyrażeniem swej radości, wywołały mię z mojej kryjówki, i wszyscy wspólnie podziękowaliśmy Panu Bogu, iż nas przez przytomność, i wierność i poświęcenie Jana, z rąk nieprzyjaciół wybawił. Potem, jeszcze tej samej godziny, ojciec Pullen i ja, zabraliśmy się i dom on opuściliśmy.

Wróciłem znowu na wieś do onej rodziny, która mi dawała gościnność, a którą opowiadanie moje o przebytej przygodzie na przemiany, to bojaźnią i przestrachem, to znowu serdeczną radością przenikało. Uklękliśmy razem do wspólnej modlitwy, za dzielnego naszego Jana; i zaiste potrzebował on modlitw naszych. Zaraz pierwszego dnia po pojmaniu jego surowe zarządzono poszukiwania, co do osoby jego, i wskutek tego dowiedziano się, jako Jan poprzednio mieszkał sześć lat w Londynie trudniąc się aptekarstwem, następnie osiem czy dziewięć lat przesiedział w więzieniu, a w czasie więzienia mego w Towerze, on a nie kto inny listy moje roznosił. (Wszystkie te szczegóły zostały wykryte wskutek zeznań żony zbiegłego dozorcy). Teraz dopiero zrozumieli nieprzyjaciele nasi, że dali się wywieść w pole, i zamiast księdza, po którego przyszli, tylko jego sługę złowili. Wnosząc jednak ze znalezionych książek i skryptów, które oczywiście musiały do mnie należeć, żem przecie w czasie pojmania Jana Lilly gdzieś w domu był ukryty, wydali rozkaz powtórnego, a jak najdokładniejszego przetrząśnienia tegoż domu. Ale się spóźnili; znaleźli tylko gniazdo próżne, a ptaszek już był uleciał.

Jan został zawleczony do Toweru, i okuty w kajdany. Badano go następnie o szczegóły mej ucieczki, i w jakich miejscach od tego czasu przebywałem. Wierny sługa widząc, że stosunki jego z dozorcą nie są już tajemnicą, a szczerze pragnąc dla Chrystusa Pana oddać na ofiarę życie swoje, wyznał jawnie i śmiało, że sam był głównym sprawcą ucieczki mojej z Toweru, że poczytuje to sobie za szczęście, i że ochotnie przy zdarzonej sposobności, znów do podobnych usług gotowym się stawi. Dozorcy bronił ile mógł, i zaręczał uroczyście, jako ten ani się domyślał ułożonego między nami planu. Na wszelkie zaś pytania co do miejsc gdziem się ukrywał, tę jedną dawał odpowiedź, że nie chce nikomu być powodem przykrości, i że miałby to sobie za grzech, wydać niewinnych. Na to mu oświadczono, że dłużej nalegać nań nie będą, ale za to mu dowiodą dotykalnie, czy ma obowiązek odpowiedzieć, na zadane mu pytania, czy nie.

"Ufny w pomoc Boską, odrzekł Jan, dotrzymam wiernie mych postanowień; zresztą, jestem w ręku panów, czyńcie ze mną co Bóg wam uczynić dopuści".

Ściągnęli go zatem oprawcy na dół do izby torturowej, zawiesili go za ręce w sposób wyżej opisany, i całe trzy godziny trzymali go w tych nad wszelki wyraz srogich katuszach. Nie zdołali jednak zmusić go do żadnego wyznania, z

którego by komu bądź jaka szkoda uróść mogła, aż w końcu sami stracili nadzieję, by z nim trafili do celu.

Nie powtórzono więc tortury z Janem; ale spróbowano za to innego sposobu, trzymając go trzy miesiące w ciasnym zamknięciu, w nadziei, że może to go skłoni do ustępstwa. Widząc na koniec że wszelkie ich sposoby daremne, przenieśli go do drugiego więzienia, w którym trzymano skazanych na śmierć. Bez wątpienia, że mieli zamiar oddać go w ręce kata; ale Bóg zrządził inaczej. Po długim a ścisłym więzieniu, dzięki pobłażaniu dozorcy, uzyskał pozwolenie widywania się choć chwilowo z kilkoma innymi uwięzionymi katolikami. Był między nimi także jeden kapłan, i ten poznawszy Jana, począł nalegać nań, aby wymyślił jaki sposób do ucieczki. Jan wziął to pod rozwagę, i niedługo trwało, aż bogata w wynalazki głowa jego rzeczywiście trafiła na środek wyratowania i siebie i księdza.

Nie mogę tu pominąć jednego zdarzenia, które choć małe, może jednak posłużyć za nowy a uderzający dowód, jak cudowne są drogi Opatrzności Boskiej. Pewnego dnia, sławny on z okrucieństwa swego Wade zapytał w ciągu badania Jana Lilly, czy zna ojca Garnett, na co ten naturalnie nie chciał dać odpowiedzi twierdzącej. "To zapewne i nie wiesz gdzie mieszka?" dodał Wade z gorzkim uśmiechem. – "No, kiedy już siedzisz tutaj pod kluczem i ryglem, to ja ci powiem: wiemy już dom jego, i nie dalej jak za dwa dni będziesz miał z niego towarzysza; przyjedzie do Londynu, w tym domu stanie, a my tuż za nim przybędziemy w odwiedziny".

Zrozumiał Jan aż nadto, że Wade tym razem mówi prawdę; widział, że koniecznie trzeba coś zrobić, aby ojciec Garnett uszedł rąk prześladowców; i lubo jak najsurowiej był pilnowany, wszakże i w tym jeszcze zdarzeniu, jak w tylu innych, zdołał nieprzyjaciołom szyki pomieszać. Wynalazł, – nie wiem już jak, – w więzieniu swoim sposób przesłania, któremuś z przyjaciół swoich drobnego jakiegoś upominku, i takowy w kawałek papieru zawinął. Odbierający domyślił się od razu, że na papierze musi być coś napisane sokiem pomarańczowym; potrzymał go więc nad ogniem, i wyczytał z przerażeniem, że ojciec Garnett zdradzony, i że natychmiast trzeba go o tym zawiadomić. Polecenie zostało spełnione bez zwłoki, i tak znowu obróciły się wniwecz chytre knowania nieprzyjaciół. Owszem nawet, zdążył jeszcze ojciec Garnett wynieść z onego domu szczupłą chudobę swoją, a księżołowcy, którzy rzeczywiście nie omieszkali przybyć drugiego dnia potem, dom znaleźli, ale w domu pustki.

Jan z onej ucieczki swojej prosto znowu przybiegł do mnie. Ale tak go już wszyscy znali, i tak była głośną sława przygód jego, że niepodobna mi było trzymać go jeszcze przy sobie, bez narażenia i siebie i wszystkich przyjaciół moich, na nowe niebezpieczeństwa. Ja pod tym względem lepsze miałem położenie, bo zawsze na to zwracałem uwagę, by z takimi tylko katolikami zawiązywać stosunki, na których wierności i roztropności mogłem polegać; a choć w Towerze miałem był także styczność z kilkoma protestantami, ci jednak wszyscy mieszkali w Londynie; na wsi przeto mogłem się pokazywać bezpiecznie, i jawnie przestawać z przyjaciółmi moimi. W takim więc stanie rzeczy zdecydowałem się oddać Jana na jakiś czas do ojca Garnett, aby w jego domu mieszkał ukryty, za pierwszą zaś zręcznością odesłać go do Rzymu, do ojca Parsons; bo bardzo tego pragnął, by był przyjętym do Towarzystwa Jezusowego. W rzeczy samej udało mu się niespostrzeżenie opuścić Anglię, i dostać się szczęśliwie do Rzymu, gdzie sześć lat mieszkał jako braciszek. Potem, jak słyszałem, wrócił do Anglii, i tamże umarł na chorobę piersiową. Tym śmielej więc mogę dzisiaj oddać cześć należną cnotom i zasługom jego. Przez sześć lat Jan Lilly był przy boku moim jako wierny i oddany towarzysz; zawsze był obarczony robotą, a zawsze raźnie i wesoło wszystkiemu podołał; nadto jeszcze, gdym ja w mieszkaniu na górze osoby możne i dostojne przyjmował, on musiał na dole przestawać ze służbą, to jest z ludźmi bardzo rozmaitego rodzaju, a jednak tak umiał czystym zachować serce swoje, że przez cały ten długi czas, ledwo kiedy pokusa do ciężkiego grzechu mu przyszła. Była to piękna, niewinna dusza, a umysł przy tym miał bystry i zręczność nadzwyczajną.

XVII.

Jeszcze niebezpieczeństwa. – Dziwne nawrócenia.

Opowiedziałem wyżej, jako nieroztropność jednego sługi sprowadziła rewizję na mieszkanie moje w Londynie. Jednocześnie tenże wartogłów zdradził także miejsce pobytu mego na wsi, wskutek czego Tajna rada i tam wyprawiła rozkaz, aby zarządzono poszukiwania. Prócz tego jeszcze rozeszła się była wieść po całej okolicy, jako gospodyni moja na to tylko najęła obszerne ono mieszkanie wiejskie, o którym wyżej wspomniałem, aby tam swobodnie przyjmować mogła przyjaciół swoich katolików, i jak najwięcej księży przechowywać.

Pewnego dnia, wkrótce po powrocie moim z Londynu, pojechaliśmy obejrzeć przyszłe nasze mieszkanie, zabrawszy z sobą Jaśka i jeszcze drugiego służącego, którzy mieli obydwaj pozostać dla urządzenia wszystkiego na przyjęcie nasze, a szczególnie dla założenia schowań i kryjówek.

Za powrotem, stangret uparł się wieść nas inną drogą, niż tą, którą przyjechaliśmy, twierdząc że będzie lepsza: ten jego upór ocalił nas. Gdyśmy bowiem z rana przejeżdżali po drodze przez sąsiednie miasteczko, nieprzyjaciele poznali nas; zaczem, nie doczekawszy się aż do rana powrotu naszego, sądzili żeśmy zostali na noc w nowym mieszkaniu, i w tej nadziei zaraz tam ze zbirami pośpieszyli. Ale ich Janek uprzedził, i zawczasu się wymknął; a drugi sługa, choć go przytrzymali i z sobą zabrali, na wszystkie ich pytania upornym odpowiadał milczeniem.

Wściekli na nas żeśmy im znowu pokrzyżowali ich plany, prześladowcy wsiedli na koń, i jednym pędem puścili się ku naszemu mieszkaniu, przed którym też stanęli jak raz o zwykłej naszej porze obiadowej. Dzięki opieszałości odźwiernego wpadli do domu, pierwej nimeśmy się i domyślić mogli ich przybycia. Gospodyni moja i syn jej oboje byli chorzy, i z tego powodu jedliśmy obiad w moim pokoju, to jest, oprócz mnie drugi jeszcze ksiądz, i pan Rogier Lee, przybyły do mnie z Londynu, w celu dokończenia swych rekolekcji, tak nagle wonczas przerwanych.

Na pierwszą wiadomość o tych niespodzianych odwiedzinach, zgadłem od razu co się święci, zgarnąłem naprędce wszystko, co jedno mogło obudzić podejrzenie, i wspólnie z towarzyszami moimi schroniłem się do bezpiecznej

kryjówki. Lecz aby do niej trafić, musieliśmy przechodzić mimo pokoju, w którym byli zebrani oni nieproszeni goście, a nawet jeden z nich w tejże samej chwili drzwi otwierał, i prawdziwie nie rozumiem jak mógł mię nie obaczyć. W każdym razie widoczna tu była ręka Opatrzności Boskiej; bo biorąc rzeczy po ludzku, trudno pojąć co tych zapamiętałych ludzi tak długo w onym pokoju zatrzymać mogło, ażbyśmy zdążyli i siebie i manatki nasze schronić na miejsce bezpieczne. Teraz dopiero z dzikim wrzaskiem, na kształt gromady głodnych psów spuszczonych z łańcucha, rozbiegli się po wszystkich kątach domu, nie wstydząc się nawet wedrzeć aż do sypialni chorej pani domu. Przez cały dzień przetrząsali od góry do dołu mieszkanie nasze; poczym znowu oni księżołowcy zmuszeni byli pójść sobie z niczym, i przesłać raport Tajnej radzie, jako poszukiwania ich pozostały bez skutku. Przy tej zręczności i my wreszcie doszliśmy kto był sprawcą wszystkich tych nieprzyjemności, i odprawiliśmy niewiernego sługę, nie obchodząc się z nim jednak surowo, bośmy się przekonali, że raczej przez gadatliwość, niż przez złą wolę taką nam przykrość wyrządził.

O przeniesieniu się naszym na nowe mieszkanie naturalnie już i mowy być nie mogło; bo nie tylko wciąż nam grozić mogły nowe ze strony siepaczów napaści, ale nadto jeszcze i niektórzy zamieszkali w sąsiedztwie purytanie głośno się z tym odzywali, że dobrze wiedzą w jakim to celu baronowa Vaux właśnie tę, a nie inną willę na mieszkanie sobie najęła, i że jej nie dadzą ani na chwilę spokoju, skoro tam osiądzie. Lecz wszystkie te przeszkody nie zdołały zachwiać pobożnej pani w świętych jej zamiarach; inną tylko do uskutecznienia onych obrała drogę. Pozostaliśmy w dawnym mieszkaniu; ale chcąc osiągnąć niezbędne dla naszych celów rozszerzenie onegoż, postanowiła baronowa do czego i bezzwłocznie przystąpiła, dobudować do zamkowej przodków jej kaplicy, nowe na trzy piętra skrzydło, do wyłącznego użytku naszego, to jest mojego i ojca Percy, towarzysza mego. Rozporządzenie tej nowej budowy bardzo było dogodne; z mieszkania naszego tajemne przejście prowadziło prosto do parku, skąd w razie niespodzianej napaści łatwo było dosiadłszy konia dostać się w pole, i niespostrzeżenie odjechać.

Tak już się urządziwszy w nowym naszym mieszkaniu, zacząłem robić wycieczki w sąsiedztwo, pragnąc zawiązać stosunki z niektórymi domami katolickimi, które również mogły posłużyć za punkty środkowe do szerszego działania. Pan Rogier Lee wielkie mi w tym względzie oddał usługi. Wprowadził mię naprzód do jednego z swych krewnych, syna tajnego radcy

królowej. Był to człowiek jeszcze młody, i z urodzenia katolik; opływał w bogactwa i przepych książęcy, ale wiary swej katolickiej zaparł się, bojąc się ojca. Żona jego była protestantką, nie miała jednak nienawiści do religii katolickiej. Tę więc nasamprzód trzeba było pozyskać i przywieść do uznania prawdy.

Wybraliśmy się tedy do onego domu w odwiedziny, i dzięki panu Lee, który bardzo tam był lubiony, jak najuprzejmiejsze znaleźliśmy przyjęcie. Na próżno jednak cały pierwszy dzień czyhałem na chwilę sposobną do rozmowy z panią domu. Musiałem drogi czas marnować na kartach i innych tego rodzaju czczych rozrywkach, jak próżniacy, którzy nie wiedzą, co z sobą począć. Następnego dnia lepiej mi się powiodło. Korzystając z chwili kiedy pani domu stanęła przy oknie dla nakręcenia zegarka, zbliżyłem się do niej, i po kilku obojętnych uwagach o zegarach i zegarkach, spróbowałem rozmowę do wyższych rzeczy skierować. "Dałby Bóg, rzekłem, byśmy tyle mieli pilności i starania o duszę naszą, ile o nasze zegarki". Podniosła głowę, i spojrzała na mnie z wyrazem nieopisanego zdziwienia, bo ani jej to na myśl nie było przyszło, żebym ja był kapłanem. Ja zaś nie chcąc opuścić pomyślnej chwili, wręcz jej oświadczyłem, żem na to jedynie dał się wprowadzić do domu jej, aby jej duszę zbawić, polegając na tym co pan Lee często mi o niej mówił, jako rzeczy religii żywo ją zajmują. Ofiarowałem jej się z gotowością dania jej wszelkich objaśnień, a zarazem ukazania jej drogi do takiej doskonałości, o jakiej dotąd jeszcze i pojęcia nie miała. Ostatnią tę uwagę z zamiarem dodałem, aby na samym wstępie przekonała się, jak dalece cele moje zgadzają się z zacnymi dążnościami jej serca. Słowa moje głębokie na niej zrobiły wrażenie, i obiecała mi obmyślić jak najrychlej nową zręczność do dalszej ze mną rozmowy.

Niedługiego potrzeba było czasu, aby się przekonała o prawdzie świętej naszej religii, i przejście jej na łono Kościoła katolickiego pociągnęło za sobą nawrócenie kilku jej domowników. Na miejsce dawnej swej pokojowej, protestantki, przyjęła katoliczkę, i z porady mojej zamieniła jeden pokój obszernego pałacu na kaplicę, przy której i trzymała stałego kapelana domowego. Mąż jej w niczym się nie sprzeciwiał tym nowym porządkom, później nawet z przyjemnością słuchał kazań moich, i własnymi rękoma ubierał ołtarz, i odmawiał godziny kanoniczne. Mimo to jednak z Kościołem pojednać się nie chciał.

Naznaczyłem do tego domu ojca Hoskins, którego wpływ zbawienny wkrótce się na całą okolicę rozciągnął. Co do pani nowonawróconej, jeszcze

niedawno temu ojciec Percy, który kieruje jej sumieniem, donosił mi o niej co następuje: "Pani X. zdrowa. Oddała dom swój w opiekę Matce Boskiej Loretańskiej, i serce swoje Jej poświęciła, aby Jej samej tylko i Boskiemu Jej Synowi służyło. Na pamiątkę zaś tego pobożnego ślubu swego kazała ulać wielkie serce ze złota, i prosi przeze mnie o wiadomość, jaką drogą najłatwiej mogłaby przesłać tę ofiarę do Loretu".

Drugi jeszcze, – jeśli mi się godzi mówić słowy Boskiego Mistrza, – połów zrobiłem. Był to młody pan, należący do dworu królowej, i mieszkał także w sąsiedztwie. Wszystka familia jego składała się z samych protestantów, i on też sam o niczym nie marzył, jedno o myślistwie i puszczaniu sokołów. I tu mię wprowadził Rogier Lee; często spędzaliśmy wieczory w domu jego, starając się zawsze zwracać rozmowę do rzeczy religijnych; zrazu jednak powściągliwszym byłem w tym względzie od przyjaciela mego, lękając się przedwczesnym odezwaniem się obudzić podejrzenia. Panu domu zresztą ani to przez głowę nie przeszło, by miał do czynienia z kapłanem; pewnego razu nawet radził się najpoważniej pana Lee, czy nie sądzi bym mógł być dobrą partią dla siostry jego, którą rad by wydał za jakiego katolika, tylko bogatego; "bo katolicy, mówił, są to w moim przekonaniu bardzo dobrzy i uczciwi ludzie".

Pierwszą w tym domu duszą, której zajaśniała światłość prawdy, była żona gospodarza. Pewnego razu, w czasie dłuższej nieobecności męża, bawiącego w Londynie, oświadczyła mi, że chce zostać katoliczką, i że chciałaby w tym celu rozmówić się z jakim kapłanem. Ledwom na to jej żądanie zdołał się powstrzymać od uśmiechu; odpowiedziałem jej jednak, że się o tym z przyjaciółmi naradzę, a tymczasem ją będę uczył wiary katolickiej. Następnie, gdy już była dostatecznie przygotowana, poleciłem panu Lee, aby jej odkrył tajemnicę, jaki jest istotnie stan mój. Z początku wierzyć temu nie chciała, żebym ja był kapłanem. "Jak to być może!" zawołała. "Czyż w całym zachowaniu się jego nie widać, że to człowiek wykwintnie wychowany i z wielkim światem oswojony? Czyż go nie widziałam po tyle razy grającego w karty z moim mężem, i to z taką wprawą, jaką może mieć jedno ten, kto grę ma w codziennym użyciu? Czy nie bywał z nim na polowaniu, i nie mówił o tych rzeczach jak człowiek najdokładniej z nimi obeznany?".

"Wszystko to prawda", odpowiedział jej mój przyjaciel; "ale czy byłby inaczej miał wstęp do waszego domu, i panią dla wiary świętej pozyskał?". Uznała słuszność tego argumentu; ale i tak jeszcze miała trudność dać wiarę słowom jego. "Czy kto inny jeszcze", zapytała, "ze znajomych pańskich katolików wie o tym że on jest księdzem? Czy wie o tym baronowa Vaux?". Pan

Lee na to ją objaśnił, że nie tylko ta pani wie o tym, że jestem kapłanem, ale że nadto jeszcze jestem jej kapelanem domowym i przewodnikiem sumienia. Po takim objaśnieniu, trudno było nie uwierzyć; przy tym i przyjaciel mój zapewnił ją, że jak mię obaczy kapłanem, innego zupełnie znajdzie we mnie człowieka niż tego, którego dotąd znała. Na co też i sama rada się zgodziła, gdy mię nazajutrz ujrzała w sutannie i w szatach kapłańskich.

Z wielką pilnością przygotowała się do spowiedzi z całego życia, i tak wielki powzięła szacunek dla niegodnej mej osoby, że całkiem się oddała pod mój kierunek, i od tego czasu z wielkim zapałem i zupełnym wyrzeczeniem się samej siebie, poświęcała się na służbę Bogu i świętemu Kościołowi Jego.

Po szczęśliwym dokonaniu tego dzieła, gdyśmy się jeszcze między sobą naradzali, jakich użyć sposobów, aby i męża do sieci Piotrowej zagarnąć, nadszedł list z Londynu, donoszący jako tenże nagle zachorował. Na tę wiadomość pani postanowiła pojechać zaraz nazajutrz do chorego, i sama go pielęgnować. My jednak zdążyliśmy ją wyprzedzić, i jeszcze przed spotkaniem się obojga małżonków miałem sposobność sam na sam z chorym pomówić. Stawiłem mu przed oczy niepewność tego nędznego życia, a przeciwnie pewność męki wiekuistej zgotowanej każdemu, kto póki żył na ziemi, nie pomyślał o zapewnieniu sobie życia po śmierci. Utrapienie zwykło otwierać oczy człowiekowi. Niewielkiej potrzeba mi było dołożyć pracy, aby go dla prawdy pozyskać; bo w gruncie rozum miał zdrowy i serce szlachetne. Ochotnie słuchał mych nauk, przygotował się do spowiedzi, a gdym mu w końcu objawił, że jestem kapłanem, mniej daleko okazał na to zdziwienia niż jego małżonka; owszem ucieszył się z tego, że takiego znalazł spowiednika, który ma znajomość świata, i z którym będzie mógł przestawać bez narażenia się na niebezpieczeństwo.

Skoro dopełnił aktu powrotu swego na łono Kościoła, taką samą począł objawiać troskę o zbawienie swej małżonki, jaką ta względem zbawienia jego była okazała. Mimowolnie na to uśmiechnęliśmy się, ale nic mu nie powiedzieliśmy, czekając na przybycie żony, i zawczasu ciesząc się i budując się na myśl o świętym współzawodnictwie tych dwóch zacnych dusz, jak będą usiłowały jedna drugą Bogu na żywot wieczny pozyskać.

Było to zaprawdę błogosławione małżeństwo. Oboje od chwili nawrócenia swego bez podziału się oddali na służbę Najwyższemu, a mąż później nie tylko majątek, ale i wolność i życie swoje za wiarę świętą na ofiarę

poświęcił; bo pan ten, którego nawrócenie tylko co opowiedziałem, był to nie kto inny, jedno słynny rycerz *Everard Digby*. Zbyt głośna to osobistość, bym miał potrzebę tutaj dłuższe o nim szczegóły podawać; to tylko poczytuję sobie za obowiązek nadmienić, że choć tyle o nim i towarzyszach jego pisano, żaden przecie z piszących nie oddał sprawiedliwości czystości jego zamiarów, ani nawet okoliczności tłumaczących postępowanie jego, jak należy nie uwzględnił.

Oboje po nawróceniu swoim, pragnąc widywać się ze mną bez przeszkody, spędzili jakiś czas u nas, w majątku baronowej Vaux. W tymże czasie pan Everard Digby zapadł na nowo, i tak niebezpiecznie, że lekarze oksfordzcy tracili już nadzieję zachowania go przy życiu. On też z zupełnym poddaniem się woli Bożej gotował się na śmierć, a pobożna jego małżonka w modlitwie szukała sobie siły do poniesienia tej ofiary, której zdawało się, że Pan Bóg od niej zażąda. Wtem nagle przyszło mi na myśl, bez opowiedzenia się jemu, zasięgnąć rady pewnego lekarza katolika w Cambridge, słynącego z biegłości i doświadczenia. Ten obiecał, że uleczy chorego, i z wielką radością naszą dotrzymał słowa. Wyszedł pan Everard z swojej choroby, i wkrótce potem tak był zdrów i silny jak jeszcze nigdy przedtem.

Mój nowonawrócony stał się najpoufalszym przyjacielem moim. Kochaliśmy się jak bracia, i zawsze też pisząc do siebie tym pięknym mianem wzajemnie siebie nazywaliśmy. Pewnego dnia, gdy byłem wyszedł zanieść umierającemu Sakramenty święte, ktoś mu doniósł, że wielkie mi po drodze grozi niebezpieczeństwo dostania się w ręce czyhających na mnie przeciwników. Wiadomość ta przeraziła go jakby grom. "Jeśli go schwytają", zawołał w uniesieniu do żony, "zbiorę przyjaciół i wszystką służbę moją, rzucę się z nimi na siepaczów, i przemocą wyrwę im z pazurów pojmanego przyjaciela. A jeśli tak się nie uda, to inne znajdę sposoby wybawienia go, choćbym miał za to i majątkiem i życiem samym przypłacić".

Zrozumiałem, że czas wracać do Londynu. Przed odjazdem jednak jeszcze się postarałem, aby jeden z ojców naszych w domu pana Everarda zamieszkał.

XVIII.

Powtórny pobyt w Londynie

Zamierzając dłuższy czas zabawić w Londynie, nowy sobie, zupełnie odmienny od poprzednich, umyśliłem sposób urządzenia się. Zdało mi się bowiem rzeczą mniej niebezpieczną zamieszkać w takim domu, którego właściciel nie byłby znany za katolika. W tym celu więc uprosiłem siostrzeńca pana Rogera Lee, który na krótko przedtem był się nawrócił, zaczem i przejście jego na wiarę katolicką jeszcze było tajemnicą, aby mi najął dom pod swoim nazwiskiem; tym sposobem byłem zabezpieczony od wszelkich prześladowań, i nigdy w tym mieszkaniu nie naprzykrzono mi się rewizją.

Za odźwiernego służył mi człowiek, który choć przez bojaźń zaprzał się był wiary, zresztą jednak zalecał się uczciwością, i wszelkie interesy moje, tak w czasie pobytu mego w Londynie, jak i w nieobecności mojej, najakuratniej załatwiał. Ponieważ przy tym regularnie uczęszczał na nabożeństwo protestanckie, wszyscy zatem mieli go za sługę tytularnego lokatora domu, i żadne podejrzenie nikomu ani w myśli nie postało.

Co do mnie, z jak największą postępowałem ostrożnością. Wziąłem sobie za stałą zasadę nie wychodzić inaczej jak wieczorem, a przez całą porę letnią prawie na krok się z domu nie ruszyłem. Przyjaciele odwiedzali mię po jednemu, i każdy innego dnia, aby nie ściągnąć na siebie uwagi sąsiadów. Nie każdemu też, kto jedno chciał się widzieć ze mną, pozwalałem wstępu do mego mieszkania, ale często, szczególnie w porze dłuższych wieczorów zimowych wolałem sam do nich chodzić.

Pewnego razu zaprosiła mię do siebie jedna pani, abym wysłuchał spowiedzi młodego lorda Dunkellin, przyjaciela jej męża. Znając już tego pana z dawniejszego czasu, nie omieszkałem zadać mu kilka wstępnych pytań, a mianowicie czy się przygotował jak należy. Zapewnił mię, że jest przygotowany jak najlepiej, na co znowu spytałem go, jak często zwykł przystępować do Sakramentów świętych. "Dwa lub trzy razy na rok", odpowiedział. – "Daleko lepiej jednak byłoby", rzekłem ja, "gdybyś pan przystępował częściej. Niezliczone są korzyści częstszej spowiedzi, a między innymi i ta, że samo przygotowanie przez to staje się łatwiejszym. Na teraz przecie radziłbym panu wstrzymać się jeszcze dni kilka, i pilniejszy zrobić rachunek sumienia". Wysłuchał mię cierpliwie, potem rzekł: "Uczynię na przyszłość według rady Ojca; ale dzisiejszej spowiedzi odkładać nie mogę". – "Skąd ta niemożność?"

zapytałem. – "Stąd, odrzekł, że jutro życie moje w wielkim będzie niebezpieczeństwie, a przeto pragnę prędzej pojednać się z Bogiem". – "Jakież to niebezpieczeństwo panu zagraża?". – "Jeden z dworzan królowej ciężko mię obraził, i zmuszony byłem dla poratowania honoru mego, wyzwać go na pojedynek; jutro, w miejscu umówionym, nastąpi nasze spotkanie".

"Ależ na miłość Boga!" zawołałem, "na cóżby się panu zdało w takim stanie Sakramenty święte przyjmować? Czyż nie widzisz, że byłoby to sprofanowaniem rzeczy najświętszej, i tym cięższą jeszcze wyrządziłbyś zniewagę Panu Bogu? Jakże możesz się spodziewać odpuszczenia grzechów twoich, przystępując do Pana z nienawiścią i zemstą w sercu? Raczej, proszę, zaniechaj tego nieszczęsnego pojedynku". – "Niepodobna mi już się cofać", odparł młodzieniec; "wszyscy wiedzą o tym co zaszło; sama nawet królowa o tym się dowiedziała, i najwyraźniej nam zakazała pojedynkować się". – "Toć właśnie masz pan najlepszy pozór do zgodnego ukończenia sporu; a przy tym żyjesz w ścisłej przyjaźni z hrabią Essex. Jeśli więc zwycięsko wyjdziesz z pojedynku, możesz tego z góry być pewny, że królowa pomści się na tobie za dworzanina swego, chociażby tylko na to, aby zrobić na przekorę hrabiemu Essex. Jeśli zaś przeciwnie zwycięży twój przeciwnik, cóż wówczas będzie z honorem twoim? a cóż dopiero będzie z duszą twoją?". – Lecz daremne były wszelkie przedstawienia moje. "Ojcze", wołał, "pomódl się za mną, a jeśli możesz, wyspowiadaj mię!". – "Żądasz rzeczy niemożebnej", odparłem; "ale weź ten relikwiarz; jest w nim cząstka drzewa krzyża świętego. Może się Bóg zmiłuje nad duszą twoją, i albo da ci wyjść z pojedynku bez szwanku, albo przynajmniej użyczy ci czasu do szczerego żalu za grzechy i prawdziwej pokuty".

Podziękował mi serdecznie, a relikwie ukrył pod koszulą, przy samym sercu; bo do onego pojedynku, taka była umowa, mieli wystąpić zapaśnicy bez zbroi, a nawet bez wierzchniej odzieży. Spotkanie istotnie nastąpiło. Przeciwnik trafił naszego młodzieńca w lewy bok, i pchnięcie przeciąwszy koszulę, byłoby przebiło samo serce, gdyby go nie był wstrzymał relikwiarz. W tejże chwili sam się zamierzył i przeciwnika na ziemię obalił; potem mu życie darował, i wrócił do mnie, przyrzekając że na przyszłość będzie ostrożniejszym.

Tenże sam młody pan szczególnych w późniejszym czasie dostąpił łask u królowej. Ożenił się z wdową hrabi Essex, nawrócił ją do wiary prawdziwej, i zamieszkał z nią w majątkach swoich w Irlandii. Ja z nim pierwszy raz byłem się spotkał w domu drugiego pana, także jeszcze młodego, który jednak pomimo

młody wiek swój, już się był odznaczył jako jeden z głównych dowódców w wojnie irlandzkiej. I on także nawrócił się, nie do wiary katolickiej, – bo już do Kościoła rzymskiego należał, – ale do życia zgodniejszego z wiarą katolicką. Usunął się na kilka dni na samotność, z wielką skruchą odprawił spowiedź z całego życia, i nadal pobożnie a cnotliwie żyć postanowił. Wkrótce potem znowu wrócił do wojska, i niedługo po przybyciu swoim do Irlandii zginął chwalebnie przy zwycięskim szturmie na twierdzę nieprzyjacielską.

Trzy lata mieszkałem w tym domu o którym wyżej wspomniałem; po trzech latach ustąpiłem go jednemu ze znajomych moich katolików, a przeniosłem się do drugiego, na głównej ulicy Londynu, co mi bardzo ułatwiło stosunki z przyjaciółmi, mieszkającymi po większej części także na tejże ulicy. Nowy ten dom wybornie odpowiadał potrzebom moim; wielki był i obszerny, z obu stron miał wejścia tajemne, do których wkrótce przybyły jeszcze i doskonałe kryjówki.

W czasie mieszkania mego w tym domu, znowu dostąpiłem tej łaski, że znaczna ilość dusz zbłąkanych, przeze mnie na łono Kościoła świętego powróciła. Pewnego razu doszło do mojej wiadomości, że jeden pan, którego dawniej byłem poznał, bogaty i całkiem zaplątany w rozkoszach tego świata, nagle ciężko zasłabł. Wieczorem o jedenastej poszedłem do niego. Poznał mię, i okazał, że mu odwiedziny moje sprawiły przyjemność. Ja zaś wręcz mu oświadczyłem, w jakim celu przychodzę, i upomniałem go, aby pomyślał na serio o zbawieniu nieśmiertelnej duszy swojej. Istotnie też słowa moje trafiły mu do serca, i oznajmił, że tejże nocy jeszcze chce uczynić wyznanie grzechów swoich. Poradziłem mu jednak odłożyć to do następnego wieczora, a tymczasem lepiej się przygotować do tak ważnej czynności, do czego bardzo może mu być pomocnym "Wykład dziesięciorga przykazań", błogosławionego Ludwika z Grenady: zaleciłem mu, aby kazał sobie ten wykład odczytać, a za każdym przykazaniem zastanowił się nad sobą, i roztrząsnął sumienie swoje i wzbudził w sobie akt żalu za grzechy. Nazajutrz wieczór odprawił z wielką skruchą spowiedź generalną, poczym przyjął jak najpobożniej Sakramenty święte, Wiatyku i Ostatniego Namaszczenia. Znajomi którzy go później odwiedzali, nie mogli się wydziwić tej wielkiej zmianie, jaka w nim zaszła. O niczym nie mówił jedno o Bogu i rzeczach Bożych, a przyjaciół upominał i prosił, aby nie naśladowali przykładu jego, ale bezzwłocznie pomyśleli o poprawie żywota, nie odkładając nawrócenia swego do ostatniej chwili, jak sam to niebacznie uczynił. "O! gdyby nie to", wołał, "że ufam w zasługi Pana i Zbawiciela mego,

musiałbym ginąć w rozpaczy; bo sam na nic innego nie zasłużyłem, jedno na odrzucenie od Boga". Trzeciego wieczora urządziłem ołtarzyk przy łóżku jego, i tamże w nocy zaniosłem ofiarę Mszy świętej, której z głębokim skupieniem wysłuchał. Po Mszy wróciłem do domu, a on w kilka godzin później Bogu ducha oddał.

Inne jeszcze nawrócenie opowiem, bo zbyt wielką radość mi sprawiło, bym je mógł pominąć milczeniem.

Pan Ewerard Digby miał przyjaciela, którego kochał najczulej. Często mi o nim mówił, polecając mi go, i czekał tylko na okazję, kiedy by mógł go ze mną zapoznać, w nadziei, że zdołam mu oczy otworzyć, aby ujrzał światłość prawdy Bożej. Lecz młody on pan piastował urząd przy dworze, i przeto nie mógł nigdy na dłuższy czas oddalić się z miejsca.

W końcu jednak kiedyś tak się złożyło, że pan Ewerard i ja, jednocześnie bawiliśmy w Londynie. Pomyślnym trafem spotkał przyjaciela swego, i korzystając z okazji, zaraz na tenże sam wieczór zaprosił go do siebie na partię. Zaproszony się zjawił, ale wielce był zdziwiony, gdy zamiast towarzystwa ochoczych graczów, zastał tylko gospodarza i mnie, widocznie zagłębionych w bardzo poważnej rozmowie. Pan Ewerard prosił go siedzieć, aż drudzy goście nadejdą, objaśniając mu przy tym, że zastaje nas żywo zajętych rozprawą o rzeczach religijnych. "Wiadomo ci", rzekł, "że lubię katolików i religię katolicką; ale mając u siebie tego pana, który jest gorliwym katolikiem, nie mogłem się powstrzymać od zrobienia mu niektórych przeciwko wierze jego zarzutów, aby się przekonać czy też je potrafi odeprzeć; i muszę ci się przyznać, że tak zupełnie zbił mię z toru, żem na koniec zmuszony był zamilknąć; stąd też tym bardziej się cieszę, że mi teraz przyjdziesz w pomoc".

Młody nasz pan, zdolny i wykształcony, z góry, jak mi to potem sam szczerze wyznał, pewnym był zwycięstwa. W rzeczy samej, niejeden zręczny zarzut umiał mi zrobić na twierdzenie moje. Dałem mu spokojnie się wygadać, i z początku w krótkich tylko słowach mu odpowiadałem. On za to tym zażarciej na mnie nastawał, i tak wszczął się spór, który trwał blisko godzinę. Potem dopiero zacząłem mu spokojnie tłumaczyć przekonanie moje, udowodniając mu każde twierdzenie wyrokami Pisma świętego i Ojców Kościoła, jakie mi przyszły na pamięć, i czułem to, że Pan Bóg sam wspiera mię, i słowa właściwe do ust mi podaje.

Młodzieniec nasz miał serce powolne dobrym natchnieniom, i bynajmniej nie był skłonnym do sprzeciwiania się uznanej prawdzie. Coraz się nieśmielej odzywał, w końcu zupełnie zamilkł; bo podczas mowy mojej, potężnym i niezwyciężonym głosem Bóg sam mówił do serca jego. Nie padły więc słowa moje na grunt opoczysty, ani między ciernie, ale na rolę dobrą, która przy łasce Boga, miała czasu żniwa wydać owoc stokrotny. Gdy onego wieczora żegnał się ze mną, mocne już i niecofnione miał w sercu swoim postanowienie zostać katolikiem. W parę dni później odprawił z najgłębszą skruchą spowiedź z całego życia, i postanowił odtąd nie tylko chodzić drogą przykazań, ale wedle sił i możności dążyć do doskonałości chrześcijańskiej. Każdego wieczora pilny czynił rachunek sumienia, każdego rana odprawiał rozmyślanie, chociaż o świcie już miał obowiązek być obecnym na śniadaniu króla, który co dzień wyjeżdżał na polowanie. Zawsze miał przy sobie jaką książkę pobożną, i nieraz to bywało, że gdy inni dworzanie bezczynnie czas marnowali na przedpokojach królewskich, on się usuwał na osobność i gdzieś w zagłębieniu okna odczytał sobie rozdział z *Naśladowania Chrystusa*. Potem wprawdzie znów się przyłączył do grona towarzyszów, ale myśl jego była gdzieindziej. Stał pomiędzy nimi pogrążony w rozmyślaniu; i niejeden może patrząc nań myślał sobie, że to on tak podziwia piękność jakiej pani dworskiej, albo układa sobie plany wyniesienia się do wyższych dostojeństw. Choć zresztą nawet i taki płytki sędzia łatwo mógł uznać bezzasadność podobnych domysłów; bo młody on pan był z wysokiej hrabiowskiej rodziny, i wtedy już taki urząd piastował, który mu dawał prawo codziennego przystępu do osoby królewskiej, i więcej niż dziesięć tysięcy złotych rocznej pensji mu przynosił. Przy tym dowcipny był i tak przyjemnego charakteru, że na całym dworze nie było drugiego, tak powszechnie kochanego i poważanego jak on.

Lecz więcej jeszcze kochał go Król nad królami, i przeto w duszy jego żarliwą zapalił żądzę onych dóbr, których świat dać nie może. Odprawił nasz młodzieniec święte ćwiczenia duchowne; potem, na zdumienie całej Anglii, nagle pożegnał dwór, urządził swe interesy majątkowe, i uciekł do Włoch, gdzie po dziś dzień tak bogomyślny żywot prowadzi, że każdy kto jedno go pozna, mimo woli czuje się przeniknionym uwielbieniem dla cnót jego.

XIX.

Spisek prochowy

Wróciwszy na wieś, znowu dawałem różnymi czasy rekolekcje, tak domownikom, jak i wielu przyjaciołom w sąsiedztwie.

Wtem nagle wybuchł on smutnie głośny spisek prochowy, i pracom naszym zbawiennym, i pięknym naszym planom na przyszłość, od razu koniec położył. Wszystkie bowiem znaczniejsze osobistości zawikłane w to okropne sprzysiężenie, liczyły się do rzędu najbliższych naszych przyjaciół, wskutek czego rada tajna mnie także poczytywała za jednego z głównych spiskowców, i natychmiast zarządziła jak najściślejsze poszukiwania. Znowu więc banda księżołowców wyprawiona została na dom baronowej Vaux, z najsurowszym rozkazem nie pierwej stamtąd się ruszyć, ażby albo mnie złowili, albo też nowe z Londynu otrzymali instrukcje. W nocy mieszkanie nasze miało być zewsząd otoczone strażą, a na trzy mile naokoło szpiegowie mieli czyhać po drogach, i każdego kto by się zdawał podejrzanym przytrzymać.

Rozporządzenia te zostały spełnione jak najdokładniej. Ale jużeśmy byli nieprzyjaciół uprzedzili, bo na pierwszą zaraz wiadomość o strasznym onym wypadku, i wynikłym stąd uwięzieniu wielu przyjaciół naszych, przewidując zawczasu co nam grozi, przezornie sobie obmyśliliśmy należyte środki ostrożności. Stąd też siepacze nic zgoła nie znaleźli; mimo to jednak nie zaprzestali swej roboty, owszem z tym większą zażartością dalej ją prowadzili. W końcu baronowa Vaux, chcąc ich odwieść od dalszych poszukiwań, pokazała im pustą kryjówkę, w której było jeszcze kilka książek moich. Lecz i to ich nie zbiło z toru, i całe jeszcze dziewięć dni zbiry one bezprzestannie przetrząsały cały dom aż do ostatnich zakątków. Ja zaś cały ten czas przesiedziałem w ciasnej i ciemnej norze; głodu jednak tym razem nie cierpiałem, bo każdego wieczora pani domu w świeże mię zaopatrywała prowizje, a nawet czwartej czy piątej nocy wyprowadzili mię przyjaciele z lochu mego, abym choć chwilę zagrzał przy ogniu skostniałe członki; bo było to w porze zimowej. Na koniec przecie nieprzyjaciele stracili nadzieję znalezienia mię w tym domu, i poszli sobie; bo zdawało im się rzeczą niepodobną, by jeszcze mogła być jaka bądź kryjówka, która by była uszła szpiegowskiej ich przenikliwości. Za to po drodze wpadł im w ręce inny kapłan, który nic zgoła nie wiedząc o tym co zaszło, szedł

do nas szukając schronienia; takiż sam los spotkał jeszcze dwóch ojców naszych, w chwili gdy byli w drodze do o. Garnett.

Historia spisku prochowego, i przyczyn, i opłakanych skutków jego, aż nazbyt jest znaną każdemu. Pisali o niej i przychylni i nieprzychylni, choć może żaden, ani z tej ani z drugiej strony, nie zachował w opowiadaniu swoim całej wierności i prawdy, z jaką się historia opowiadać powinna. Ja sam także, za przybyciem do Rzymu, otrzymałem od przełożonych moich rozkaz skreślenia dokładnego sprawozdania o całym przebiegu tej sprawy, co i uczyniłem jak umiałem najlepiej. Zdaje mi się zatem rzeczą zbyteczną, tu jeszcze rozwodzić się szeroko w tym przedmiocie.

Przy wstąpieniu na tron Jakuba I, zaciekłość nieprzyjaciół w prześladowaniu wiary katolickiej nie tylko nie była ostygła, ale owszem z większą jeszcze objawiała się gwałtownością. Nawet i pokój zawarty między Anglią a Hiszpanią żadnych nie stanowił na korzyść uciemiężonej wiary warunków, i spełzła ostatnia nadzieja, jaką jeszcze z tej strony katolicy się pocieszali. Sprzykrzywszy więc sobie na koniec nieustające prześladowania, i zdzierstwa i łupiestwa i krwawe uciski, na które już od tak dawna widzieli skazanych swych współwyznawców, kilkunastu młodych ludzi postanowiło wybawić lud Boży przemocą. Czego iż nie mogli przedsięwziąć każdy z osobna, bez broni i bez wodza, powzięli zatem nieszczęsną myśl uknucia onego straszliwego spisku, jako jedynego w ich mniemaniu sposobu wyswobodzenia się z pod tyrańskiej przemocy i niesprawiedliwego ucisku nieprzyjaciół; chcieli *jednym* zamachem wszystkich od razu sprzątnąć.

Po dwunastu dniach najściślejszych poszukiwań, ojciec Garnett i ojciec Ouldcorne wpadli w ręce nieprzyjaciół, a z nimi także dwóch braciszków, to jest, brat Rudolf, który później razem z ojcem Ouldcorne poniósł męczeństwo, i brat Jan, który niejednokrotnie w ciągu tego opowiadania przedstawił się czytelnikowi pod przezwiskiem "Janek".

Ten ostatni dwadzieścia lat był wiernym towarzyszem ojca Garnett, a zręcznością swoją w zakładaniu niedostępnych kryjówek nawet u nieprzyjaciół naszych zasłynął. Niemała więc była ich radość, gdy go przecie dostali w swe ręce, i obiecywali sobie na pewno, że wymogą na nim bardzo ważne zeznania, i wszystkich kryjących się jeszcze członków zakonu naszego wyłowią. W tym celu wzięli biednego brata na tortury, i tak długo i tak okrutnie go męczyli, że na koniec w ręku oprawców ducha wyzionął. Potem jeszcze nędznicy rozpuścili o

nim pogłoskę, jakoby chcąc zapobiec dalszym katuszom, sam sobie życie odebrał, przez co przecie sami mimowolnie przyznawali, że jakkolwiek go męczyli, niczego jednak od niego się nie dowiedzieli. A zatem według własnego ich zeznania, miał ten mąż dosyć siły ducha na to, aby mimo mąk nieznośnych, braci swych w wierze nie zdradzić: człowiek zaś takiego hartu rzecz pewna, że nie dopuści się samobójstwa.

Podobnież i ojciec Ouldcorne barbarzyńskie od nich wycierpiał tortury. Trzymali go, tak samo jak niegdyś mnie, zawieszonego za stawy rąk, z tą tylko różnicą, że z nim to powtórzyli przez pięć dni z rzędu, i po pięć godzin za każdym razem. Ale i on, mimo tych katuszy niesłychanych, żadnego nie dał sobie wydrzeć zeznania, i żadnej na nim winy dowieść nie zdołali, prócz tej, że jest kapłanem.

Ojciec Garnett, stawiony przed sądem, z tak porywającą wymową bronił sprawy swojej, że wszyscy obecni ze zdumieniem i zachwyceniem go słuchali. Ale lord Cecil i jemu podobni znaleźli na to sposób, co chwila przerywając mu mowę i nakazując milczenie, tak, iż nawet protestant (1), zdając sprawę o tych wypadkach, zmuszony był wyznać, że temu jezuicie odmówiono własnej obrony. Potem skazany na śmierć, z takim spokojem i z takim bohaterskim męstwem, szedł na rusztowanie, że najzapamiętalsi nawet nieprzyjaciele, nie byli w stanie odmówić mu uszanowania i współczucia.

Rząd był zaraz z początku wyznaczył nagrodę za głowy nasze, i wydał proklamację, w której kilku jezuitów, a ja na czele, byliśmy piętnowani jako sprawcy spisku. Rzecz pewna, że najlżejszego nawet przeczucia nie miałem o nieszczęsnym zamiarze naszych przyjaciół, ani nawet pod sekretem spowiedzi nie byłem wciągniony w tajemnicę.

Natychmiast więc napisałem list otwarty, udowodniając w nim niewinność moją, i takowy pewnego dnia o świcie po wszystkich ulicach Londynu kazałem rozrzucić. Wielu list ten przeczytało, i sam nawet król, gdy doszedł do rąk jego, okazywał się być przekonanym o mej niewinności. Ale nieprzyjaciołom już było wiadome miejsce, gdzie się ukrywał ojciec Garnett, i choć go jeszcze nie byli pojmali, wiedzieli jednak na pewno, że już się z rąk ich nie wymknie; stąd też zdało im się rzeczą dobrą i pożyteczną, zrzucić na Towarzystwo Jezusowe wszystką hańbę onego nieszczęsnego sprzysiężenia, i trzech członków Towarzystwa wręcz podać za hersztów onegoż. Moje imię, choć niczym zgoła na ten zaszczyt nie zasłużyłem, pierwsze było wymienione w

onym spisie jezuitów obwinionych. Oskarżenie opierało się na zeznaniu wymuszonym i to nawet nic nie znaczącym, jednego ze służących spiskowca Catesby. Ten zaś na łożu śmiertelnym uroczyście oświadczył, że tylko strach śmierci z jednej strony, a z drugiej prośby i obietnice lorda Cecil, wyłudziły z niego ono zeznanie, w którym zresztą nic nie było, jedno proste na niekorzyść naszą przypuszczenie. Nie przeczę jednak, że bliskie moje z naczelnikami spisku stosunki, mogły się w oczach wielu zdawać pozornym usprawiedliwieniem rzuconego na mnie podejrzenia, jakobym był wiedział o tajemnych onych knowaniach.

Ogłosiłem przeto dalsze trzy listy do członków rady tajnej, wzywając ich o jak najściślejsze co do mojej osoby wypytanie samychże spiskowców, nim jeszcze śmierć ich uniemożebni moje z własnych ust ich usprawiedliwienie. Czy uczyniono zadość żądaniu memu? tego nie umiem powiedzieć. To tylko wiem, że w całym ciągu procesu ojca Garnett, choć tam wyłącznie na wszelki sposób o to się starano, jakby Towarzystwo Jezusowe zniesławić, moje nazwisko ani razu już nie zostało wymienione. Digby zaś, najbliższy mój przyjaciel, zaręczył uroczyście wobec wszystkich w sali sądowej zebranych, jako nigdy się nie odważył wspomnieć mi ani słowem o onym sprzysiężeniu, będąc aż nadto przekonany, że pod żadnym warunkiem nie byłbym się zgodził na to, aby i on do niego należał.

Cały czas tej burzy przebyłem w Londynie, mieszkając w jak najgłębszym ukryciu. Raz tylko naprawdę byłem zagrożony, a to z powodu ojca Everett, którego chciałem koniecznie ocalić, bo chodziło o życie. Ojciec o którym mówię, odwiedzał któregoś dnia, pewnego pana zamieszkałego w Londynie, i zastał u niego kilku fałszywych, albo przynajmniej niepewnych braci. W tejże chwili lord Cecil dowiedział się o wszystkim, a że on ojciec, z opisu jaki mu dano, zdawał mu się być podobnym do mnie, już się cieszył, że moje ślady wytropił, i z ukontentowaniem odezwał się do jednego z otaczających go: "No, już przecie mamy tego jezuitę". Ale się cieszył przedwcześnie. Skoro się dowiedziałem dokąd się udał ojciec Everett, uprosiłem jednego z przyjaciół, aby go natychmiast zabrał do siebie; i szczęście nasze, że tak się stało; bo jeszcze tegoż samego wieczora zjawili się siepacze w tym domu, z którego ojciec tylko co był wyszedł, i ścisłą w nim odbyli rewizję. W kilka dni później, mieszkanie przyjaciela o którym dopiero co mówiłem, także zostało od księżołowców napadnięte i przetrzęsione, a to z powodu, że ktoś w nim obaczył książki należące do ojca Garnett. W czasie tej rewizji ojciec Everett schroniwszy się do

bezpiecznej kryjówki, nie dostał się wprawdzie w ręce nieprzyjaciół; ale za to przytrzymali pana i panią domu, i porwali ich oboje do więzienia. Przewidując że biedny ojciec sam nie odważy się wyjść z swojej kryjówki, a obawiając się by tam z głodu nie umarł, wyprawiłem kilku z ludzi moich, aby go wyciągnęli i powiedzieli mu ode mnie, że ma co najspieszniej uciekać. On jednak, nie poznawszy tych ludzi po głosie, i sądząc, że zastawiają sidła na niego, nie odezwał się na ich wołanie. Tak więc posłańcy moi musieli odejść nie osiągnąwszy tego po co byli przyszli, a nadto jeszcze, wracając napotkali na patrol nieprzyjacielski, i przytrzymani, nazajutrz dopiero dostali się na wolność. Ja tymczasem następnej nocy nowego wyprawiłem posła, tym razem już samego majstra co onę kryjówkę urządzał, z poleceniem, aby w razie potrzeby choćby i drzwi wyłamał. Tak się i stało, a ojciec Everett, na koniec wyswobodzony, pobiegł do mojego mieszkania. Już mię tam nie zastał, bo obawiając się, i nie bez przyczyny, by przyaresztowanie ludzi moich nie pociągnęło za sobą rewizji u mnie, tejże nocy byłem się wyniósł, szukając sobie schronienia u przyjaciela. I w rzeczy samej, w parę dni potem, sam burmistrz miasta Londynu we własnej osobie, z silnym oddziałem wojska, zjawił się w moim mieszkaniu. Było to w Wielki Czwartek; ojciec Everett pragnąc w tak uroczysty dzień odprawić Mszę świętą, właśnie był przy Ofiarowaniu, gdy niespodzianie wielki zgiełk usłyszał. Tak nagle burmistrz wdarł się do wewnętrznych części domu, że ojciec ledwo jeszcze miał czas uprzątnąć rzeczy więcej podejrzane, a potem, jak stał ubrany w ornat, schronić się do kryjówki. Prześladowcy wszedłszy do kaplicy, poznali od razu ukrytą w domu obecność księdza po zapachu świec, na chwilę przedtem zgaszonych; lecz i tym razem wszelkie ich choć jak najściślejsze poszukiwania pozostały bez skutku, jak i w ogólności ani razu im się nie udało odkryć którą bądź kryjówkę naszą.

Radzi nie radzi musieliśmy uznać, że w takim stanie rzeczy nie ma już co robić, jedno dać się burzy wyszumieć, i w cierpliwości lepszych czasów czekać. Wyprawiłem z Londynu ojca Everett, i sam też zdecydowałem się opuścić ojczyznę, aby odetchnąć nieco na obcej ziemi, a w modlitwie i nauce nowych sił do dalszej pracy w winnicy Pańskiej zaczerpnąć.

Nim skończę, jeszcze parę słów o baronowej Vaux. Po nowych a najusilniejszych poszukiwaniach, moją osobę na celu mających, po nowych i u niej na wsi rewizjach, nareszcie i baronowa sama została porwana do Londynu, i stawiona na sąd przed tajną radą. Lecz z taką na wszelkie zadawane jej pytania odpowiadała roztropnością i przytomnością, że nieprzyjaciele, mimo całą

subtelność i zręczność zdradliwych podchwytywań i zarzutów swoich, niczego jej dowieść nie mogli. W końcu więc wydobyto i pokazano jej list, jej własnoręczny, do jednego z krewnych, sprawującego urząd gubernatora w jednym hrabstwie angielskim, w którym prosiła tegoż o wypuszczenie dwóch jezuitów, w jego obwodzie schwytanych. Zdrajca on, choć sam wielokrotnie ofiarował jej usługi swoje, otrzymawszy takowy list, wydał go, aby się i tu sprawdziło na nowo słowo Pańskie, iż: "Nieprzyjaciele człowieka domownicy jego".

Tak więc członkowie tajnej rady pokazali nieustraszonej niewieście ten list jej. "Losy pani, rzekli, jak widzisz, w ręku naszym. Ale powiedz nam gdzie znaleźć tego Gerarda, a będziesz wolna".

"Nie wiem gdzie się ukrywa", odrzekła; "ale choćbym i wiedziała, nie zdradziłabym go, aby się dostał w ręce wasze".

Na to powstał jeden z lordów, dawny jej przyjaciel, i odprowadzając ją do drzwi, i nowe jej po cichu robiąc przedstawienia, aby przecie ustąpiła: "Miejże pani litość nad sobą samą i nad dziećmi swymi", mówił jej, "i nie wzbraniaj się dłużej uczynić zadość żądaniu tajnej rady; inaczej życiem upór swój przypłacisz".

"Niech i tak będzie!" zawołała głośno; "jeśli nie masz innego dla mnie wyboru, gotowam umrzeć!". Drzwi już były na wpół otwarte, gdy wymawiała te słowa, tak iż służba jej stojąca za drzwiami, usłyszała je, i głośne łkanie podniosła. Nie przyszło jednak do zagrożonego wyroku. Tajna rada chciała mężną niewiastę nastraszyć, a widząc nieugiętą stałość jej, poprzestała na tymczasowym oddaniu jej pod straż jednemu wysokiemu urzędnikowi; później ją zupełnie wypuszczono na wolność, pod warunkiem, że się nie oddali z Londynu.

Skoro tylko ujrzała się wolną, natychmiast znowu mnie odszukała, aby jak przedtem zaopatrywać wszelkie potrzeby moje, i załatwić stosowne do nowego mieszkania mego sprawunki. Gdy później dowiedziała się o moim zamiarze opuszczenia Anglii, żądała usilnie i wymogła na mnie, że ona a nie kto inny poniesie wszelkie koszta mej podróży.

Tak więc trzeciego maja, w sam dzień chwalebnej śmierci męczeńskiej wiekopomnego naszego ojca Garnett, wsiadłem na okręt, aby na ląd stały przepłynąć. Dwa razy w życiu moim dzień ten naznaczony mi został wielkimi od Boga łaskami.

Gdym na godzinę przed odejściem okrętu przybył do portu, aby się, jak było umówiono, do kilku dostojnych osób, jako towarzysz podróży przyłączyć, i tak pod ich zasłoną bezpiecznie ziemię angielską opuścić, panowie ci oznajmili mi, iż nie są w możności dotrzymania obietnicy; że sami przez to naraziliby się na największe niebezpieczeństwo, a przeto widzą się zniewolonymi cofnąć słowo swoje. Ale w tejże samej chwili, kiedy okręt nasz miał podnieść kotwicę, błogosławiony ojciec Garnett oddawał Bogu wielką duszę swoją, i bez wątpienia wspomniał na mnie, niegodnego syna swego, gdy wstępując do niebieskiej ojczyzny upadł przed tronem Wszechmiłosiernego; bo nagle posłowie inaczej się namyślili, i sami nawet pomogli mi się przebrać, abym mógł za jednego z ich służby uchodzić.

Trzy lata później, dnia 3-go maja, zostałem mimo niegodność moją przypuszczony do złożenia czterech ślubów. Niechże mi Chrystus Pan będzie miłościw, bym wierny powołaniu memu, jako godny nosiciel krzyża, umiał Go naśladować na tej drodze ciernistej, po której sam nas poprzedził! I o to jedno jeszcze błagam Go i proszę, bym mieszkał w domu Pańskim po wszystkie dni żywota mego, aż kiedyś, – nie z własnej mocy mojej, ale z mocy tego drzewa żywota, którego wszyscy jesteśmy latoroślami, – pocznę wydawać godne owoce na wieczność.

Chwała bądź Bogu, i cześć Maryi Królowej niebieskiej, i świętemu ojcu memu Ignacemu, i świętemu Aniołowi Stróżowi memu! Amen!

Przypisy:

(1) Historyk James.

Pamiętnik Ojca Gerard (1), wydany przez O. Morris. (Z angielskiego). Warszawa. W Drukarni Czerwińskiego i Spółki, ulica Śto-Krzyska Nr 1325. 1873, str. 222+[I]. (2)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracje od red. ***Ultra montes***).

Przypisy:

(1) "**Gerard** Jan, Anglik, jezuita, ur. 1564 r. ze znakomitej rodziny hrabstwa Lancashire. Do jezuitów wstąpił w Rzymie 15 sierpnia 1588 r.; wkrótce potem udał się do Anglii, właśnie wówczas, kiedy Elżbieta najsroższe kary na katolików, a karę śmierci na kapłanów świeżo do kraju przybywających stanowiła. Gerard przez lat kilka zdołał się ukrywać, znaczną liczbę dusz do wiary katolickiej nawrócił, wielu innych w niej utwierdził i do wyższej doskonałości doprowadził. Schwytany potem, osadzony w więzieniu, wycierpiał tortury (1594). Z więzienia uszedłszy, jeszcze przez niejaki czas ukrywał się w Anglii z narażeniem życia, i pracował około zbawienia dusz; po umęczeniu o. Garneta (zob.) opuścił swój kraj; w Rzymie był penitencjarzem przy kościele św. Piotra, później przełożonym kolegium w Liège, stąd udał się do Hiszpanii i wrócił jeszcze do Rzymu, gdzie przez ostatnie 10 lat swego życia pozostawał w kolegium angielskim. Umarł 27 lipca 1637 r. Opis prac swoich i męczarni, jakie ponosił, zostawił po łacinie pt.: «Narratio P. Joannis Gerardi de rebus a se in Anglia gestis». Z tego wyjątki wydał dr Oliver w «Catholic spectator» 1826 r. Angielski przekład całej autobiografii w czasopiśmie «The Month», z r. 1867 i 1868, t. VII, s. 452; t. VIII, s. 67, 194, 502; t. IX, s. 70, 363, 509, 603; to samo po francusku w «Études religieuses», Paris 1868, t. II, s. 602 i r. 1869, t. III, s. 110; po angielsku wydał o. J. Morris w dziele «The condition of catholics under James I»; na niemiecki przełożył M. Hoffmann pt. «Memoiren eines Jesuiten, nach dem Englischen des P. Morris S. J.», Freiburg i. Br. 1872; 2-e wyd. ib. 1873; polski przekład (przez ks. [bp.] H. Kossowskiego) w «Przeglądzie Katolickim», Warszawa 1873, i stąd osobno pt.: «Pamiętnik ojca Gerard wydany przez o. Morris» (z angielskiego), Warszawa 1873". – X. W. K. [w:] *Encyklopedia Kościelna* podług Teologicznej Encyklopedii Wetzera i Weltego z licznymi jej dopełnieniami przy współpracownictwie kilkunastu duchownych i świeckich osób wydana przez X. Michała Nowodworskiego. Tom VI. *Gabaa.-Gyrovagi*. Warszawa. W DRUKARNI CZERWIŃSKIEGO I SPÓŁKI, ulica Śto-Krzyzka Nr 1325. 1875, s. 114.

(2) Por. 1) Ks. Stanisław Załęski SI, a) *Karta z dziejów Kościoła w Anglii.* b) *O masonii na źródłach wyłącznie masońskich.*

2) "Przegląd Powszechny". M., *Henryk VIII i klasztory w Anglii.*

3) S. Pius Papa V, a) *Bulla "Regnans in excelsis". Damnatio et excommunicatio Elisabeth reginae Angliae eiusque adhaerentium.* b) *Catechismus Romanus ex decreto Concilii Tridentini* (*Katechizm rzymski według uchwały świętego Soboru Trydenckiego*).

4) P. Franciscus Suarez SI, a) *Defensio Fidei catholicae et apostolicae adversus Anglicanae sectae errores.* b) *Liceatne Catholicis Anglis templa haereticorum adire, et cum eis in ritibus communicare sine intentione cultus vel cooperationis cum illis, solum propter temporalem poenas vitandas?*

5) O. Jan Jakub Scheffmacher SI, *Katechizm polemiczny czyli Wykład nauk wiary chrześcijańskiej przez zwolenników Lutra, Kalwina i innych z nimi spokrewnionych, zaprzeczanych lub przekształcanych.*

6) Ks. A. Kraetzig SI, *Janssen i historia reformacji.*

7) Prof. Albert von Ruville, *Metody pseudoreformatorów w walce z Kościołem.*

8) Ks. Albert Stöckl, *Wyrodzenie się mistycyzmu poza Kościołem.*

9) Bp Władysław Krynicki, *Dzieje Kościoła powszechnego.*

10) F. J. Holzwarth, *Historia powszechna*. a) *Odrodzenie ludzkości.* b) *John Wycliffe i jego heretycka nauka.* c) *Dzieje nowożytne. Rzut oka na czasy rewolucji religijnej.*

11) Ks. Jakub Balmes, a) *Katolicyzm i protestantyzm w stosunku do cywilizacji europejskiej.* b) *Fanatyzm i indyferentyzm, ich źródła i następstwa.*

12) Ks. Antoni Brzeziński, *Rys dziejów świętego Soboru Trydenckiego.*

13) Ks. Franciszek Hettinger, *Nieomylność Papieża.*

14) Ks. Kazimierz Naskręcki, *Rozwody.*

15) Kongregacja Św. Inkwizycji, *Wyznanie Wiary dla heretyków przechodzących na łono Kościoła katolickiego.*

16) S. Alphonsus Maria de Ligorio, Ecclesiae Doctor, a) *Opera dogmatica. (Ex italico sermone in latinum transtulit, ad antiquas editiones castigavit notisque auxit Aloysius Walter CSsR).* b) *De Mariae gloriis.*

(Przyp. red. ***Ultra montes***).

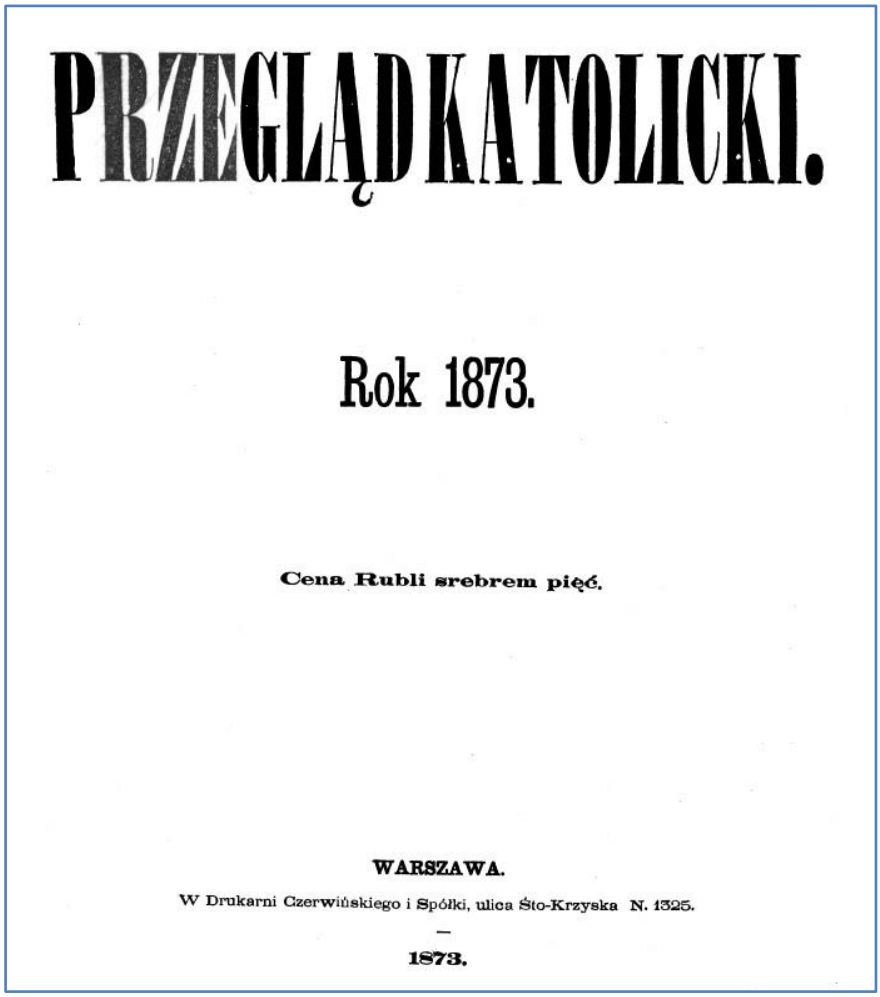

PRZEGLĄD KATOLICKI.

Rok 1873.

Cena Rubli srebrem pięć.

WARSZAWA.

W Drukarni Czerwińskiego i Spółki, ulica Śto-Krzyska N. 1325.

1873.

PAMIĘTNIK

OJCA GERARD

WYDANY

PRZEZ

O. MORRIS.

(Z ANGIELSKIEGO).

P. NOWICKI
WĄBCZ

WARSZAWA.
W DRUKARNI CZERWIŃSKIEGO I SPÓŁKI,
ulica Śto-Krzyska Nr 1325.

1873.

THE CONDITION OF CATHOLICS UNDER JAMES I.

FATHER GERARD'S NARRATIVE OF THE GUNPOWDER PLOT

EDITED, WITH HIS LIFE, BY

JOHN MORRIS,

Priest of the Society of Jesus.

Second Edition.

LONDON: LONGMANS, GREEN, & CO.

1872.

DURING THE PERSECUTION

AUTOBIOGRAPHY

OF

FATHER JOHN GERARD

OF THE SOCIETY OF JESUS

TRANSLATED FROM THE ORIGINAL LATIN

BY

G. R. KINGDON

PRIEST OF THE SOCIETY OF JESUS

LONDON

BURNS AND OATES

GRANVILLE MANSIONS W

1886

THE LIFE AND LETTERS OF

FATHER JOHN MORRIS,

Of the Society of Jesus.

1826—1893.

BY

FATHER J. H. POLLEN, S.J.

LONDON: BURNS AND OATES, LIMITED.
NEW YORK, CINCINNATI, CHICAGO: BENZIGER BROTHERS.

1896.

(HTM)

© ***Ultra montes*** (www.ultramontes.pl)
Cracovia MMXXV, Kraków 2025